

PROF. MARLENE LARUELLE
ROZBIORY ROSJI?
NIEMĄDRY POMYSŁ

PROF. MAGDALENA RASZEWSKA
DEJMEK – WIZJONER TEATRU

JACEK PAŁKIEWICZ
JAK ZNIKNAĆ Z INTERNETU U SZCZĘŚLIWYCH BHUTAŃCZYKÓW



KOMBATANCI NASI I WASI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



Pomóżmy sobie wzajemnie

1,5%

**PIT
PODARUJ
SENIOROM**



BĘDĘ
SENIOREM!

KRS 0000161452



Fundacja „EMERYT”
ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa
tel.: (22) 620 40 44
www.fundacja-emeryt.org
e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org



Moc puszki Owsiaka

Podziały między Polakami są coraz głębsze. Z powodu inflacji i wojny gorzej nam się żyje, więc są kolejne powody do kłótni. Szczęście, że w styczniu jest taka niedziela, gdy bez względu na pogodę wszędzie pojawiają się wolontariusze Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Są w małych wioskach i metropoliach. Kolejne pokolenia od 30 lat zapalają światełka i kwestują, bo wierzą, że ma to sens. A ma, co można zobaczyć w prawie każdym szpitalu i miejscu, gdzie ratuje się życie i zdrowie. Takie są fakty. Dowody na sens tego wspólnego przebiegu wysiłku są wśród nas. Żyją, bo w porę skorzystali z aparatury kupionej za pieniądze zebrane w styczniowe niedziele. Pisząc o tym, trochę się wstydzę, bo to przecież takie oczywiste. Dla mnie. I dla wielu Polaków. Ale obok nas jest coraz więcej ludzi, którzy hejtują Jurka Owsiaka. Zaczęła przed paroma laty prawica. A teraz robią to również ludzie uważający się za lewicowców. Walenie w Owsiaka jest proste. Internet wszystko zniesie. Brednie frustratów też. Oni zrobiliby wszystko lepiej. Część uważa, że w ogóle nie trzeba takich akcji, bo od tego jest państwo. Niech więc urzędnicy rozwiązują te problemy. Bo jak się państwo wyręcza, to jest jeszcze gorzej.

Sukces Owsiaka uwiera krytyków. Czekają, żeby na czymś się wyłożył. Daremnie. Gdyby po tylu latach

i wysiłkach pisowskiej prokuratury coś na niego znalaziono, frustraci mieliby dowód, że u nas nic nie może się udać. A że takiego nie mają, to biorą taczkę błota i obrzucają nim Owsiaka. Bo ma inne poglądy. Bo nie daje sobie skakać po głowie. Bo mimo wieku ciągle bardziej mu się chce niż wielu z tych, którzy mają po 30-40 lat, a są żwawi jak nasza reprezentacja w Katarze.

Owsiak jest fenomenem. Ma charyzmę i wielką siłę przyciągania. I takie poparcie milionów ludzi, o którym inni mogą tylko marzyć. Z tej siły bierze się też jego problem. Jest konkurentem w docieraniu do dusz i serc. Konkurentem co głębszych i nierozumiejących istoty WOŚP polityków. Konkurentem Kościoła, który chce mieć monopol w każdym obszarze. Owsiak został odcięty od mediów rządowych i wszystkich instytucji rządowi podlegających. Broni się, bo nieufni na ogół Polacy widzą, że jest autentyczny. Że nie udaje i myśli w kategoriach wspólnoty. Ciągłe wierzy, że to, co wraz z nim robią tysiące ludzi, ma sens.

Iluz Polaków ma w życiorysie kwestowanie z puszką oklejoną czerwonymi serduszkami. Na pewno ponad milion. Nie dajmy sobie odebrać tego jednego dnia w roku, kiedy robimy coś dla siebie. Razem.

BAKOWSKI



NIE CZEKAJ!

Kup w promocji
e-prenumeratę roczną

PRZEGLĄDU

I ODBIERZ
DARMOWY E-BOOK

Teraz tylko

100 zł

za rok
czytania



sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kombatanci nasi i wasi**
Miejsce żołnierzy II wojny światowej
zajmują działacze opozycji
- 12 Wałbrzych cierpi kolejny raz**
Likwidacja Porcelany Krzysztof
- 14 Pamięć i przyszłość**
Rocznica śmierci
Aleksandra Małachowskiego
- 16 Chemiczna proteza Polaków**
Żniwo alkoholu

ZDROWIE

- 20 Grypa strachu**
– rozmowa z Katarzyną Świątkowską

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 24 Rozbiory Rosji? Niemądry pomysł**
– rozmowa z prof. Marlene Laruelle

ZAGRANICA

- 28 Kraj w ciemnościach**
Korespondencja z Bachmutu
- 32 Sprawa Emanuela Orlandi powraca**
Korespondencja z Włoch
- 36 Miętko, ale skutecznie**
Zalety soft power

KULTURA

- 40 To, co w Dejmku najciekawsze**
– rozmowa z prof. Magdaleną Raszewską
- 44 Polski humor**
Nie mamy dystansu do siebie
- 47 Guru kultury studenckiej**
Wspomnienie o Bogusławie Litwińcu
- 48 Kulturalia**
- 66 Fikaj z Koziołkiem do Pacanowa**

OBSERWACJE

- 49 Każdy klient lubi być trochę odkrywcą**
Smakotyki z Podlasia
- 53 Szczęśliwi Bhutańczycy**
Podróże Jacka Pałkiewicza

SPORT

- 56 Portugalska recepta nr 2**
Co robi Fernando Santos

TECHNOLOGIE

- 58 Polowanie w sieci**
Jak zatrzeć swój cyfrowy ślad

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Moc puszek Owsiaka
- 15 Jan Widacki**
Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz...
- 19 Andrzej Romanowski**
Prawica trzyma się mocno
- 27 Roman Kurkiewicz**
Miliarderów ruch społeczny?
- 35 Tomasz Jastrun**
Umiarkowany pesymizm
- 39 Wojciech Kuczok**
Urobek artystyczny



12
KRAJ

WAŁBRZYCH CIERPI
KOLEJNY RAZ
Likwidacja
Porcelany Krzysztof

20
ZDROWIE



GRYPA STRACHU
– rozmowa z Katarzyną Świątkowską



53
OBSERWACJE

SZCZĘŚLIWI BHUTAŃCZYCY
Podróże Jacka Pałkiewicza

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner



✉ Prof. Kulczyński w Jeleniej Górze



W tekście „Jak Lwów przenoszono do Wrocławia” (PRZEGLĄD NR 2) wspomniana jest postać prof. Stanisława Kulczyńskiego. To wybitny botanik i działacz społeczny, którego teraz niesłusznie usiłuje się wygumkować z historii – m.in. próbowano zdekomunizować bulwar im. prof. Kulczyńskiego we Wrocławiu. Tymczasem w Jeleniej Górze (na

rogu ulic Mickiewicza i Wolności) od lat 80. stoi pomnik profesora, zbudowany ze składek rzemieślników i działaczy Stronnictwa Demokratycznego, partii, którą w 1939 r. zakładał profesor. Choć w Jeleniej Górze wciąż działa to ugrupowanie – na Starówce natrafiłem na szyld SD z numerem telefonu i adresem – nikt pomnikiem się nie opiekuje. Może dla osób związanych z Pawłem Piskorskim ta historia nie ma żadnego znaczenia? Od lat pomnik stoi pomazany, wcześniej był niszczone. Kilka razy pisała o tym prasa jeleniogórska, ale bez żadnych rezultatów. Może czytelnicy PRZEGLĄDU zainteresują się sprawą? Przesyłam zdjęcie, które zrobiłem w styczniu 2023 r.

Tomasz Otoki, Warszawa

✉ Zamach posta Zawiślaka na skwer im. Stefana Sendłaka

Zwracam się o pomoc w sprawie ocalenia pamięci o wspólnym Polaku i mieszkańcu Zamościa Stefanie Sendłaku, przedwojennym działaczu PPS, wieloletnim radnym Zamościa. Długo można by o nim pisać w samych superlatywach, m.in. ocalił ponad 220 mieszkańców Zamościa narodowości żydowskiej. Po wojnie był prześladowany przez ówczesną władzę.

Po wieloletnich staraniach moich i innych osób na październikowej sesji Rada Miasta Zamość upamiętniła Stefana Sendłaka, czyniąc go patronem skweru przy ulicy Partyzantów, pomiędzy dawnym urzędem wojewódzkim a Bramą Lwowską. Ten skromny akt nie spodobał się posłowi PiS Sławomirowi Zawiślakowi, który złożył wniosek o nadanie temu miejscu imienia Bohaterów Powstania Zamojskiego, gdyż na skwerze postawiony jest (prawdopodobnie bez uzgodnień) pomnik Armii Krajowej. Wniosek posta Zawiślaka będzie procedowany na najbliższym posiedzeniu Rady Miasta Zamość, a że PiS ma w niej większość, to Stefan Sendłak, jak był prześladowany w czasach PRL, tak teraz będzie wymazywany z historii przez PiS.

Janusz Kupczyk

f Wszystko jest na sprzedaż

Mamy dwa rodzaje pieniędzy: brudne pieniądze ukradzione przez propuputinowskich oligarchów i te czyste, ukradzione przez oligarchów lubianych na Zachodzie, np. pana Chodorkowskiego. Te pierwsze przyjmuje się z obrzydzeniem i niechęcią, drugie z wdzięcznością.

Paweł Stawicki



ZDJĘCIE TYGODNIA



Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zagrała po raz 31. W tegorocznym finale zbierano fundusze na walkę z sepsą.

W 2022 r. **15,9 mln Polaków** w ramach 1% PIT przekazało organizacjom pozarządowym **1,1 mld zł**. Stowarzyszenie Klon/Jawor szacuje, że na 138 tys. zarejestrowanych organizacji aktywnych jest ok. 70 tys.

O **51,7%** wzrosły w ubiegłym roku ceny oleju, o **49,1%** marga-ryny, o **47,4%** cukru i o **40,9%** masła. Ceny mięsa wzrosły o **25,5%**, a nabiału o **22,4%** („Rzeczpospolita”).

Ciągle nie ma regulacji prawnych w sprawie tantiem dla twórców za korzystanie z ich dzieł na sprzęcie elektronicznym. Po wizycie w Polsce Reeda Hastingsa, jednego z założycieli Netflixsa, **wiceminister ds. cyfryzacji Janusz Cieszyński** wykreślił przepis zapewniający tantiemy z internetu. Platformy streamingowe osiągają w Polsce przychody rządu 2,3 mld zł. Do polskich twórców w postaci tantiem nie trafiła ani jedna złotówka.

Film Jerzego Skolimowskiego „10” jest w piątce nominowanych do Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy.

Maciej Grzywaczewski odnalazł kliszę ze zdjęciami, które w czasie powstania w getcie w 1943 r. wykonał jego ojciec. **Zbigniew Leszek Grzywaczewski** służył w Warszawskiej Straży Ogniowej.

Do końca czerwca 2022 r. na Ukrainie postawiono zarzuty korupcyjne **731 osobom**, w tym dziesiątkę sędziów. Danych za drugie półrocze jeszcze nie ujawniono. Wśród oskarżonych są

m.in. wiceminister i wiceszef biura prezydenckiego.

Jednym z europosłów, którzy szczególnie aktywnie kontaktowali się z przedstawicielami Kataru, jest Ryszard Czarnecki z PiS, wielokrotny gość Doha Forum, które ma ambicje być jak szwajcarskie Davos.

Bogusław Liberadzki, europoseł Nowej Lewicy, został oskarżony przez swoją byłą asystentkę o mobbing.

Studenci z Wydziału Fizyki UW zdobyli złoty medal w konkursie University Physics Competition 2022. A do tego pięć srebrnych medali i dwa brązowe w rywalizacji 417 drużyn z całego świata.

Aż **347,3 tys. wniosków** o zawieszenie działalności gospodarczej złożono w 2022 r.

Powszechny dostęp do telefonów komórkowych ma swoją cenę. W ubiegłym roku na świecie 5,5 mld aparatów trafiło na śmietnik.

Kolejne dostawy ukraińskiego rzepaku do niemieckich portów i polskich elewatorów są zwracane ze względu na stwierdzenie obecności GMO.

Polskie porty w 2022 r. przeładowały **133 mln ton** różnych towarów. To wzrost o 18% wynikający głównie z większej ilości węgla i zbóż.

Na **193 tys. ton pierników** wyprodukowanych w 2021 r. w Unii Europejskiej najwięcej pochodzi z Niemiec (86 tys. ton, czyli 45%), Holandii (42 tys. ton, czyli 22%) i Polski (32 tys. ton – 17%).

PRZEBŁYSKI

Politycy lokują w mieszkaniach

Gazety jęczą, bo bardzo zmalała liczba budowanych mieszkań i bardzo podrożały kredyty. A w tym roku może być jeszcze gorzej. Jak z tym żyć? – pytają młode małżeństwa. I pary nieformalne. I single. Ale pytaniami swojego losu nie odwrócicie. Daremne żale, szkoda łez. Trzeba iść do ludzi, którzy sobie poradzili. Najbardziej o wasz los martwi się lewica, zapytajcie więc Krzysztofa Śmiszka, posła Nowej Lewicy, jak zostać właścicielem mieszkania i współwłaścicielem pięciu innych z Robertem Biedroniem, lewicowym europosem. Zaradni są nie tylko Śmiszek z Biedroniem. Jeśli bliżej wam do KO, to „Fakt” wymienia posłankę Małgorzatę Niemczyk, właścicielkę dziesięciu mieszkań, a z PiS Agnieszkę Soin, która ma raptem dwa domy i siedem mieszkań. Niedługo wybory. Najszybsza droga do własnego mieszkania.



Wzrost o 2519%

Tę informację czytaliśmy wiele razy. I ciągle nie wierzymy, że takie coś jest możliwe. „W listopadzie dynamika importu ukraińskiego rzepaku do Polski skoczyła o 2519% (dwa tysiące pięćset dziewiętnaście procent) rok do roku”. Tak mówi Monika Przeworska, dyrektorka Instytutu Gospodarki Rolnej. Podaje też, że cały import rzepaku z Ukrainy liczony rok do roku wzrósł o 623%. Tyż piknie. Miał jechać do portów, ale trafił do zakładów przetwórczych. Nie muszą kupować rzepaku od naszych rolników. Szukają tylko tego o najwyższych parametrach. Potrzebują go do wymieszania z ukraińskim. I taki ulepszony produkt sprzedają wytwórcom żywności. Smacznego!

Kanał w Canal+

Pomaganie władzy ma we krwi. Krzysztof Stanowski z internetowego Kanału Sportowego, a prywatnie, jak o sobie mówi, przyjaciel trenera Michniewicza. Bardzo bliski przyjaciel, bo były trener reprezentacji jest ojcem chrzestnym syna Stanowskiego.



A z tą władzą było tak: dyskretnie kontakty z Kanałem Sportowym ujawnił nieformalny doradca premiera Morawieckiego. Mimowolnie. Bo wyciekł mejl Mariusza Chłopika, w którym uzgadniano wizytę kogoś z rządu w KS. Cel był prosty jak kij od szczotki. Chodziło o poprawianie wizerunku rządu.

Jak wizerunek rządu może ocieplać Stanowski, który na mocnym gazie przez 10 minut prowadził *live stream* i lansował sprowadzonego przez siebie do Widzewa młodego piłkarza z Konga?

Teraz w Kanał Sportowy chce zainwestować Canal+. Ma mu pomóc dotrzeć do młodszych widzów.

Siódemka posła Zubowskiego

Są posłowie, którymi można dzieci straszyć. Ale nie wszystkie. W pierwszej kolejności dzieci niemieckie. Bo jak przystało na prawdziwego patriotę z pisowskim mandatem, poseł Wojciech Zubowski z niezwykłą zawziętością poluje na przedstawiciela mniejszości niemieckiej w Sejmie. Polityk z Głogowa reklamuje się jako szczęśliwy mąż i ojciec. Apanaże poselskie pozwalają nam wierzyć, że czego jak czego, ale wysokiego standardu w tej rodzinie nie brakuje. I pomyśleć, że aby to wszystko mieć, wystarczy 6 (sześć) razy złożyć w Sejmie wniosek o odwołanie posła przedstawiciela mniejszości niemieckiej. Wnioski, które absurdalnością wyróżniają się nawet w PiS, upadły. Ale nie z Zubowskim takie numery. Złożył wniosek po raz siódmy!



PYTANIE TYGODNIA

Jakie są najgorsze nawyki żywieniowe Polaków?

DR EWA BŁASZCZYK-BĘBENEK,
badaczka żywienia, Collegium Medicum UJ

Jednym z najczęściej popełnianych błędów żywieniowych jest nadal zbyt małe spożycie warzyw i owoców. W odniesieniu do starszych dzieci i młodzieży należy zwrócić uwagę na niewystarczające spożycie mleka i produktów mlecznych. Również pieczywo ciemne pełnoziarniste oraz ryby, zwłaszcza morskie, powinny być znacznie częstszymi gośćmi w diecie zarówno młodszych, jak i starszych Polaków. Niestety, produkty, których powinniśmy unikać, są zdecydowanie częściej wybierane we wszystkich grupach wiekowych. Młodzi ludzie nie ograniczają spożycia słodczy, a ponadto, podobnie jak dorośli, dosładzają potrawy i napoje oraz spożywają bardzo dużo cukru w formie składnika innych produktów. Problem spożycia produktów typu fast food występuje najczęściej wśród młodych dorosłych i nastolatków.

MIKOŁAJ CHOROSZYŃSKI,
psychodietetyk, Fundacja FitMIND

Z pewnością jedzenie słodczy, których kupujemy coraz więcej, co nierzadko przeradza się w uzależnienie. Problem pogłębia to, że sięganie po wysokokaloryczne produkty jest często utrwaloną reakcją na życiowe niepowodzenia czy stres. W efekcie, co potwierdzają moi pacjenci, odstawienie słodczy bywa trudniejsze niż rzucenie palenia czy rezygnacja z alkoholu. Plagą jest także brak nawyków korzystnych dla

zdrowia, np. niedostateczne spożycie warzyw zielonolistnych, ułatwiających kontrolę apetytu i redukcję zapasowej tkanki tłuszczowej. Niestety, w przeciwieństwie do wielu społeczeństw azjatyckich nie mamy tradycji refleksji nad tym, jak posiłek, który planujemy zjeść, wpłynie na nasz organizm.

DR KRZYSZTOF PUCHALSKI,
socjolog zdrowia,
Instytut Medycyny Pracy im. prof. dr. med. Jerzego Nofera

Socjolog może mówić nie o szkodliwości poszczególnych praktyk – mogą ją oceniać zmedyalizowane nauki o żywieniu – ale o ich społecznym kontekście czy funkcjach. Z tego punktu widzenia interesujące jest to, że zdecydowana większość Polaków deklaruje, że zdrowo się odżywia, a jednocześnie przyznaje, że lubi smacznie jeść, nawet gdy wie, że to niezdrowe. Ponieważ jednocześnie chętnie idziemy na łatwiznę i łatwo podporządkowujemy się temu, co robią inni, mimo wspomnianej deklaracji wielu z nas je byle co, byle gdzie i byle jak. Ciekawe jest też to, że jeszcze niedawno jako zdrowe były postrzegane przede wszystkim posiłki tradycyjne i przygotowane w domu, a obecnie coraz ważniejszym kryterium jest ich naturalność. Równocześnie zalecenia dietetyków rzadko są traktowane jako wyznacznik tego, co dla nas korzystne. W tej kwestii bardziej ufamy sobie niż specjalistom, ponadto łatwo ulegamy sugestiom marketingowym.

Not. Michał Sobczyk

Kombatanci nasi i wasi

Odchodzą ostatni żołnierze II wojny światowej, a szeregi kombatantów zapełniają „wyklęci” oraz działacze opozycji antykomunistycznej

Marek Czarkowski

Kiedy na stronie Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych ogląda się relacje z uroczystości w rocznicę bitew z czasu II wojny światowej, to widać jednego kombatanta, czasem kilku, najczęściej żadnego. Nic dziwnego, większość odeszła już na wieczną wartę albo nie wychodzi z domu. Ci, którzy walczyli w czasie wojny, dziś dobiegają setki albo ją przekroczyli.

Za to coraz częściej w mediach pojawiają się informacje o kilkuset-tysięcznych odszkodowaniach przyznawanych osobom represjonowanym w czasach PRL albo potomkom „żołnierzy wyklętych”. Jak to więc jest z tymi kombatantami?

Cena patriotyzmu

Na początku grudnia 2022 r. Sąd Okręgowy w Białymstoku przyznał synowi byłego akowca 464 tys. zł zadośćuczynienia i odszkodowania za represje, jakie dotknęły jego ojca. W 1946 r. 21-letni żołnierz oddziału AK z okolic Sokółki i Kuźnicy został wywieziony do łagru w Krasnojarsku na Syberii, gdzie w bardzo ciężkich warunkach pracował przy wyrębie lasu. Do Polski z zesłania wrócił w roku 1955. Jego syn domagał się od skarbu państwa 22 mln zł!

Do 20 lutego Sąd Okręgowy w Nowym Sączu odroczył rozprawę

dotyczącą zadośćuczynienia dla rodziny Józefa Kurasia „Ognia”. Syn Zbigniew domaga się 10 mln zł oraz 2,3 mln zł odszkodowania i 71 tys. zł na pomnik upamiętniający ojca. Sprawa toczy się w sądach od roku 2017.

W listopadzie ub.r. Sąd Okręgowy w Warszawie rozpatrywał sprawę syna rtm. Witolda Pileckiego. Andrzej

i zadośćuczynienia za represje osób działających niepodległościowo”.

„Jeżeli Ty lub ktoś z Twoich bliskich był ofiarą represji w czasach PRL, prześlij nam formularz kontaktowy! Nasz konsultant wyjaśni, jak razem możemy uzyskać odszkodowanie dla Ciebie lub Twojej rodziny. Omega Kancelarie Prawne gwarantują profesjonalną pomoc!”.

Zbigniew, syn Józefa Kurasia „Ognia”, domaga się 10 mln zł zadośćuczynienia, 2,261 mln zł odszkodowania i 71 tys. zł na pomnik upamiętniający ojca.

Pilecki wystąpił o ponad 26 mln zł odszkodowania od skarbu państwa za krzywdę doznaną przez jego ojca. Przy czym w grudniu 1990 r. spadkobiercy rotmistrza – wdowa Maria oraz córka Zofia i ów syn – otrzymali 500 mln zł (przed denominacją – dziś 50 tys.) odszkodowania. Następne posiedzenie sąd wyznaczył na 26 stycznia. Ta kwota to na razie absolutny rekord.

W internecie bez trudu znajdziemy ogłoszenia i reklamy kancelarii prawnych specjalizujących się w podobnych sprawach.

„Spółka Ius Memoriae zajmuje się rehabilitacją osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego oraz osób prześladowanych z powodów religijnych. (...) Nasz zespół specjalizuje się w dochodzeniu odszkodowania

„Nasza kancelaria specjalizuje się w dochodzeniu zadośćuczynienia i odszkodowania dla osób represjonowanych (oraz ich rodzin, dzieci, małżonków, rodziców). We Wrocławiu udało się nam wywalczyć bardzo wysokie odszkodowanie i zadośćuczynienie za represje komunistyczne, bo ponad 2,1 mln zł, sprawdź, czy tobie się takowe nie należy”.

Jednym z pierwszych działaczy Solidarności, którzy uzyskali od państwa odszkodowanie, był wice-marszałek Senatu z Prawa i Sprawiedliwości Zbigniew Romaszewski. W 2013 r. sąd przyznał mu 240 tys. zł za bezprawne więzienie w czasach PRL, czym wywołał dyskusję, czy byłym opozycjonistom należy się rekompensata. Wcześniej odszkodowanie w wysokości 25 tys. zł



otrzymała jego żona Zofia. Był to drobiazg w porównaniu z kwotami przyznawanymi później działaczom Solidarności i ich bliskim.

250 tys. zł odszkodowania dostał Piotr Walentynowicz, wnuk Anny Walentynowicz, za śmierć babci w katastrofie smoleńskiej.

W roku 2017 Sąd Okręgowy w Krakowie przyznał Janowi Marii Rokicie 120 tys. zł odszkodowania za sześć miesięcy internowania w stanie wojennym. Siedem lat wcześniej Rokita otrzymał 25 tys. zł. Polityk domagał się pół miliona.

Resort sprawiedliwości nie orientuje się, ile podobnych spraw jest w sądach. Prawnicy reprezentujący osoby ubiegające się o odszkodowania nie chcą się wypowiadać. Wiadomo, że kwoty zasądzone za zatrzymanie przez milicję w czasie demonstracji mieszczą się w przedziale od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Ale znaczenie tych wyroków może być inne.

Ktoś, kogo sąd uzna za ofiarę reżimu i komu przyzna nawet skromne zadośćuczynienie, bez trudu nabędzie uprawnienia kombatanckie, przedstawiając wyrok wraz z uzasadnieniem. Takie przypadki mogą dotyczyć osób, które w ostatnich latach PRL miały po 16, 17 lat, a dziś przekroczyły pięćdziesiątkę i chcą zadbać o emeryturę.

Warto podkreślić, że udane próby monetyzacji działalności opozycyjnej wywołały sprzeciw niektórych zasłużonych działaczy Solidarności. W tym

Lecha Wałęsy, który nigdy nie wystąpił o odszkodowanie za doznane krzywdy. Podobnie Władysław Frasyniuk. Wyszło na to, że niektórym opozycjonistom bardziej chodziło o kasę niż o szczytne idee i dobro narodu.

Znamienne, że II Rzeczpospolita nie była zbyt hojna wobec kombatanów. Co prawda, Sejm już 2 sierpnia 1919 r. przyjął ustawę o stałej pensji dla weteranów powstań 1831 i 1863 r., przyznając im dożywotnie świadczenia, lecz majątków skonfiskowanych przez władze carskie za udział w narodowych zrywach im nie zwrócił. Marszałka Piłsudskiego zastanawiała rosnąca z roku na rok liczba „legunów” – jak nazywano wówczas

250 tys. zł odszkodowania dostał Piotr Walentynowicz, wnuk Anny Walentynowicz, za śmierć babci w katastrofie smoleńskiej.

legionistów – i mawiał, że gdyby miał ich wszystkich pod Kostiuchnówką, dysponowałby sporą armią.

Nowi kombataneci

Z każdym rokiem maleje liczba kombatanów, którzy w czasie II wojny światowej walczyli w szeregach Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ludowego Wojska Polskiego, Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich i innych formacji. Nie słysząc, by domagali się oni wysokich odszkodowań od skarbu państwa.

17 stycznia 2023 r. przed Sądem Okręgowym w Nowym Sączu rozpoczął się proces o odszkodowanie wytoczony przez syna „Ognia” – Zbigniewa Kurasia.

Nawet jeśli w latach 40. czy 50. trafiali do więzień, kopalń, byli katowani w czasie przesłuchań lub w inny sposób represjonowani przez Urząd Bezpieczeństwa.

Na przełomie XX i XXI w. świadczenia kombatanckie wypłacano ponad 400 tys. osób oraz ponad 300 tys. wdów i wdowców po nich. Po roku 1989 uprawnienia kombatanckie otrzymały osoby, które w czasie wojny zostały deportowane do pracy przymusowej lub osadzone w obozach pracy III Rzeszy i ZSRR. Natomiast stracili przywileje tzw. utrwalacze władzy ludowej, czyli funkcjonariusze m.in. Urzędu Bezpieczeństwa, Służby Bezpieczeństwa, Informacji Wojskowej.

Dziesięć lat później liczba osób korzystających ze świadczeń kombatanckich spadła do 500 tys. Ile jest ich dzisiaj – nie wiadomo. Urząd do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych nie prowadzi takiej ewidencji. Zresztą trudno to zrobić – niemal każdego dnia odchodzi ktoś z tego grona.

Ich miejsce zajmują działacze opozycji antykomunistycznej, żołnierze zastępczej służby wojskowej przymusowo zatrudnieni w kopalniach,

kamieniołomach, zakładach rud uranu i batalionach budowlanych oraz osoby represjonowane z powodów politycznych w czasach PRL. Szacunki mówią, że w ostatnich latach nowe uprawnienia kombatanckie przyznano ponad 15 tys. osób. Wbrew powszechnemu pogładowi, że im więcej czasu mija od zakończenia wojny, tym szybciej rośnie liczba weteranów i kombatanów, tak nie jest. Nie brakuje za to prób uzyskania uprawnień przez tych, którzy ani nie walczyli, ani nie mieli nic wspólnego z działalnością opozycyjną w PRL. ►



Obchody 75. rocznicy desantu 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki na Przyczółek Czerniakowski. Warszawa, 16 września 2019 r.

Z dokumentów Służby Bezpieczeństwa wynika, że pod koniec istnienia Polski Ludowej w aktywną działalność podziemną zaangażowanych było 15-20 tys. osób. Wydawać by się mogło, że łatwo zweryfikować historie ubiegających się dziś o status kombatantha. W archiwach Instytutu Pamięci Narodowej zachowały się przecież słynne teczki. Rzecz w tym, że jeśli wierzyć oficjalnym zapewnieniom, w roku 1981 w szeregach NSZZ Solidarność było 10 mln Polaków.

w wieku przedszkolnym. Dało to asumpt do podejrzeń, że jego działalność opozycyjna polegała na sikaniu na deskę klozetową w proteście przeciw komunistom i Dziadkowi Mroziwi. Przyłapany na tej czynności przez woźną przyszły dygnitarz zapewne w ramach „represji” był targany za ucho i stawiany do kąta.

Swego rodzaju rekordzistą okazał się człowiek, któremu przyznano uprawnienia kombatanckie za działalność w podziemiu, a po kilku latach

Jednym z pierwszych działaczy Solidarności, którzy uzyskali od państwa odszkodowanie, był Zbigniew Romaszewski. W 2013 r. sąd przyznał mu 240 tys. zł.

W podziemiu dokładnej dokumentacji nie prowadzono, bo byłoby to groźne w razie wpadki. Dlatego, gdy do władzy dochodziła kolejna zmiana polityków prawicy, na scenie pojawiali się nowi działacze opozycji z lat 80., o których wcześniej nie słyszano.

Znany jest przypadek osoby, która, gdy sięgnęła po wysokie stanowisko rządowe, natychmiast została przedstawiona w mediach jako „wybitny lider Solidarności” na Śląsku. To, że w stanie wojennym ów lider był nastolatkiem, nie miało znaczenia.

Pikantnym przykładem może być „kombatant”, który w roku 1981 był

okazało się, że w stanie wojennym nie tylko był członkiem PZPR, ale jeszcze pracował w strukturach partyjnych.

Nie brakuje także osób, które przekonują, zabiegając o status kombatantha, że albo ukrywały, albo przewoziły ulotki, książki i inne zabronione materiały, za posiadanie których groziła kara. Bądź też brały udział w demonstracjach i zostały potraktowane milicyjną pałą. Pod koniec istnienia PRL za podobne występki nie groziły poważne konsekwencje, ale jeśli można przedstawić świadków, że się ucierpiało, szanse na uzyskanie statusu kombatantha rosną.

Po 1989 r. powstały również organizacje, które nazwą nawiązywały do tych z II RP. Najbardziej znanym przykładem jest zarejestrowany w roku 1990 Związek Legionistów Polskich. Jego komendant naczelny Krystian Waksmundzki ogłosił, że związek jest prawnym następcą przedwojennego ZLP, co otwierało drogę do odzyskania cennych nieruchomości należących niegdyś do legunów. Potrzebne były wyroki sądów dwóch instancji, by rozstrzygnąć, że tak nie jest.

Waksmundzki stał się też bohaterem skandalu związanego z buławą Edwarda Śmigłego-Rydza oraz pamiątkową szablą Józefa Piłsudskiego. Przedmioty te, chronione przez paulinów w skarbcu klasztoru jasnogórskiego, w roku 1994 wypożyczono Waksmundzkiemu na wystawę. Ponieważ nie zostały zwrócone, zakonnicy powiadomili organy ścigania.

W 1999 r. Sąd Rejonowy w Krakowie skazał Krystiana Waksmundzkiego na dwa lata więzienia w zawieszeniu. Warunkiem był zwrot cennych pamiątek. Ponieważ tak się nie stało, w listopadzie 2001 r. Waksmundzki trafił za kraty. Rok później został ułaskawiony przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Buława Śmigłego-Rydza i szabla Piłsudskiego nie wróciły na Jasną Górę i nie wiadomo, gdzie się znajdują.

W 2008 r. Krystian Waksmundzki został komendantem głównym zarejestrowanej w grudniu 2001 r. Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Jak łatwo się domyślić, taka organizacja istniała też w II RP. Zrezygnowała wówczas 37 organizacji kombatanckich. Nic dziwnego, że w roku 2017 minister obrony narodowej Antoni Macierewicz nadał Waksmundzkiemu stopień majora rezerwy Wojska Polskiego w uznaniu zasług na rzecz obronności państwa.

Przywileje i samotność

Z rozmów, które prowadziłem z kombatanami czasów wojny – żołnierzami AK i powstańcami warszawskimi – wynika, że na ogół są zadowoleni z pomocy, jaką otrzymują od państwa.

Były żołnierz Armii Krajowej ppłk Marian Leśniak (93 lata), prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Weteranów Walk o Niepodległość 1919-1956 im. gen. Stefana Grota Roweckiego, mówi, że on i jego koledzy zawsze mogą liczyć na wsparcie ze strony władz samorządowych, Wojska Polskiego oraz urzędów państwowych. Wspomina pobyt w szpitalu, podczas którego zajmowano się nim ze specjalną troską. Z dumą podkreśla, że największą nagrodą dla niego jest szacunek i uznanie, jakich doświadcza

na co dzień. A największym zmartwieniem – samotność. Jego małżonka odeszła kilka lat temu.

Tego doświadczają wszyscy weterani i kombataneci, żołnierze walczący na frontach II wojny światowej, w powstaniu warszawskim, więzieni w sowieckich łagrach i niemieckich obozach koncentracyjnych.

Opieką nad nimi zajmuje się także Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Na jego stronie internetowej widnieją uprawnienia przysługujące osobom o statusie kombatananta lub ofiary represji. To m.in. miesięczny dodatek do emerytury w wysokości 460 zł, sięgające 50% ulgi na bilety komunikacji kolejowej i miejskiej oraz różne

– uczestników wojen, kampanii i powstań, którzy z bronią w ręku służyli ojczyźnie. Kombatanant zaś to żołnierz regularnych formacji wojskowych, lecz także uczestnik ruchu oporu, partyzant.

O ile kombataneci pozostają pod opieką Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, o tyle np. weteranami misji pokojowych w Iraku i Afganistanie zajmuje się Ministerstwo Obrony Narodowej.

W obecnej sytuacji otwarta pozostaje kwestia ewentualnych świadczeń dla osób, które zajmują się organizacją i dostarczaniem pomocy dla walczących w Ukrainie. Polscy ratownicy medyczni z narażeniem życia działają niemal na pierwszej linii frontu

Na przełomie XX i XXI w. świadczenia kombatanckie wypłacano ponad 400 tys. osób oraz ponad 300 tys. wdów i wdowców po nich.

dodatkowe świadczenia pieniężne. W przychodniach i szpitalach kombataneci i ofiary represji są przyjmowani poza kolejnością, mogą liczyć na skierowania do sanatoriów w celu podreperowania zdrowia. Urząd dofinansowuje też rehabilitację domową kombatanatów i zakup przez nich aparatów słuchowych.

Przy okazji warto wyjaśnić dwa pojęcia – weteran i kombatanant – których używa się wymiennie. Weteran to określenie odnoszące się do żołnierzy

w Donbasie. Nasi lekarze i pielęgniarki opiekują się rannymi ukraińskimi żołnierzami i zajmują ich transportem do Polski na dalsze leczenie. Czasem można zaś przeczytać o naszych rodakach walczących z Rosjanami w szeregach ochotniczych oddziałów armii ukraińskiej. Jest więcej niż pewne, że w przyszłości wszyscy oni otrzymają uprawnienia kombatanckie. Zarówno ukraińskie, jak i polskie.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl



KSIĄŻKI BEZ CENZURY
Historia bez IPN

Pakiet ~~178 zł~~ 130 zł

**PRAWO
DO PRAWDY**

**Kto robi
z bandytów
świętych?**

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Wałbrzych cierpi kolejny raz

Po 200 latach upada Porcelana Krzysztof

Violetta Waluk

W internecie jeszcze wszystko wydaje się bez zmian. Wałbrzyska Porcelana Krzysztof błyszczy i kusi prześlicznymi wyrobami. Jedne są tradycyjne, drugie bogato zdobione albo z delikatnymi wzorami; są serwisy i przeróżne zestawy. Raj dla znawców i skromnych miłośników porcelanowego piękna. Do tego – długa lista kontaktów telefonicznych i adresów mejlowych. Ale to już przeszłość. Żaden numer nie odpowiada, najwyżej zgłosi się automat, informując o przepełnieniu skrzynki. Smutno prezentuje się pewnie już ostatnia krzysztofiowa nowość – Biała Fryderyka, serwis obiadowo-kawowy na 12 osób, składający się ze 108 części.

Ja tu tylko sprzątam

Tymczasem przed budynkiem, gdzie wciąż mieści się sklep fabryczny, tworzą się długie kolejki, a porządku przy drzwiach pilnuje ochroniarz. Choć nie jest specjalnie potrzebny. Ludzie są poważni, spokojni i smutni. Nieodparcie nasuwa się skojarzenie z ostatnim pożegnaniem. Niektórzy kupują jedną filiżankę czy talerzyk, na pamiątkę. Wałbrzyskanie rozstają się ze swoją fabryką, która dla nich była tu zawsze.

Wśród kupujących uwijają się pracownicy. Nie udaje się ich namówić na rozmowę. Stwierdzają stanowczo, że są tylko do obsługi sklepu. Pan pilnujący porządku też nie decyduje się na dłuższą rozmowę. Przyznaje się jedynie do długoletniej pracy i do tego, że rodzina też tu pracowała. Wreszcie wzdycha, w maju pójdzie na emeryturę, na szczęście. Woli jednak się nie narażać. „Ja tu tylko sprzątam”, zdają się mówić wszyscy obecni w sklepie pracownicy Porcelany Krzysztof.

Brama główna i sąsiednie budynki, szczególnie ten sklepowy z dużą reklamą, stały się już szeroko znane.

Na ich tle odbywają się konferencje prasowe, wygłaszane są wszelkie apele i odezwy. Zaraz po decyzji zarządu o zatrzymaniu produkcji spotkali się tu wałbrzyscy parlamentarzyści, członkowie PO.

– Obojętność rządzących jest bulwersująca – stwierdził poseł Tomasz Siemoniak. Wymieniał dalej przyczyny, według opozycji, tragicznych zdarzeń: brak osłon ekonomicznych w czasie pandemii, choć ceramika budowlana je otrzymała, a ostatnio szokujący wzrost cen gazu. Stanowisko zarządu firmy przedstawiła prezeska. Dla nich ceny gazu wzrosły o 900%. Nie było przy tym perspektyw, że się ustabilizują, ani gwarancji ciągłości dostaw. Krzysztof nie upada, podkreśla przy każdej okazji, tylko się likwiduje. Parlamentarzyści wystosowali w tej sprawie list do premiera. Przecież to polska firma, dlaczego rząd jej nie ratuje?

Tymczasem nadeszły wieści o stopniowych obniżkach cen gazu, a w relacji ze spotkania Donalda Tuska z pracownikami Rafako w Raciborzu padły znamienne słowa, jak ulał pasujące do sytuacji Porcelany. „Nie wyobrażam sobie, żeby efektem działania władzy i wielkiej spółki skarbu państwa było zniszczenie innej polskiej firmy”.

Dlaczego?

Czy Wałbrzych ma aż takiego pecha? Fatum jakieś czy co? Zaraz po transformacji ustrojowej zaczęły się likwidacje wałbrzyskich kopalń, które przez tyle lat dostarczały czarne złoto, jak mówiono o węglu. Wałbrzych miał jeszcze drugie złoto – białe. Od prawie 200 lat istniały tu fabryki porcelany. Ta najstarsza, Carla Kristera, i założona nieco później przez Carla Tielscha. Jak wspaniałe tworzyły dzieła, można się przekonać w wałbrzyskim Muzeum Porcelany. Po wojnie nadal trzymały fason, działając pod nazwami Zakłady Porcelany Stołowej Krzysztof i ZPS

Wałbrzych. I znów można mówić o rozkwicie tej branży. We wzorcowniach powstawały cenione projekty. Maria Teresa czy Cora opracowane w ZPS Wałbrzych zachwycały klientów na całym świecie. Przebojem Krzysztofa, również na międzynarodową skalę, była m.in. Fryderyka. W najlepszych latach we wzorcowniach pracowali cenieni plastycy. I wałbrzyska porcelana była przepiękna.

Wydawało się, że białe złoto będzie już zawsze bogacić miasto, zdecydowano się więc postawić trzecią fabrykę porcelany – Książ. Zaczęła działać w latach 80. XX w. Upadła pierwsza. Mówiono, że wykończyły ją wygórowane żądania załogi, wspieranej przez silne wówczas związki zawodowe. Bardziej jednak oskarżano reformy Balcerowicza. Nowo powstały zakład miał duże kredyty, których oprocentowanie niewyobrażalnie wzrosło, i obciążenia stały się nie do udźwignięcia.

ZPS Wałbrzych bronił się dłużej i bardziej spektakularnie. Załoga m.in. ogłosiła strajk, jeden z najdłuższych w nowej Polsce. Skończyło się tak jak w wielu innych podobnych przypadkach. Ruiny hal produkcyjnych, zaplecza socjalnego i wszystkiego, w co bogate były dawne zakłady, również sklepu firmowego, straszą w centrum, tuż przy dworcu kolejowym Wałbrzych Miasto. Wyglądało, że ostatni z trójki Krzysztof przetrwa, mądrzejszy o doświadczenia siostrzanych firm.

Andrzej Gniazdowski, doświadczony ceramik, w Krzysztofie pracował wiele lat. Dziś jest na emeryturze, ale sercem – wciąż w swojej branży. Dwa lata temu razem z grupą innych emerytowanych specjalistów założył Stowarzyszenie Ceramików Polskich. Zachować z dorobku tej branży, ile się uda – to jeden z podstawowych celów.

– Powiedzieć, że w związku z sytuacją w Krzysztofie jest mi przykro czy wręcz, że boli, jest stwierdzeniem



Zakłady Porcelany Stołowej Krzysztof wyprzedają swoje wyroby.

Malarnia likwidowanej
fabryki porcelany.

oczywistości. Zresztą długo wierzyłem, że firma się wybroni. Tak jak w 2010 r. Wtedy wszedł już syndyk, ale był to uczciwy człowiek. Nie wstrzymał produkcji i w końcu udało się znaleźć inwestorów – wspomina Gniazdowski.

Dla wałbrzyszan ostatnie wydarzenia były prawdziwym szokiem. Zawrzało w internecie. Pisali: to nie może być koniec. Wzywali: walczyć, przecież nie można ot tak zamknąć 200 lat historii! Płakali: jakie to smutne i przerażające. Apelowali: ta fabryka to dziedzictwo kulturowe Polski. Ktoś jeszcze stwierdził: nie wierzę, że niczego nie można już zrobić. I zrobili – publiczną zbiórkę na ratowanie Krzysztofa. Na popularnej stronie Zrzutka.pl można wpłacać pieniądze na ten cel. W krótkim czasie zebrana suma zbliżyła się do 10 tys. zł.

Internauci zabrali się też do analizowania, dlaczego tak się stało. Od razu wypomniano Platformie los ZPS Wałbrzych, jednoznacznie podsumowując, że to było dzieło Lewandowskiego i Balcerowicza. Dostało się też właścicielom Krzysztofa, że bardziej myśleli o swoich zyskach niż o rozwoju firmy. Podobno, sprzedając działkę w centrum miasta należącą do zakładu, nie skorzystali wtedy z szansy doinwestowania firmy. A tak by to się przydało.



Szerzej spogląda na sprawę Michał Suchora z Partii Zieloni, od kilku lat mieszkaniec Wałbrzycha. Przyczyny trzeba szukać w długoletnich zaniechaniach w kwestii transformacji energetycznej. W innych krajach nawet walcownie stali korzystają z energii odnawialnej. Jak na ironię jedną z najaktywniejszych w PiS osób walczących z wiatrakami jest wałbrzyska europarlamentarzystka Anna Zalewska. Jak widać, przystużyła się nie tylko naszej oświacie.

Non omnis moriar

Dla większości wałbrzyszan wieść o upadku Krzysztofa była gromem

z jasnego nieba. Przecież tak dobrze mu szło. W zakładowym sklepie jeszcze zadziwiała różnorodność oferty. Te miseczki i filiżanki z kocimi oczami były, poznają klienci, w asortymencie Ikea. Krzysztof produkował dla wielu znanych firm i dla najbardziej szacownych klientów. Wśród nich znalazł się nawet Barack Obama – z Wałbrzycha do Białego Domu trafił serwis na trzydzieści kilka osób. Wyroby tego przedsiębiorstwa grały w filmach, np. w brytyjskim serialu „Mroczne materie”. Wnikliwi klienci zakładowego sklepu, oferującego m.in. końcówki serii, wypatrzyli kiedyś talerze z obrazkami zabawnych krasnali w czapkach opadających na oczy. Podobne były na modnych wówczas wyrobach firmy znanej na rynkach międzynarodowych.

Fabryki porcelany, te w Wałbrzychu i okolicy, zasłużyły się także dla rozwoju kultury. Do 2012 r. odbywały się międzynarodowe plenery ceramiczne. Zgodnie z ich regulaminem część prac przechodziła na własność miasta. Obecnie są w zbiorach Muzeum Porcelany, niektóre można oglądać w jednej z galerii Starej Kopalni, ośrodka kultury i muzeum przemysłu. Nie tylko w środowisku ceramików plenery były wydarzeniem, zwłaszcza kończąca przedsięwzięcie wystawa. W halach produkcyjnych współpracujący z artystami musieli mieć doświadczenie i najwyższe kwalifikacje. Pod tym względem Krzysztof sprawdzał się znakomicie, a na plenerach tworzyli m.in. Władysław Garnik czy Anna Malicka-Zamorska. Bywali też artyści z zagranicy, nawet zza oceanu.

Wałbrzyska fabryka miała swój epizod polityczny. Po 1989 r. na zebraniu w świetlicy Krzysztofa, z licznym udziałem nie tylko miejscowej załogi, oficjalnie ogłosił powrót do życia publicznego przewodniczący Solidarności Walczącej Kornel Morawiecki. Do tego czasu się ukrywał. Czy premier rządu nie pamięta o tym wydarzeniu? Pomnikiem chciał uczcić działalność ojca we Wrocławiu. Nie mógłby więc, choćby z sentymentu, pomóc Porcelanie?

W nieodwołalny koniec Krzysztofa nie mógł uwierzyć Roman ▶

► Szelemej, prezydent miasta. Zaproponował powołanie Manufaktury Krzysztof, która przejmie z ceramicznej tradycji, co tylko się uda. Jest w Wałbrzychu stosowne miejsce, są wysokiej klasy fachowcy.

– Oczywiście nie ma mowy o komercyjnej działalności – podkreśla Piotr Micek, dyrektor wałbrzyskiego Biura Wystaw Artystycznych. – Moglibyśmy wytwarzać formy unikatowe. Mamy już w tym pewne doświadczenie, bo od 2015 r. prowadzimy centrum ceramiki unikatowej.

Wałbrzych dorobił się ogromnej, jeśli chodzi o powierzchnię, placówki

kultury. Powstała na terenie dawnej kopalni, długie lata działającej pod nazwą Thorez. Zachowano jako eksponaty muzealne część dawnych urządzeń i kawałek zejścia pod ziemię. Niektórzy badacze historii przemysłu załamywali ręce, że poświęcono aż tyle jedynych w swoim rodzaju pamiątek przeszłości. Dzięki temu powstał jednak obiekt o fascynującym kształcie i ogromnych możliwościach, nazwany Starą Kopalnią. Właśnie tu funkcjonuje centrum ceramiki unikatowej (agenda Biura Wystaw Artystycznych) i miała by ulokować się manufaktura.

Zachować wzory, nie dopuścić do utraty form matek. Te są nazywane

sercem fabryki. Andrzej Gniazdowski pamięta, jak wyglądał upadek ZPS Wałbrzych. Wszystko dosłownie się waliło, tylko świadomi sytuacji ceramicy próbowali uratować, co było można. Ocalone wtedy formy, wzory itp. przechowywane centrum. Na szczęście, podkreśla Gniazdowski, inaczej jest w przypadku Krzysztofa. Jest współpraca z właścicielami fabryki i jej historyczny dorobek nie powinien przapaść.

I tak w Starej Kopalni spotkały się dwa wałbrzyskie złota: czarne – węgiel i białe – porcelana.

Violetta Waluk

Pamięć i przyszłość

Rocznica śmierci Aleksandra Małachowskiego

W symbolicznym miejscu i w symbolicznym czasie, 26 stycznia, w 19. rocznicę śmierci Aleksandra Małachowskiego, spotkało się czworo liderów największych partii lewicowych: przewodniczący Unii Pracy Waldemar Witkowski, współprzewodniczący Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty, współprzewodnicząca Lewicy Razem Magdalena Biejat i przewodniczący PPS senator Wojciech Konieczny (zdjęcie z lewej). Złożyli oni wieńce i kwiaty na grobie marszałka w podwarszawskich Laskach.

W uroczystości brali również udział m.in. żona Aleksandra Małachowskiego Krystyna, wnuk Ludwik (zdjęcie z prawej), Dariusz Nowak – skarbnik Unii Pracy, Piotr Górski – szef mazowieckich struktur UP oraz Tomasz Dąbrowski, reprezentujący struktury młodzieżowe UP, radny miasta i gminy Łomianki. Obecni byli także

redaktor naczelny „Przeglądu” Jerzy Domański i jego zastępca Robert Walenciak.

Aleksander Małachowski to wielka postać polskiej lewicy, współzałożyciel Solidarności Pracy i Unii Pracy, jej przewodniczący, wicemarszałek Sejmu, marszałek senior, w roku 2001 architekt porozumienia wyborczego SLD-UP-KPEiR, które nazywał polskim Drzewem Oliwnym. I oczywiście wieloletni autor mądrych, często dziś jeszcze aktualnych felietonów zamieszczanych w „Przeglądzie Tygodniowym” i „Przeglądzie”. Aktywny uczestnik naszego redakcyjnego życia.

Czwórka liderów przyjęła deklarację, która ma być w najbliższych tygodniach zatwierdzona przez organy kolegialne ich partii. Głosi ona, że będą dążyć do zawarcia porozumienia o współpracy, której celem będzie wspólny start w czterech kolejnych wyborach – parlamentarnych,

samorządowych, europejskich i prezydenckich. Deklaracja zawiera również zapis, że partie są otwarte na przystąpienie do nich innych sił lewicowych. (rw)



Z Galicji



Jan Widacki

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz...

Na początek kilka spraw oczywistych. Nasza przynależność do Unii Europejskiej jest realizacją marzeń co najmniej dwóch pokoleń Polaków, jest też efektem starań wszystkich w zasadzie najpoważniejszych opcji politycznych, w tej kwestii wówczas najzupełniej ze sobą zgodnych i mówiących jednym głosem. Niemcy mają najsilniejszą gospodarkę w Unii, są dziś naszym najpoważniejszym partnerem gospodarczym.

Pojednanie polsko-niemieckie, zapoczątkowane przez episkopat Polski i Niemiec w latach 60. XX w. (słynne „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”) i kontynuowane po roku 1989, stawiane było w świecie za przykład, jak dwa narody mimo tragicznej historii najnowszej potrafią przełamać wzajemne urazy, wybaczyć sobie choćby niesymetrycznie wyrządzone krzywdy, wspólnie budować przyszłość. Gdy biskupi polscy pisali do biskupów niemieckich wspomniane wyżej słowa, od końca II wojny światowej minęło zaledwie 20 lat. Krzywdy wyrządzone w czasie wojny były świeże, ludzie dojrzały w obydwu społeczeństwach pamiętali wojnę i jej ofiary. Żyły matki, które straciły synów, żony, które straciły mężów, dzieci, które straciły rodziców. Żyli ci, którzy utracili swoje domy, których młodość została brutalnie przerwana... Rządząca ekipa Gomułki zareagowała z wściekłością. Na episkopat wylewano kubły pomyj, zarzucano mu wręcz narodową zdradę.

A mimo to proces pojednania polsko-niemieckiego się rozpoczął. W 1970 r. Republika Federalna Niemiec oficjalnie uznała granicę na Odrze i Nysie, nawiązano stosunki dyplomatyczne, a w ślad za nimi, zrazu nieśmiało, stosunki gospodarcze i kulturalne. Polscy naukowcy zaczęli jeździć do Niemiec na stypendia. Po roku 1989 rozpoczął się kolejny etap polsko-niemieckiego pojednania. Warto przypomnieć symboliczne spotkanie premiera Mazowieckiego z kanclerzem Kohlem w Krzyżowej, podpisanie traktatu o przyjaźni i dobrosąsiedzkich stosunkach. Niemcy wspierały nasze starania o członkostwo w NATO i Unii Europejskiej.

Historia Europy mogła odnotować dwa budujące fakty: pojednanie francusko-niemieckie i polsko-niemieckie. To na tym w dużej mierze opierał się fundament bezpieczeństwa Europy, nowa era Starego Kontynentu.

Gdy PiS przejęło władzę, cały dorobek polsko-niemieckiego pojednania został zakwestionowany. Jarosław Kaczyński w publicznych wystąpieniach podważa zaufanie do Niemiec, odgrzewa na potrzeby swojej polityki wewnętrznej drzemiący gdzieś głęboko w części jego elektoratu lęk przed Niemcami, powtarza jakieś antyniemieckie komunały. W ślad za nim idą politycy PiS z premierem Morawieckim na czele. Można odnieść wrażenie, że mimo wojny na Ukrainie, mimo tego, że Rosja pokazała, że za nic ma prawo międzynarodowe i z trudem skonstruowany europejski ład, to Niemcy stanowią dla nas największe zagrożenie. Sący się w społeczeństwo antyniemiecki jad. W sferze politycznej wciąż punktuje się Niemcy i kanclerza Scholza za opieszałość w niesieniu Ukrainie pomocy. Zaczęto domagać się od Niemców reparacji za II wojnę światową, a wielkość strat szacowała komisja, której przewodniczył poseł Mularczyk. Żądamy od Niemiec miliardów dolarów odszkodowań za wojnę,

Gdy PiS przejęło władzę, cały dorobek polsko-niemieckiego pojednania został zakwestionowany.

która skończyła się prawie 80 lat temu! Nie wiem, czy Mularczyk od żądanej kwoty odliczył wartość Wrocławia, Gdańska, Szczecina i kilku województw. Mniejsza o to. Wiadomo, że Niemcy żądanych odszkodowań nie zapłacą, a skutek będzie tylko taki, że stosunki z Niemcami ulegną pogorszeniu, w Polsce zaś nasilą się nastroje antyniemieckie.

Do tej wojny o reparacje włączyło się nawet kierowane przez ministra Glińskiego Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wydając stosowny kalendarz. We wstępie do owego kalendarza napisano: „Prezentujemy wizerunki strat wojennych z dziedziny malarstwa, rzeźby i rzemiosła artystycznego (...), części utraconego w wyniku II wojny światowej materialnego dziedzictwa z terenu dzisiejszego Gdańska, Wrocławia, Szczecina czy Malborka”. Zapomniano dodać, że tereny te do 1945 r. należały do Niemiec. Wychodzi na to, że Niemcy sami sobie coś ukradli, a my te ukradzione dzieła sztuki doliczamy do naszych strat. Albo ktoś w ministerstwie na głowę upadł, albo celowo podłożył świnię ministrowi Glińskiemu. Nie wiem tylko, czy on się zorientował. ■



Chemiczna proteza Polaków

Na jednego Polaka przypada rocznie 11,7 litra czystego alkoholu. Od 12 litrów rozpoczyna się proces degradacji społecznej

Dominika Tworek

Polskie miasta jarzą się neonami „Alkohole 24h”. Weekendowe „odpinki” w klubach czy barach mają zwieńczenie dopiero dzięki kupowanym w całodobowych budach i na stacjach benzynowych butelkom „na dopicie”. Hasło „Ze mną się nie napijesz?” na stałe wpisało się w obraz świetnej imprezy, a żeby w towarzystwie odmówić alkoholu, trzeba mieć naprawdę dobry powód. Wspólne picie daje przecież poczucie przynależności do grupy. Jednocześnie w rzeczywistości wypełnionej stresem i nieustającym poczuciem niepewności alkohol oferuje niemal natychmiastową redukcję napięć. Funkcjonuje jako świetna metoda autoleczenia i nagradzania się po ciężkim dniu pracy. Ba! – nawet w trakcie wykonywania codziennych obowiązków. Praca zdalna sprawiła, że z popularnych małek przerzuciliśmy się

na większe pojemności. Dziś kupujemy butelki martini czy whisky Johnnie Walker z przeświadczeniem, że pijemy z polotem, wykwinie i finezyjnie.

Analizy Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) pokazują, że na jednego Polaka rocznie przypada średnio 11,7 litra czystego alkoholu, co odpowiada mniej więcej 2,4 butelki wina lub 4,5 litra piwa tygodniowo na osobę w wieku od 15 lat wzwyż. Więcej piją mężczyźni – na głowę spożywają 18,4 litra, kobiety – 5,6 litra. Co najmniej raz w miesiącu upija się 35% dorosłych. Oznacza to, że przy jednej okazji wypijamy ponad 80% butelki wina lub 1,5 litra piwa. Co ciekawe, kobiety z wyższym wykształceniem upijają się o 62% częściej od tych niewykształconych. Alkohol pije też ponad 60% nieletnich w wieku 15 lat, a jeden na pięciu nastolatków, którzy 15. roku życia jeszcze nie ukończyli, „zalewa się” co najmniej raz na miesiąc.

– Mamy wielki problem z alkoholem. Dużo większy, niż nam się wydaje. Ale nie jest on stricte polski. W wielu krajach wysokorozwiniętych statystyki są bardzo podobne. Średnia spożycia alkoholu dla państw Unii Europejskiej wynosi dziś 11,3 litra na mieszkańca. Europa jest przepita. Wszyscy żyjemy w jednej wielkiej sekcie alkoholowej. Pod kątem picia nastąpiła pełna europeizacja Polaków – mówi terapeuta uzależnień Robert Rutkowski.

Słowo fetysz: uzależnienie

Współczesna kultura na każdym kroku podsuwa nam używki jako sposób radzenia sobie z niesprzyjającymi warunkami życia, jednocześnie zostawiając nas samych sobie – jeśli masz problem z alkoholem, to musisz iść na terapię i radzić sobie sam. Media stale trąbią o liczbie około miliona osób uzależnionych oraz ponad 2 mln obywateli pijących szkodliwie.

– Termin uzależnienie to w przestrzeni publicznej słowo fetysz. Jest nadużywane i wywołuje bardzo wiele szkód. W jego kontekście funkcjonuje także pojęcie z zamierzcztych czasów, tzw. picia ryzykownego. Obecnie zaś nauka mówi o tym, że każde picie jest ryzykowne, bez wyjątku. W 2019 r. w czasopiśmie „The Lancet” ukazały się 26-letnie badania pokazujące, że nawet kieliszek wina może wywołać duplikację uszkodzeń DNA. Wniosek naukowców był prosty – nie ma bezpiecznej ilości alkoholu. Dzisiaj mamy coraz więcej dowodów, że piwo czy wino to wcale nie są niewinne płyny, służące tylko i wyłącznie do poprawy nastroju, a alkohol to rakotwórcza i neurotoksyczna substancja, często dużo bardziej szkodliwa niż niektóre nielegalne narkotyki. Równolegle obok słowa uzależnienie eksponuje się kolejny bardzo niebezpieczny termin – odpowiedzialnego picia. Alkohol traktowany jest w naszej kulturze jako trucizna głównie w momencie, kiedy ktoś pije go za dużo lub uzależni się od niego. Natomiast dla wszystkich pozostałych jest jak woda źródłana. Utrzymywanie takiego poglądu, że dopiero uzależnienie jest problemem, natomiast „picie z umiarem” to coś fajnego, jest na rękę branży alkoholowej – podkreśla Robert Rutkowski.

Psychoterapeuta prezentuje zgoła odmienne zdanie na temat osób uzależnionych od alkoholu niż większość jego kolegów po fachu, przede wszystkim akcentując kultu-

robaż. W 2019 r. pojawiły się wyniki badań, które mówią, że uszkodzenie kory przedczołowej mózgu po spożyciu alkoholu trwa przez następne sześć tygodni. A do regeneracji tego uszkodzenia potrzebne jest tyle samo czasu. Gdyby więc ktoś chciał pić w sposób bezpieczny, powinien to robić raz na trzy miesiące.

– Nie kupuję też stwierdzenia, że alkoholikiem jest się do końca życia – zaznacza Rutkowski. – Osoby niepijące nawet 30 lat wciąż powtarzają tę formułkę. Moim zdaniem takie postawienie sprawy bardziej szkodzi, niż

Co najmniej raz w miesiącu upija się 35% dorosłych.

pomaga. Za tym idzie narracja, że to ty nie możesz pić alkoholu do końca życia, bo się uzależniłeś. To ty jesteś uszkodzony. Tak tłumaczy się alkoholikom głównie dlatego, żeby ci, którzy piją alkohol w sposób „zwyczajowy”, czuli się komfortowo. Według mnie osoba, która nie pije alkoholu, jest osobą zdrową, a nie chorą. To z tymi, którzy co weekend popijają butelkę łyskacza, jest coś nie tak.

Przyjaciele lobby alkoholowego

W Polsce od wieków alkohol jest traktowany jako spoiwo społeczne. Zmiana tego podejścia nie nastąpi bez twardych regulacji państwa. Jednak prohibicja jest zupełnie nie-realna, co potwierdził czas pandemii. Podczas gdy w niektórych państwach wprowadzono ograniczenia

zakaz jego sprzedaży od godz. 22 do 6 rano (we Francji czy Belgii już od godz. 20). – To absolutnie podstawowa sprawa, ponieważ w nocy alkohol kupują głównie ludzie już pijani. Chodzi o to, żebyśmy na trzeźwo podejmowali decyzję, ile dziś wypijemy. Co prawda, „nocną prohibicję” mogą ustanawiać samorządy, ale to bardzo słaba regulacja, bo gdy jakaś miejscowość wprowadza taki zakaz, a miejscowość obok już nie, to tak, jakby go nie było. Poza tym należy ograniczyć liczbę punktów sprzedaży alkoholu. To paranoja, że można

go dostać na każdym rogu! A w mediach podnosi się argumenty, że jak zmniejszymy liczbę punktów sprzedaży, to pojawią się meliny. Takie myślenie to w XXI w. absurd – komentuje dr Jan Śpiewak, socjolog, sygnalista problemu.

Szeroka dostępność alkoholu jest dziś papierkiem lakmusowym rozdygotanego społeczeństwa. Przyczyn tego stanu rzeczy można szukać w panującym w Polsce neoliberalizmie, który zakłada, że wolny rynek jest odpowiedzią na wszystkie problemy. – Zawsze słyszymy jak mantrę, że każdy ma swój rozum, racjonalnie decyduje za siebie i nie wolno ograniczać niczyjej wolności poprzez zakazy. Na tym korzysta przede wszystkim całkowicie zde-regulowana branża alkoholowa. Bo w naszym kraju akcyza jest bardzo niska i właściwie nie ma limitów, jeśli chodzi o koncesje, w dodatku mamy bardzo niskie opodatkowanie alkoholu. Mało tego, gdy na całym świecie panuje trend podwyższania tego podatku, w Polsce go obniżamy! W latach 2008-2018 wśród 38 tzw. państw wysokorozwiniętych Polska miała najwyższy, niemal 10-procentowy spadek opodatkowania alkoholu. Podczas gdy np. Finlandia podniosła ten podatek o ponad 50%! To, że nie ma u nas żadnej siły politycznej, która chciałaby cokolwiek z tym problemem zrobić, pokazuje, jak silny wpływ na polityków oraz media ma lobby alkoholowe – wytyka działacz społeczny. – To potężna grupa ▶

Alkohol pije ponad 60% nieletnich w wieku 15 lat.

rowe przyczyny problemu: – Osoby uzależnione, które wiedzą, że mają problem związany z obsesją alkoholową, generalnie piją dużo mniej niż większość społeczeństwa. Ci ludzie sięgają po tę używkę, jak mają tzw. wpadkę, ale zasadniczo przez większość dni w roku pozostają trzeźwi. Natomiast skupiłbym się na tych, którzy piją – w swoim mniemaniu – w sposób bezpieczny, kontrolowany, ale robią to często, np. w każdy weekend. Mit „bezpiecznego picia weekendowego” już dawno został

sprzedaży alkoholu, ponieważ pijący zwiększali ryzyko transmisji wirusa, u nas nawet nie było na ten temat dyskusji. Ani obywatele, ani rząd czerpiący zysk z podatku alkoholowego nie zgodzą się na żadne opresyjne działania na tym polu. W kraju, w którym lobby alkoholowe zajmuje poczesne miejsce, nikt nie ma odwagi zaczynać z góry przegranych bitew.

Natomiast wiele państw Unii Europejskiej odwróciło trend rosnącego spożycia alkoholu, wprowadzając

► interesu, która wyrosła na pasożytowaniu na państwie. Nasze podatki idą na likwidowanie skutków upojenia alkoholowego, takich jak wypadki spowodowane przez pijanych kierowców czy przemoc domowa, a nie zauważamy, że jednocześnie stwarzamy niekorzystne warunki do funkcjonowania tego biznesu.

Narodowe pranie mózgu

Kolejną palącą kwestią, którą trzeba uregulować, jest zakaz reklamy alkoholu pod wszelką postacią.

Wiele państw Unii Europejskiej wprowadziło zakaz sprzedaży alkoholu od godz. 22 do 6 rano.

– Alkohol nie potrzebuje żadnej reklamy. Podobnie jak żaden inny narkotyk, ponieważ zawsze znajduje się na niego chętni. Tymczasem od 20 lat robi się nam pranie mózgu. Branża alkoholowa najpierw zaczęła sponsorować wydarzenia sportowe, potem reklamować wydarzenia kulturalne, a wreszcie jakieś akcje ekologiczne, a mniej więcej od roku wszystkie tamy puściły. Korporacje alkoholowe ewidentnie przestały się bać jakichkolwiek kar i zaczęły na potęgę reklamować się w internecie. Przepisy prawa mówią jasno, że na terenie Polski obowiązuje zakaz reklamy alkoholi mocniejszych niż piwo, mimo to influencerzy, popularni raperzy, piosenkarze czy aktorzy pokazują mocne alkohole jako coś fajnego, kojarzącego się z sukcesem i dobrą zabawą. Takie reklamy kierowane są do bardzo młodych ludzi. Branża wydaje na to ogromne środki i to działa. Dziś w Polsce internet jest strefą wyjętą spod prawa, gdzie korporacje alkoholowe i ludzie show-biznesu popełniają regularnie ciężkie przestępstwa, reklamując wódkę dzieciom – twierdzi dr Śpiewak.

Do tego stanowiska przychylił się Robert Rutkowski: – Moim zdaniem każdy polityk, który nic w tej kwestii nie robi, jest umoczony w popieranie mafii alkoholowej. A ta korumpuje także lekarzy i specjalistów. Sam dostawałem propozycje uczestnictwa w programach profilaktycznych

dla młodzieży, finansowanych przez kompanie browarnicze. Alkohol na potęgę reklamuje się też w sporcie, a to właśnie sport powinien trzymać z dala od narkotyków. Dodatkowo na platformach streamingowych coraz częściej promuje się model picia w samotności. Masowo pokazuje się ludzi pijących solo, do lustra. A ostatnio, oglądając z pięcioletnim synkiem film na kanale Disneya, zauważyłem, że nawet postacie z dziecięcej bajki trzymają w dłoniach kieliszki wina. To absurd, podobnie jak szampan dla dzieci Piccolo.

– Kolejne, co możemy zrobić, to przestać mówić, że jakiś alkohol pozytywnie wpływa na zdrowie – wylicza Rutkowski. – Mam na myśli doniesienia o antyoksydacyjnych właściwościach resweratrolu znajdującego się w winie. Jeśli komuś zależy na właściwościach kardioprotekcyjnych, powinien pić sok z winogron, a nie alkohol. Bo to winogrona mają te właściwości.

Rausz to otępienie

– Polska jest obecnie polem eksperymentu społecznego – co się stanie, gdy zdejmie się wszelkie bariery i hamulce ludziom oraz korporacjom.

Gdy na całym świecie panuje trend podwyższania podatku od alkoholu, w Polsce go obniżamy.

I my to widzimy! Pijemy więcej niż w PRL. Dziki kapitalizm trafił na grunt bardzo słabego państwa. Mówi się, że butelka wódki to najtańsza terapia. W rzeczywistości, w której nie ma dostępu do opieki psychologicznej, a w mniejszych miejscowościach brakuje oferty kulturalnej i elementarnej edukacji na temat szkodliwości alkoholu, na pewno ten narkotyk wypełnia jakiś rodzaj pustki, pozwala przeżyć w ciężkich warunkach. To nie jest proste, żeby ludzie przestali pić, ale należy utrudnić im

bycie najgorszą wersją siebie. I taka jest właśnie funkcja państwa, żeby czasem ograniczać swoich obywateli w ich popędach. Liberalna koncepcja, że każdy ma swój rozum, jest bardzo naiwną wizją stosunków społecznych. Państwo to jednak ten hegemon, który ma nas trzymać w pionie, żebyśmy jakoś w tym społeczeństwie się zachowywali – podsumowuje dr Jan Śpiewak.

Jednak żeby zatrzymać w Polsce proces zmierzający do przekroczenia bariery 12 litrów czystego alkoholu rocznie na osobę, powyżej której według WHO przestaje rosnąć długość życia, a jednocześnie zwiększa się liczba zwolnień lekarskich, czyli rozpoczyna się proces degradacji społecznej, należy postawić również na zmianę mentalności. Robert Rutkowski konkluduje: – Musimy zrozumieć, że nie ma czegoś takiego jak reset po alkoholu. My po nim wcale nie odpoczywamy, tylko się zatruwamy! W naszej mowie potocznej funkcjonuje słowo rausz jako określenie stanu miłego odurzenia, tzw. podchmienia. Ale to słowo z niemieckiego i oznacza otępienie. Brzmi to już mniej sympatycznie i jest zgodne z nomenklaturą medyczną. Bo stan po alkoholu jest stanem otumanienia. Śmiesz mnie, że ludzie ostentacyjnie piją substancję, która wprowadza ich w stan otępienia, bo nie potrafią dobrze się czuć bez chemicznej protezy. Na szczęście coraz więcej osób dostrzega to oszustwo

i kontestuje alkohol. Jeszcze do niedawna przestawali pić głównie ci, którzy od alkoholu się uzależnili, ale od kilku lat widzę coraz więcej niepijących bez problemu z tą substancją. Na naszych oczach dochodzi do przemiany społecznej. Jestem przekonany, że dożyjemy czasów, gdy na spotkaniach towarzyskich – odwrotnie niż dziś – to niepijący będą indagować tych pijących: „Dlaczego pijesz, czy wszystko z tobą w porządku?”.

Dominika Tworek

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Prawica trzyma się mocno

Nie wolno ulegać złudzeniom. Na Nowy Rok pisałem w tej rubryce, że w świecie idzie może ku dobremu, skoro prezydent Brazylii Jair Bolsonaro nie zakwestionował wyniku wyborów. Myliłem się – 8 stycznia doszło w stolicy tego kraju do tego, czego świadkami byliśmy niedawno w Waszyngtonie. Tym razem obyło się bez ofiar, ale scenariusz był identyczny: pokonany prezydent szczuje, ludzi i wzywa do działania, a po tragedii umywa ręce i potępia przemoc, choć jego sprawstwo kierownicze jest oczywiste. Wobec obu prezydentów wymiar sprawiedliwości ich krajów nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Że prawica w Polsce jest obrzydliwa, o tym wiem od dawna, ale że ta obrzydliwość istnieje na każdej szerokości geograficznej, to jednak jest jakąś nowością. Jak bowiem widać, prawica, skoro już doszła do władzy, nie może jej tak po prostu oddać. Wszak ma misję, którą musi zrealizować! Utrzymać władzę – choćby po trupach! A zatem z samej swej istoty jest prawica wrogiem demokracji. Owszem, możemy się pocieszać, że i w USA, i w Brazylii demokracja jednak wygrała. Lecz – po pierwsze – zobaczyliśmy, że nie jest ona dana raz na zawsze. Po drugie zaś – ani w USA, ani w Brazylii zwolenników Trumpa i Bolsonara nadal nie brakuje. Chciałoby się dać tym zwolennikom jak naj-silniejszą nauczkę – wszak im większa kara, tym mniejsza szansa na recydywę. Lecz może stanie się wtedy odwrotnie? Może antydemokratyczna prawica potrzebuje swych męczenników? Może wyrastamy już z tego „najlepszego z ustrojów” i pogrążamy się w szaleństwie, które kiedyś zrodziło II wojnę światową?

W Polsce w tym roku mają się odbyć wybory, lecz co zrobi rządząca prawica, to wciąż jest zagadką. Bo pewne jest tylko jedno: że również u nas władzy łatwo nie odda. Nie odda, bo jest prawicą, ale nie odda też dlatego, że ma za dużo za uszami i za dużo do stracenia. Czy jednak nie jest mądrzejsza od dyletantów zza oceanu? Wszak przez lat siedem z okładem PiS zrobiło wszystko, by rewolta taka jak w Waszyngtonie i Brasili nie była w Polsce konieczna. Radio i telewizja, z nazwy publiczne, realizują linię jednej partii. Dzienniki regionalne są własnością Orlenu. Do kampanii wyborczych zaprzęga się aparat państwa. Gdyby zaś nawet powinęła się PiS noga, to od czego znowelizowany Kodeks wyborczy? Od czego Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego? Od czego sam Sąd Najwyższy? No i zawsze niezawodny Trybunał Konstytucyjny? Czy zresztą – pod

byłoby jakim pretekstem – wyborów nie można odwołać? Przesunąć na inny termin? Począć na czas korzystniejszy? Lecz jeśli nawet wybory odbędą się w terminie, to przecież w stworzonych przez władzę warunkach. Czyli i tak nie będą wolne. Oddanie władzy przez polską prawicę wciąż jest mało prawdopodobne i warto, by opozycja przestała wydawać już teraz okrzyki triumfu.

Przedwojenny wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski na złożoną mu w 1957 r. propozycję objęcia teki ministra przemysłu chemicznego miał odpowiedzieć: „Umiem zrobić jajecznicę z jajka, ale nie umiem zrobić jajka z jajecznicy”. W roku 1989 Polacy udowodnili, że potrafią dokonać nawet takiej sztuki, lecz gdyby dzisiaj zdołali usunąć PiS – czy może to im się udać po raz drugi? Wszak PiS to nie PZPR, która po roku 1989 lojalnie współpracowała z dotychczasowymi przeciwnikami. PiS po oddaniu władzy pokaże, czym jest „opozycja totalna”. Nie zawaha się podpalić Polski.

Chciałoby się wykrzyknąć do opozycji: panowie, mniej pracy nad PiS, więcej pracy nad sobą.

A może jednak nie będzie mu to potrzebne? Może wystarczy, by patrzyło, jak dzisiejsza opozycja kłóci się ze sobą i wdraża konieczne reformy? By czekało, aż koalicja się rozpadnie, a na reformach się wyłoży? PiS rządziło, korzystając z dorobku poprzedników. Dzisiejsza opozycja, jeśli będzie rządzić, to korzystając z dorobku pisowskiego. Niełatwo jest zrobić jajko z jajecznicy.

Chciałoby się wykrzyknąć do opozycji: panowie, mniej pracy nad PiS, więcej pracy nad sobą. Więcej samodyscyplinowania, samoograniczania, kompromisów. Jeżeli chcecie stworzyć kiedyś rząd koalicyjny, to spróbujcie koalicji już teraz. Ciekawe, że tylko lewica nie waha się przed pójściem w jednym szeregu z niechętnymi jej liberałami. Czyżby działał duch Okrągłego Stołu? Czy też lewica jest bardziej od innych zdolna do akceptacji partenera? Dziś w każdym razie linia podziału wśród opozycji przebiega między tymi, którzy pielęgnują swą tożsamość i odrębność, a tymi, którzy potrafią je położyć na ołtarzu dobra wspólnego. A tymczasem prawica jest nadal zjednoczona. I wciąż trzyma się mocno.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Grypa strachu

Trzeba uważać na reklamowane preparaty złożone na przeziębienie i gripę. Często mają trzy składniki, z których ewentualnie tylko jeden może mieć sens

Rozmawia Dorota Bartosiewicz

Z powodu grypy w styczniu zmarło już niemal 50 osób, podało Ministerstwo Zdrowia. Prawie wszystkie powyżej 65. roku życia.

– Obawiam się, że te dane i tak mogą być niedoszacowane.

Jak bardzo?

– Trudno powiedzieć, ale nawet najstarsi lekarze nie pamiętają takiego sezonu. Tym bardziej że niezwykle wysoka jest także liczba zachorowań. To już 115 osób na 100 tys. mieszkańców.

Dość wspomnieć, że w grudniu zanotowano w Polsce ponad 1,1 mln przypadków grypy i jej podejrzeń. A jak wynika z najnowszych danych, z tego powodu wystawiono ponad 8 tys. skierowań do szpitala.

– Dla porównania: przez cały listopad zanotowano w Polsce ponad 490 tys. przypadków grypy i jej podejrzeń, co dało niemal 2 tys. skierowań. To, co widzę w przychodni, jedynie to potwierdza: grypa zaatakowała z całą siłą dwa-trzy tygodnie przed świętami.

Charakterystyczne było też to, że chorowały na nią głównie dzieci i młodzież do 14. roku życia.

– Hospitalizowane były w 60%, co można wyjaśnić tym, że ani dzieci, ani młodzież nie nabyły jeszcze po pandemii koronawirusa wystarczającej odporności. Bo choć wirusy mutują i co sezon są inne, w części zachowują podobieństwo antygenowe. Teraz jednak liczba chorych dzieci spada, co można tłumaczyć przerwą między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem.

A dlaczego zaczęła za to wrastać liczba chorych w starszych grupach wiekowych?

KATARZYNA ŚWIĄTKOWSKA

– lekarz, autorka książek, w tym serii „Mity medyczne. Fakty, które ratują życie”



– Z dwóch powodów. Po pierwsze, są oni obciążeni chorobami przewlekłymi. Po drugie, chociaż mają pamięć immunologiczną, to jednak wraz z wiekiem odporność ta spada – mechanizmy, które nas bronią, w miarę starzenia się organizmu stają się coraz mniej wydolne.

Rzuca się w oczy jeszcze fakt, że nie chorują na gripę ci, którzy się na nią zaszczepili. W tym sezonie miałam tylko jednego pacjenta, który miał objawy grypy, potwierdził ją testem i był zaszczepiony.

Niestety, Polacy w tym sezonie na gripę niechętnie się szczepili. Czym to tłumaczyć?

– Odpowiedź może dać typowa rozmowa w gabinecie. Przychodzi pacjent, mówi o objawach: gorączka, ból głowy, dreszcze. Dopytuję wtedy: „A na gripę pan się szczepił?”.

„Nie”. „A szkoda”, komentuję. I wtedy najczęściej pacjent dopowiada: „Ale na COVID-19 się zaszczepiłem”. Nie wiem, skąd to się wzięło, że tak wielu pacjentów uznało, iż szczepionka na koronawirusa chroni również przed gripą.

W końcu to wirus i to wirus – będzie się bronił Kowalski.

– W tym przypadku swoje zrobił jednak brak promocji szczepień na gripę.

Skoro już o grypie i jej pochodnych mowa, to czym w ogóle różni się ona np. od przeziębienia?

– Przede wszystkim początkiem – przeziębienie zaczyna się stopniowo. Łamie nas w kościach, zaczyna nas poboledować gardło, dołącza się do tego katar, nic nam się nie chce. Gorączka, jeśli jest, to niewysoka. Z kolei grypa ścina z nóg. Pojawia się

szybko, nagle i wywołuje wysoką gorączkę. Bardzo charakterystyczne są bóle kości, stawów i głowy. Nierzadko pacjenci mówią nawet, że bolą ich włosy. Pojawia się suchy, męczący kaszel, choć może też być biegunka. Objawy mogą bardzo się różnić.

A prawdą jest, że jak ktoś choruje na grypę, to rzadko ma katar?

– Nie ma tu jednej zasady. Podobnie jest zresztą z bólem gardła. Może się pojawić, ale nie musi. Jest za to inna reguła, o której czytałam w badaniach z 2020 r. Jeśli mamy przeziębienie, za którym stoją rinowirusy – to jego najczęstszy sprawcy – uaktywniają one mechanizmy, dzięki którym stajemy się bardziej odporni na zakażenie grypą.

Innymi słowy to, że jesteś narażony na wiele różnych wirusów...

– ...zmienia również to, jak chorujemy. Tak!

A jak odróżnić grypę i przeziębienie od np. COVID-19?

– Testy – to najlepsze rozwiązanie. **A jeśli akurat nie mam ich pod ręką, a przychodzi pacjent i mówi o konkretnych objawach?**

– Trudno to jednoznacznie stwierdzić, bo jedynie w początkowej fazie pandemii typowe dla koronawirusa były utrata węchu i smaku. Teraz też to się zdarza, choć trzeba pamiętać, że w każdej infekcji górnych dróg oddechowych wirus może zniszczyć komórki nabłonka węchowego. Tym, co pozostaje charakterystyczne dla COVID-19, są trudności z oddychaniem. Dlatego jeśli już,

grypie, COVID-19, jak i wirusowi RSV, choć najczęściej wskazuje na przeziębienie.

A tajemniczy RSV – jakie daje objawy?

– To wirus typowo przeziębieniowy, który objawia się przede wszystkim świszczącym oddechem. Zagroźą głównie wcześniakom, dzieciom z niedoborami odporności i niektórymi wadami wrodzonymi, szczególnie układu oddechowego i mięśnia sercowego. Może doprowadzić do zapalenia oskrzelików i duszności.

Nie chorują na grypę ci, którzy się na nią zaszczepili.

Amerykańskie Centrum Kontroli i Prewencji Chorób poszło o krok dalej. Wskazało np., że SARS-CoV-2 może zakażać dwa dni przed wystąpieniem objawów, a zdolność do zakażenia może się utrzymywać nawet przez 21 dni po wystąpieniu objawów.

– Zgoda! Dla porównania: zdolność do zakażenia innych w przypadku grypy rozpoczyna się zwykle dzień przed pojawieniem się objawów choroby i trwa do pięciu-siedmiu dni po infekcji.

Jak to wygląda w przypadku przeziębienia?

– Zarażać będziesz już dzień przed wystąpieniem objawów. Najbardziej zaś w pierwszych dwóch-trzech dniach po ich pojawieniu się. Inaczej jednak niż grypa przeziębienie trwać

– I dopiero trzeciego-czwartego dnia układ odpornościowy jest w stanie wyprodukować specyficzne przeciwciała dla danego patogenu. Tutaj nie ma cudownych rozwiązań, o które często proszą pacjenci: „Ale ja muszę do pracy”, „Ale ja mam zobowiązania”, „Ale ja nie mogę”. Nie ma. Dlatego zawsze mówię: „Proszę się uzbroić w cierpliwość. Po czterech-pięciu dniach powinno być już lepiej”. Nie, że będzie idealnie, bo kaszel poinfekcyjny potrafi się utrzymywać i parę tygodni. Natomiast

objawy powinny być już dużo łagodniejsze. Co do zasady: aktywowany układ specyficzny potrzebuje jeszcze trzech-czterech dni, by wybić to, co nas zaatakowało.

O ile nie dołączą się powikłania bakteryjne...

– ...bo wtedy trzeba doliczyć kolejne pięć dni, by w pełni stanąć na nogi. Niestety, często wirus toruje drogę bakteriom, które do tej pory były trzymane w ryzach przez mechanizmy odpornościowe. Zaktóża tę równowagę, w efekcie bakterie zaczynają się namnażać. Wtedy konieczny będzie antybiotyk.

Skoro już wiemy, jak groźne mogą być choroby górnych dróg oddechowych, a epidemiolodzy grzmia, że szczyt grypy czeka nas na przełomie lutego i marca, to jak wzmocnić odporność?

– Odpowiem krótko: szczepić się. Przy czym najlepiej byłoby to zrobić w październiku.

No to jest już za późno.

– A skąd. Jako że szczyt zakażeń zapewne jeszcze przed nami, a potrzebujemy kilku tygodni, a nawet miesięcy, by wytworzyły się przeciwciała, to i teraz warto jeszcze się zaszczepić. Będzie jak znalazł pod koniec lutego na wyjazdy na narty.

Problem w tym, że nie ma szczepionek w 100% skutecznych, a szczepiąc się, unikamy jedynie ciężkiego przebiegu zakażenia.

– Podobnie jak nie ma leków w 100% skutecznych, za to każde mogą mieć działania niepożądane. ▶

Szczyt zakażeń zapewne jeszcze przed nami.

to widziałabym większe podobieństwo koronawirusa do grypy niż do przeziębienia – on także zaczyna się gwałtownie, ciężiej przebiega i daje większą gorączkę.

A zaczerwienie i obrzęk nosa mogą być podpowiedzią?

– I tak, i nie. Mogą występować w przypadku każdej z tych infekcji dróg oddechowych, chociaż są bardziej charakterystyczne dla przeziębienia i zakażenia wirusem RSV. Podobnie jest zresztą z kichaniem – towarzyszy przeziębieniu,

będzie około siedmiu dni, stąd powiedzenie, że „leczone trwa siedem dni, a nieleczone tydzień”. Często je pacjentom przytaczam, by niepotrzebnie nie faszzerowali się lekami, które poleci farmaceuta.

Czym to wytłumaczyć?

– Mechanizmem zakażeń górnych dróg oddechowych. Kiedy wirus już nas zaatakuję, najpierw włącza się pierwotny układ immunologiczny.

Dlatego leci nam z nosa, boli nas gardło, drapie nas w nim, pojawia się suchy kaszel. Wzrasta gorączka.

► Powiem więcej, najnowsze badania pokazały, że szczepienie na grypę długoterminowo chroni też przed udarem, zawałem serca i chorobą Alzheimera. Czyli mimo szczepienia możemy zachorować, ale w zdecydowanej większości przypadków to zachorowanie będzie łagodne i nie będzie się kończyło hospitalizacją.

Na co jeszcze możemy i powinniśmy postawić?

– Najlepiej rzucić palenie, bo ono zwiększa podatność na zakażenie.

Przeziębienie zaczyna się stopniowo. Łamie nas w kościach, zaczyna nas poboledować gardło, dołącza się katar. Gorączka, jeśli jest, to niewysoka.

Dbać, by nie mieć otyłości i nadwagi, bo to również obniża odporność i zwiększa ryzyko ciężkiego przebiegu choroby. Zdrowo się odżywiać i myć ręce, co zresztą udowodniły badania. Rekruci, którzy co najmniej pięć razy dziennie myli ręce pod nadzorem, mieli o kilkadziesiąt procent mniejszą liczbę zakażeń górnych dróg oddechowych. Poza tym ruszać się regularnie, bo to także aktywuje układ odpornościowy. Wystarczy 30-40 minut spaceru dziennie, czyli 6-7 tys. kroków. Badanie pokazało, że liczba dni z przeziębieniem podczas 12 tygodni badania u osób ćwiczących zmniejszyła się o 43%.

Co z suplementami diety?

– Tak, ale tu ostrożnie, bo zostało też udowodnione, że duże ich dawki nie przekładają się na zwiększenie odporności, mogą natomiast powodować bardzo poważne konsekwencje. Na przykład pacjenci, którzy przyjmowali za dużo witaminy D, mieli więcej infekcji niż ci, którzy tykali placebo. Ba, czytałam wyniki badań osób, które żyły w dużym nasłonecznieniu. Okazało się, że ich organizmy nie były w stanie wyprodukować większej ilości witaminy niż 60 nanogramów na mililitr. Czyli automatycznie można założyć, że wyższe wartości są нефизjologiczne. W myśl zasady: „Za dużo dobrego nie jest niczym dobrym”.

To poziom maksymalny, a optymalny?

– Dyskusja na ten temat trwa. Na pewno nie mniej niż 20, a najlepiej 30 nanogramów na mililitr. Dlatego najlepiej będzie zrobić prosty test stężenia witaminy D we krwi, zanim po nią sięgniemy. Warto przy tym pamiętać, że każdy z nas ma indywidualne zapotrzebowanie na witaminę, a wiele zależy także od wieku, przebytych chorób i przede wszystkim od ilości tkanki tłuszczowej. Im jej więcej, tym większe zapotrzebowanie na witaminę D.

Czym w ogóle może grozić jej przedawkowanie?

– Poważnym zatruciem, o czym świadczy słynna historia w USA. Swego czasu „New York Post” poinformował, że Gary Null, dietetyczny celebryta, gwiazda medycyny alternatywnej, autor książek o zdrowiu, producent i sprzedawca swoich suplementów, o mało nie umarł po zastosowaniu własnego produktu. „Null stopniowo słabł, w końcu musiał leżeć w łóżku z podniesionymi nogami, ponieważ wszystko tak go bolało, że nie miał siły chodzić – ale wciąż jadł Ultimate Power Meals (własny suplement z witaminą D), myśląc, że to mu pomoże i złagodzi

Grypa ścina z nóg. Pojawia się szybko, nagle i wywołuje wysoką gorączkę. Charakterystyczne są też bóle kości, stawów i głowy.

jego stan. W końcu trafił do szpitala. Tam rozwiązano zagadkę. Z powodu błędu produkcyjnego preparat miał tysiąc razy większą ilość witaminy D, bo aż 2 mln IU”, pisze w książce „Mity medyczne”. Wiadomo też, że sześciu innych pacjentów było hospitalizowanych z ciężkimi uszkodzeniami nerek po zastosowaniu jego suplementu.

To może w tej sytuacji lepiej poszukać naturalnej witaminy D? Szczególnie zimą, kiedy o słońce trudno.

– Tłuste ryby morskie są doskonałym jej źródłem. A przy okazji dostarczymy sobie kwasów omega-3, równie ważnych dla odporności.

Tyle witaminy D, z witaminą C jest podobnie?

– Tak, nie ma dowodów na to, że duże dawki skracają czas przeziębienia. Udowodniono za to, że niedobory witaminy C zaburzają odporność, zwiększają ryzyko różnych chorób. Przy czym powinni o tym pomyśleć przede wszystkim palacze. Wystarczy jednak sięgać po owoce, w mniejszym stopniu po warzywa, by nie cierpieć na jej brak.

Ile dziennie ich jeść?

– Niedużo. Wystarczy już 100-200 gramów, czyli np. jedna pomarańcza. Trzeba też pamiętać, że w pomarańczy witamina C jest w otoczeniu pokrewnych związków, bioflawonoidów i kwercetyny...

...podczas gdy w tabletkach mamy czysty kwas askorbinowy.

– Tak! A to sprawia, że witamina C inaczej działa. Głównie dlatego, że kwas askorbinowy korzysta z tych samych nośników w jelitach, co kwercetyna. To z kolei powoduje, że jeśli mamy w organizmie za dużo syntetycznej witaminy C, może ona zaburzać działanie kwercetyny. A ta, co bardzo ważne, ma działanie przeciwalergiczne i przeciwnowotworowe. Poza tym zmniejsza ryzyko chorób układu krążenia. To bardzo cenna substancja, o której jednak mało się mówi.

Szczegółowe badania zostały przeprowadzone do tej pory m.in. dla syntetycznego beta-karotenu. Podawano go jednej grupie, druga dostawała placebo. Po sześciu latach okazało się, że pierwsza o 18% częściej zapadała na raka płuc. Tłumaczono to tym, że beta-karoten w naturze otoczony jest 600-700 beta-karotenoidami, które nie wchłaniają się prawidłowo, jeśli poziom beta-karotenu jest za wysoki.

A to one, przypomnę tylko, chronią płuca przed nowotworem. Podobnie było w przypadku syntetycznej witaminy E – w nadmiarze zwiększa ryzyko raka prostaty. Z kolei nadmiar kwasu foliowego zwiększa ryzyko wystąpienia polipów okrężnicy.

To może przyjmowanie cynku działa cuda?

– Są badania, które pokazały, że jeśli po niego sięgniemy, choroba szybciej mija. Ale pod warunkiem,

działania z dekstrometorfanem, czyli popularnym lekiem przeciwkaszlowym. Nie było różnicy.

To oznacza, że nie ma co pędzić od razu do apteki, jak już zachorujemy. Bo, jak mówią niektórzy, to tak jak ogrzewać sobie ręce od zapalniczki podczas tankowania samochodu.

– Nawet gorzej. Dziś słyszałam w radiu reklamę jednego leku na infekcje wirusowe, który nie jest nigdzie ujęty w rekomendacjach dla

że nie wolno po nim siadać za kółko. Poza tym zagęszcza on wydzielinę w drogach oddechowych. Trudniej ją wykrztusić, co może sprzyjać nadkażeniom.

A ten trzeci składnik?

– Lek z grupy obkurczających naczynia krwionośne. Choć może pomóc, bo tę substancję stosujemy niekiedy w zapaleniu zatok, to ma ona bardzo dużo przeciwwskazań. Obkurcza naczynia nie tylko w nosie, ale i w jelitach, mózgu i sercu. Dlatego były przypadki, opisywane przez lekarzy, niedokrwienne zapalenia jelita grubego, a nawet udarów mózgu. Trzeba także uważać, bo dodatkowo zwiększa ciśnienie krwi.

To co zamiast nich?

– Paracetamol, głównie jeśli boli głowa.

Skoro to takie proste, to dlaczego tak mało popularne?

– Nikt nie ma interesu w tym, by tę wiedzę upowszechniać. Dla koncernów i aptekarzy to przecież ogromne pieniądze. Ale to również odpowiedź na nasze potrzeby – przecież nadal chcemy wierzyć w magiczną pigułkę, która nas uzdrowi. Niezależnie od tego, czy jest ona na przeziębienie, odchudzanie, włosy, paznokcie. Nie chcemy chorować. A jeśli już, to chcemy bardzo szybko wyzdrowieć.

Dorota Bartosiewicz

Jak wzmocnić odporność? Odpowiem krótko: szczepić się. Przy czym najlepiej to zrobić w październiku.

że zrobimy to na samym jej początku. Tu też uwaga: duża dawka, czyli 75 miligramów dziennie, przyjmowana przez długi czas, będzie zaburzać wchłanianie żelaza. Dlatego znów lepiej postawić na cynk występujący naturalnie. Można go znaleźć m.in. w owocach morza, podrobach i mięsie.

Na co jeszcze warto postawić, jak już nas dopadną ból gardła, katar i silne bóle kości?

– Jeżeli boli nas gardło, sięgnijmy po tabletki do ssania, które mają substancje odkażającą i przeciwbólową. Przy zatkanym nosie – po krople, które pozwolą nam udrożnić ujścia zatok i trąbki słuchowej. A jeśli chodzi o inne leczenie, to jeżeli bolą nas kości i stawy, weźmy leki z grupy niesteroidowych zapalnych. Ale tu uwaga, o ile nie ma ku temu przeciwwskazań, w tym nie cierpimy np. na choroby układu krążenia. Bo trzeba pamiętać, że zwiększają one ryzyko zawałów i udarów.

A co na gorączkę?

– Paracetamol lub inny lek przeciwgorączkowy. Najlepiej dopiero kiedy ta przekroczy 38,6 st. Z gorączką też nie walczyć na siłę, bo przecież stymuluje ona układ odpornościowy. Jeśli nie mamy przewlekłych chorób, pomaga nam zdrowieć. Co najważniejsze, zadbajmy o wyspanie się, odstresowanie i wygrzanie, bo to wszystko zwiększa liczbę komórek układu odpornościowego.

Uprowadzając kolejne pytanie: na kaszel najlepszy będzie miód. Są badania, w których porównywano jego

lekarzy. Nie ma żadnych badań potwierdzających, że faktycznie działa przeciwvirusowo. Za to po jego zażyciu pojawiają się wysypka i biegunka. Inna rzecz, że trzeba też uważać na preparaty złożone na przeziębienie i grypę, równie ochoczo reklamowane w mediach.

Dlaczego?

– Często mają trzy składniki, z których raptem jeden może mieć sens. To paracetamol – na gorączkę i ból głowy. Drugi to stary lek przeciwalergiczny, który działa usypiająco. Ewentualnie może się przydać, gdy kiepsko się czujemy, żeby się wyspać. Ale również trzeba pamiętać,



Polska Misja Medyczna

By rodzić bezpiecznie.
Na całym świecie.

przeznacz 1,5% wpisując
KRS 0000162022

www.pmm.org.pl

Rozbiory Rosji?

Niemądry pomysł

Rozmawia Jakub Dymek

Napisała pani niedawno na stronach „Foreign Affairs”, że pomysł dekolonizacji Rosji – wzmacniania narodowych separatyzmów i nadziei na rozpad Federacji Rosyjskiej – jest niemądry, a zwolennicy tego podejścia się mylą. Dlaczego?

– Zaczniemy od tego, że czym innym jest teoretyczne rozważanie teorii kolonializmu i postkolonializmu w akademickim kontekście, a czym innym wiara, że klęska i rozpad Rosji to panaceum na wszystkie nasze problemy. Z tym pierwszym się zgadzam i uważam, że to potrzebne. Z drugim postulatem mam problem. W Rosji jest autentyczna potrzeba decentralizacji władzy i większej autonomii regionów, ale w szumie informacyjnym łatwo pomieszać bardzo różne rzeczy. Z przekonania, że potrzebujemy jakoś ukarać Rosję za inwazję na Ukrainę, rodzi się u niektórych pogląd, że upadek państwa rosyjskiego jest pożądany. Że rozpad Federacji Rosyjskiej będzie prawdziwym końcem rosyjskiego imperializmu i zamknięciem pewnego rozdziału w historii.

A pani twierdzi, że nie?

– Po pierwsze, nie mamy dowodów, że rozpad – co niektórzy nazywają „dekolonizacją” Federacji Rosyjskiej – jest prawdopodobny. Wielu Rosjan i z pewnością rosyjskie elity pamiętają, jak wyglądały lata 90. po rozpadzie ZSRR. I raczej przeceniamy na Zachodzie ich ochęć na zgotowanie sobie powtórki z historii. Co więcej, nawet mniejszości etniczne czują się w dzisiejszej Rosji częścią jakiejś szerszej wspólnoty losu. Owszem, można mówić, że propaganda i cenzura nie pozwalają im na nic innego: muszą zapewniać, że są patriotycznymi Rosjanami i koniec.



PROF. MARLENE LARUELLE

– dyrektorka Instytutu Studiów Europejskich, Rosyjskich i Euroazjatyckich przy George Washington University

Ale wiemy też, że nie ma dziś tak silnych ruchów separatystycznych czy niepodległościowych – nawet w tzw. republikach etnicznych – jak w latach 90. Nie możemy więc „zdekolonizować” ludów, które wcale tej dekolonizacji nie pragną, prawda? Odnosimy do dzisiejszej Rosji kalki z ZSRR sprzed 30 lat, które mogą już po prostu do rzeczywistości nie pasować.

A po drugie?

– Po drugie, w zachodniej debacie zawsze po cichu lub w domyśle pojawia się taka sugestia, że po rozpadzie Rosji wszystko będzie

łatwiejsze. Choćby dlatego, że znajdziemy wtedy po drugiej stronie partnerów. Nie wiem jednak, skąd przekonanie, że zamieszkujące Rosję mniejszości etniczne będą bardziej liberalne, prodemokratyczne i nastawione na współpracę z Zachodem. W rzeczywistości podział w Rosji przebiega na linii miasto-prowincja, a nie inaczej. Nie ma „prozachodnich” republik i „proputinowskiego” centrum w Moskwie. Tożsamość etniczno-narodowa mniejszości w Rosji nie jest oparta na filarach niechęci do rosyjskiej większości, sympatii do Zachodu i regionalnego separatyzmu.

I dlatego pisze pani, że rozpad – nawet gdyby był prawdopodobny – nie jest rozwiązaniem problemu rosyjskiego imperializmu?

– 80% mieszkańców Federacji Rosyjskiej to etniczni Rosjanie. Ktoś myśli, że oni życzą sobie rozpadu ich państwa? Prędzej doczekamy się wybuchu rewolucji, przemocy, chaosu niż spokojnego rozczłonkowania Rosji na kilka niepodległych państw. W połowie tzw. republik etnicznych również mieszka niemały odsetek Rosjan. Bardziej prawdopodobnym rezultatem rozpadu Rosji będzie więc nie jej demokratyzacja, lecz wojna domowa. Ale nie wojna między np. Inguszami, Tatarami, Czeczenami i Dagestańczykami.

Tylko kim?

– Rosja ma już za sobą jedną taką wojnę. To będzie wojna między różnymi zbrojnymi bojówkami czy służbami oraz frakcjami elit – także na lokalnym poziomie – które będą się

Prof. Marlene Laruelle – autorka wielu badań nad rosyjskim społeczeństwem, nacjonalizmem i kulturą Rosji oraz polityką krajów Azji Centralnej. Jej ostatnia książka to „Is Russia Fascist? Unraveling Propaganda East and West”.

bronili przed rozpadem kraju i utratą władzy. Pamiętajmy, że rosyjskie społeczeństwo już zostało zmilitaryzowane, a w kraju nie brakuje broni. Ani najemników gotowych po nią sięgnąć. Różni Prigożynowie nie będą się krępowali przed użyciem siły.

A nawet jeśli uda się oddzielić rosyjską część kraju od pozostałych, wywoła to poza wojną domową nową falę rosyjskiego rewanżyzmu, który będzie chciał ponownej integracji utraconych terytoriów i zemsty. Nie wiem, skąd zatem bierze

– dlaczego cieszy się aprobatą na Zachodzie? Sam pani tekst powstał przecież jako odpowiedź na różne wezwania do rozbicia Rosji, ukazujące się np. w „Foreign Policy” i „The Atlantic”, ale utożsamiane też przez panią ze stanowiskiem polskiej klasy politycznej.

– Przede wszystkim sądzę, że dzięki postulatowi „dekolonizacji Rosji” można ożywić ramę pojęciową, która jest dobrze znana – powrót zimnej wojny, upadek ZSRR, koniec historii. W tym, co znane, można się poczuć

mają świadomość konsekwencji i ryzyka z tym związanego. Sądzę, że ani nie wierzą w podobny scenariusz, ani nie chcą jego realizacji.

Odrzuca pani w ogóle założenie, że Rosja jest u podstaw imperialistyczna?

– Tak. Uważam, że próba tłumaczenia wszystkiego, co dzieje się w Rosji, za pomocą imperializmu jest mało pomocna. Nawet Putin na początku swojej kadencji wierzył, że Rosja może się zintegrować ze społecznością międzynarodową i oddziaływać na swoje bezpośrednie otoczenie za pomocą *soft power*. Tak jak to robią zachodnie państwa: że Rosja będzie zamożniejsza, ciekawsza pod względem kultury i stylu życia niż sąsiedzi, więc będzie magnesem dla pracowników, inwestycji, kapitału. Oni naprawdę wierzyli, że to może się wydarzyć!

Gdy jednak się nie wydarzyło, imperializm okazał się planem B. Moim zdaniem odnowienie tych tendencji jest skutkiem porażki innych scenariuszy, a nie integralną częścią Rosji. Ale nie chcę bagatelizować innej rzeczy. W rosyjskim społeczeństwie nie brakuje kolonialnej mentalności i kolonialnego podejścia do innych. Jest ono podobne do kolonialnego myślenia w państwach Europy Zachodniej.

Wielu Rosjan i z pewnością rosyjskie elity pamiętają, jak wyglądały lata 90. po rozpadzie ZSRR. Na Zachodzie przeceniamy ich ochotę na zgotowanie sobie powtórki z historii.

się przekonanie, że to jest w jakimś wymiarze „łatwiejsze” rozwiązanie problemu.

Dobrze, ale po rozpadzie ZSRR 30 lat temu różne narody po tej stronie żelaznej kurtyny – Polacy, Czesi, Estończycy – jakoś nie mają powodów do zyczenia.

– Po rozpadzie Związku Radzieckiego dominującą narracją były reintegracja Europy i powrót uciemionych narodów na właściwe miejsce – co bardzo ułatwiło ten proces. Ale, wyjąwszy kraje bałtyckie, trudno powiedzieć, żeby rozpad ZSRR doprowadził do powstania szczególnie sprawnych i zdolnych do integracji z Zachodem państw. Do niedawna ani Ukraina i Mołdawia, ani Kaukaz, ani państwa Azji Centralnej nie były w stanie wykonać zdecydowanego ruchu w stronę integracji z Zachodem. Dziś Ukraina robi, co w jej mocy, żeby dołączyć do Zachodu, ale nawet w Gruzji po momencie prozachodnim nastąpił czas odwrotu i sprzeciwu. W Mołdawii tym bardziej, nie mówiąc o pozostałych państwach postsowieckich. Przekonanie, że na terenach od setek lat zależnych od Rosji teraz nagle wyrosną od podstaw prozachodnie republiki, jest wyłącznie projektowaniem naszych oczekiwań na innych – bez oglądania się na rzeczywistość.

Skoro „dekolonizacja” Rosji to taki zły pomysł – jak pani przekonyje

swojsko i mieć przeświadczenie, że rzeczywistość jest zrozumiała. Ale mamy również dłuższą tradycję historyczną, która mówi, że Rosja, gdy jest wielkim państwem, jest z natury imperialistyczna, a więc wyłącznie zła. W ramach tej tradycji nawet rosyjscy liberałowie i dysydenci są dziedzicami imperialistycznego myślenia, nie ma zatem dla Rosji żadnej nadziei. Jedyny sposób, żeby wybić jej imperialistyczne zęby, to ją rozczłonkować. Według tej diagnozy

Bardziej prawdopodobnym rezultatem rozpadu Rosji będzie nie jej demokratyzacja, ale wojna domowa.

tylko skrajne zdławienie rosyjskiego potencjału – najlepiej przez rozbiory – jest w stanie zdusić rosyjski imperializm. Ale powiedzmy sobie, że mało kto tak naprawdę uznaje to za realistyczne...

Jak to?

– Bo to, o czym pan mówi, to mimo wszystko debata medialna, tocząca się na stronach magazynów i podczas dyskusji panelowych organizowanych przez think tanki. Większość ludzi w dyplomacji i zawodowo zajmujących się stosunkami międzynarodowymi wie, że rozbiór Rosji jest założeniem nierealistycznym. A nawet gdyby było to w zasięgu Zachodu, faktyczni decydenci

Takie jak we Francji albo w Belgii? Czyli przyznaje pani, że traktują Ukrainę jak kolonię?

– No właśnie nie do końca! Rosjanie podobnie jak Europejczycy z Zachodu wobec podbitych przez siebie narodów uważają, że przynieśli im kulturę, cywilizację, nowoczesną gospodarkę, ochronę zdrowia i przemysł. To jest bardzo silnie obecne w stosunku do mniejszości narodowych. Co do różnych regionów, Rosjanie uważają, że one i tak nie mają lepszego wyboru niż przynależność do Rosji. Bo do kogo się zwrócić? Do Iranu, Chin, Afganistanu? Same gorsze, ich zdaniem, wybory. Długo zajmowałam się Azją Centralną ▶

► i rosyjska wizja tego, że inni muszą na nich polegać, jest mocno zakorzeniona. To przykład kolonializmu mentalnego.

A Ukraina?

– To trudniejsze. Badania do niedawna pokazywały, że Ukraina w oczach rosyjskiej opinii publicznej jest bratnim, ale niepodległym państwem. Społeczeństwo rosyjskie nie miało z tym problemu – spokojnie można było mu sprzedawać taką wizję relacji międzynarodowych, w której Ukraina i Rosja są blisko, ale z poszanowaniem swojej odrębności. Co innego elity.

Nie chcę wchodzić w głowę Putina, ale dość łatwo zrozumieć, że elity władzy inaczej widziały rolę i miejsce Ukrainy niż zwykli Rosjanie. Dla Putina, dla kręgów władzy wokół niego Ukraina stała się symbolem całego zachodniego zagrożenia. „Zachód chce nas osłabić, musimy zadbać o ciągłość państwowości”, w tym podporządkować sobie albo przywrócić do rosyjskiego świata Ukrainę. A przynajmniej doprowadzić do

sytuacji, w której nie będzie mogła sobie wybrać własnej orientacji geopolitycznej. W wizji elit rosyjskiej władzy Ukraina mogła być „niepodległa” tak jak dawne republiki radzieckie. A jeśli rządzącym w Kijowie to się nie podoba, uznamy, że to władza pozabawiona legitymacji i antyrosyjska. Większość społeczeństwa wciąż jednak nie popiera reintegracji Ukrainy.

Reintegracja to dość łagodne słowo jak na okupację i nielegalną aneksję.

– Tak, oczywiście. Ale w Rosji społeczeństwo mówiło wcześniej raczej o ponownej integracji Ukrainy i Federacji Rosyjskiej. Choć nawet tak łagodnie ujęty postulat wcale nie cieszył się wielkim poparciem. Opinia publiczna w Rosji nie popiera przyłączenia, wcielenia, okupacji ukraińskich ziem. Za to elity władzy na odwrót – teraz kładą duży nacisk na projekt imperialny.

Pani głos spotkał się z polemiczną odpowiedzią w anglojęzycznej debacie. Prof. Alexander Motyl pisze, że przeszacowuje pani ryzyko

związane z ewentualnym upadkiem Rosji, a pani tezy „należy wziąć w duży nawias”.

– Po to mamy debatę akademicką, żeby się spierać. W ogóle nie mam z tym problemu. Byłoby raczej nie w porządku, gdyby do podobnych dyskusji nie dochodziło. Ale pamiętajmy, że naukowcy też nie żyją w próżni – jesteśmy obywatelami, mamy swoje poglądy, perspektywy. Moja odpowiedź polemistom jest krótka. Niektórzy uważają, że imperia mogą się rozpaść bezkrwawo – ich prawo spokojnie tego dowodzić. Jeśli jednak uważają, że obywatele Federacji Rosyjskiej chcą rozpadu i dekolonizacji Rosji, niech pokażą gdzie i jak niby ma to się wydarzyć. Bo na razie mamy dużo większy, niż się wydaje, problem dotyczący nawet spraw podstawowych: jak ma się skończyć wojna, kiedy i czy zlikwiduje to przyczyny stojące za inwazją.

Jeśli nie rozwiążą tych problemów próby rozbioru Rosji, to co?

– Rozróżnijmy dwie rzeczy. Pytanie o ewentualną „dekolonizację” i pytanie o koniec wojny. Na to pierwsze odpowiadam tak: Rosja musi się zdecentralizować. Na drugie nie ma jasnej odpowiedzi, bo w razie zachwiania się stabilności rosyjskiej władzy możliwe są skrajnie odmienne scenariusze: od zawieszenia broni i wycofania się wojsk po – jak mówili – wojnę domową.

Może być tak, że upadek Rosji usunie jeden problem, ale dostarczy nowych – jak w latach 90. I wrócimy do wszystkich strachów związanych z tamtą epoką: sprzedania komuś broni chemicznej albo biologicznej, utraty państwowej kontroli nad arsenałem jądrowym i wspierania globalnego terroryzmu.

Jakub Dymek

KSIAŻKI

Janusz Szczepański

Mazowsze – Polska – Polonia w walce o niepodległość.

Studia i szkice z lat 2000-2021

Muzeum Niepodległości, Warszawa 2022

Tom studiów i szkiców pod redakcją dr. Janusza Gmi-truka, dr Beaty Michalec i dr. Tadeusza Skoczka zawiera artykuły prof. Janusza Szczepańskiego, które nawiązują do trzech głównych nurtów jego badań nad problematyką niepodległości. W ich zakres wchodziły postawy społeczeństwa ziem polskich i Mazowsza wobec walk o niepodległość w latach 1794-1918 i wojny 1920 r. oraz wkład Polonii w jej odzyskanie.



Jan Jerzy Sobczyk

Cyganeria Piotrkowska, czyli Studencki Teatr Satyry

wydane nakładem autora

Ta szczególna kronika to fragment historii powstałego we wczesnych latach po II wojnie światowej Studium Nauczycielskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Stanowi dobrze udokumentowany i osadzony w realiach ówczesnej Polski zapis działalności powstałego z inicjatywy młodzieży teatru studenckiego. Urodzony w 1938 r. autor, nauczyciel w Witowie i Piotrkowie Trybunalskim, sam pisał teksty i występował w STS-ie. Za swój dorobek został uhonorowany odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej.



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Niestuszenie bardzo sabat w Davos, zwany dla niepoznaki Światowym Forum Ekonomicznym, przeszedł w Polsce jakby niezauważony, nieprzeanalizowany, zanudzony. Wrzenie wywołało tylko śmieszkowanie z paraangielszczyzny wydrukanej przez Dudę Andrzeja, prezydenta. Prezydent nie musi mieć kompetencji językowych, zapewniają je zawodowe tłumaczkę, tłumacze. Zmysł polityczny powinien mu teoretycznie podpowiedzieć, że udawanie władania językiem obcym mu się nie opłaca. W te kulki też nie umiem i co mi zrobicie? Gdyby przyjął taką właśnie codzienną taktykę swojej formacji politycznej – lepiej by na tym wyszedł. Ale nie umie, nie chce, nie ogarnia, wyszedł zatem jak zawsze.

Tymczasem do szefów wielkich korporacji, głów państw (oraz Andrzeja Dudy), „intelektualistów” i innych ludzi znaczącego wpływu zebranych podczas 53. forum w szwajcarskim Davos dotarł zaskakujący list. Jego autorami było 200 (słownie: dwustu) miliarderów i milionerów z 13 państw, którzy zaapelowali we własnym imieniu i raczej z przekonaniem: „Podstawą demokracji jest

[org/wp-content/uploads/Davos-Report-2023.pdf](https://www.oxfam.org/wp-content/uploads/Davos-Report-2023.pdf)). Oxfam zaproponował objęcie majątków miliarderów i milionerów pięcioprocentowym globalnym podatkiem. Pozwoliłoby to zebrać 1,7 bln dol. rocznie i pomóc w wyciągnięciu z biedy 2 mld ludzi. Pewnie, pewnie, od listu do decyzji droga daleka, 200 miliarderów wiosny nie czyni, kolejnych tysięcy ani myślą o tak potwornej propozycji. Podobnie jak kiedyś mówili o pomysłach na ograniczenie pracy dzieci, ośmiogodzinnym dniu pracy, sześć-, pięcio-, czterodniowym tygodniu pracy, zwolnieniach lekarskich, powstawaniu związków zawodowych. To wszystko miało zabić ich ukochany kapitalizm, który garstkę najbogatszych ożlać przez stulecia, ale nigdy w takim tempie jak dzisiaj.

Mniej więcej w tym samym czasie w wywiadzie prasowym jeden z najbogatszych ludzi na Ziemi, Bill Gates, który od lat rozparcelowuje swój niewyobrażalny majątek, stwierdził: „Jeśli chodzi o bardzo bogatych, uważam, że powinni oni płacić dużo wyższe podatki i z czasem oddawać swoje bogactwo. Jest to dla mnie bardzo satysfakcjonujące i jest to moja praca na pełny etat”. Nigdy

Miliarderów ruch społeczny?

sprawiedliwy system podatkowy, a jako milionerzy wiemy, że obecne rozwiązania nie są sprawiedliwe. W ciągu ostatnich dwóch lat, gdy świat przechodził przez ogromne cierpienia, nasze majątki się powiększały, ale niewielu z nas, jeżeli w ogóle, może powiedzieć, że płaciło podatki, które można uznać za sprawiedliwe”. „Opodatkujcie nas, bogatych, i zróbcie to teraz!”, zaskandowali epistolarnie bogacze (costofextremewealth.com). Śmiało i wbrew dotychczasowej praktyce systemowej naprawę globu chcieliby zacząć od zwiększenia swoich obciążeń podatkowych. Inaczej takie spotkania jak to w Davos są mydleniem oczu. Piszą: „Dopóki uczestnicy nie wezmą pod uwagę tego prostego, efektywnego, narzucającego się wręcz rozwiązania – opodatkowania bogatych, światowa opinia publiczna będzie nadal postrzegała ich deklaracje o zaangażowaniu w naprawianie globalnych problemów jako niewiele więcej niż przedstawienie. Historia pokazuje, jak kończą społeczeństwa dzielone przez ekstremalne nierówności, czas zmierzyć się z tym problemem; pokażcie ludziom świata, że zasługujecie na ich zaufanie”.

Apel bogaczy współbrzmiał z najnowszym raportem Oxfamu, globalnej organizacji walczącej z głodem, nierównościami i niesprawiedliwością, który informuje, że „w latach 2020-2022, podczas światowych zmagania z pandemią, majątek 1% najbogatszych ludzi świata rósł szybciej niż w poprzednich 10 latach. Ten kryzys wytworzył 42 bln dol. nowego majątku, z którego 26 bln dol. przypadło na 1% najbogatszych mieszkańców świata” (patrioticmillionaires.com).

dość przypominania, że w czasach największej gospodarczej prosperity w USA za rządów Dwighta Eisenhowera (1953-1961) podatek wynosił 91% i był pobierany od dochodów przekraczających 400 tys. dol. W Wielkiej Brytanii – 98% (strefainwestorow.pl/artykuly/rekordowe-podatki-w-historii-najbogatsi-placili-nawet-98-swoich-dochodow). Apple w 2014 r. mógł płacić podatek od wypracowywanych w Europie zysków wedle stawki 0,005%.

Polski peryferyjny kapitalizm i jego krezusi pozostają daleko w tyle za sygnatariuszami listu. Niskie podatki dla najbogatszych mają dzisiaj nad Wisłą status Najświętszej Prawdy Wiary Objawionej, wyznaje tę religię więcej osób, niż wierzy w boskość i zmartwychwstanie Jezusa czy świętość Kościoła. Wystarczy przypomnieć, z jaką wściekłością zareagowano na pomysł partii Razem sprzed kilku lat, żeby w ogóle rozmawiać o podatkach progresywnych. Ubodzy krewni tak bronili uprzywilejowania bogatych, że nie zauważyli nawet, że sami dźwigają ciężar podatkowego utrzymania państwa. Każdy chciał być Kulczykiem swojego losu. I może dlatego taka cisza nad tym listem w polskich mediach. A poza tym kto to widział, żeby komunistami byli miliarderzy? Przecież to wbrew naturze. I ekonomii. Każdy Witold Gadowski czy inny Bogusław Grabowski albo Korwin wam to powie.

A mnie cieszy. Oddajcie z posad bryłę świata, dziś wszystkim – jutro niczym wy! Jesteście to winni zdemolowanemu, zubożonemu światu.

Z Polski listu 200 miliarderów nie podpisał nikt. ■

Marcin Ogdowski
Korespondencja z Bachmutu

Hrebennie zdumiewa zwyczajnością. Żadnych uchodźców, płochu, rozdzierających serce scen, którymi karmiła się wyobraźnia Polaków 11 miesięcy temu. Ot, rutynowo działające przejście na polsko-ukraińskiej granicy. Świadomość, że tam, na wschodzie, toczy się brutalny konflikt, nijak nie przystaje do widoku sunących w obie strony cywilnych ciężarówek. Wyładowane tiry będą mi towarzyszyć aż do samego Donbasu, co z czasem – im bardziej wojna będzie odciskać piętno na otoczeniu – nabierze iscie surrealistycznego wymiaru.

– Z kraju wyjechało mnóstwo ludzi, ale dużo więcej zostało. Chcą jeść, pić, jakoś żyć – mówi z uśmiechem ukraiński pogranicznik, który przywykł już do wojennej (nie)normalności.

Iluzja „po staremu”

Na trasie do Lwowa o wojnie przypominają przydrożne billboardy



Kraj w ciemnościach

**Donbas to najjaśniejsza nocą część Ukrainy.
Rozświetlona przez artylerię...**

stawiające bohaterstwo żołnierzy ZSU (sił zbrojnych Ukrainy). Co rusz przemykające wojskowe łaziki i busy nie są niczym nadzwyczajnym – w okolicy znajduje się wielki poligon w Jaworowie. Dziwić może za to „nadreprezentacja” wieloosiowych lawet zmierzających ku Polsce. Wcześniej, jeszcze u nas, widziałem kilka takich pojazdów załadowanych amerykańskimi terenówkami humvee. Na południowo-wschodniej granicy RP trwa największa operacja logistyczna od czasu zakończenia II wojny światowej. Każdej doby – głównie przez tymczasowe przejścia – przerzuca się masę sprzętu niezbędnego do prowadzenia

wojny z Rosjanami. Wwóz do Ukrainy co większych „przesyłek” odbywa się nocą. Ryzyko ataku rosyjskiego lotnictwa jest znikome, ale istnieje. Dlatego lawety z ładunkiem trudno zobaczyć za dnia – puste, wracające na granicę, już dużo łatwiej.

I dopiero pod Kijowem wojna na dobre wdziera się w krajobraz. Prowadząca do miasta szosa E40 jest w pełni przejezdna, ale zarazem okaleczona. Gruz z uszkodzonych estakad uprzątnięto, leje zaasfaltowano, wraki rosyjskich czołgów – masowo niszczone w lutym i marcu ub.r. na podejściu do stolicy – odholowano na składowiska złomu. Gdzieniegdzie

jednak – po obu stronach drogi – wciąż straszą wypalone budynki.

– W tym miejscu Rosjanie rozstawili działa – odezwał się w którymś momencie nasz ukraiński przewodnik. – Wykończyły ich nasze pionys.

Mężczyzna miał na myśli armaty strzelające amunicją o kalibrze 203 mm. Zaprojektowane jeszcze w czasach radzieckich, także do użycia pocisków jądrowych. Mijałimy właśnie jedno z bezkolizyjnych przejść dla pieszych – cokolwiek tam uderzyło, tylko przęsta pozbawione kładki oraz ślady po zasypanych dziurach w pasie rozdzielającym jezdnie stanowią dowód dramatu.

Mniej więcej jedna trzecia zabudowy Bachmutu nosi ślady ostrzałów.



w centrum metropolii – uszkodzony w sylwestrową noc w ataku drona kamikadze. Jednego z szahidów-136 zakupionych przez Rosję w Iranie (oficjalnie noszących nazwę Gerań-2 i będących rzekomo rosyjskiej produkcji; Rosjanie wstydzą się, że muszą kupować broń od Irańczyków). Dron uderzył w róg budynku, obdzierając go z części fasady. Tyle dobrego, że nikt nie zginął, a obiekt nadaje się do odbudowy. Skutki eksplozji przywołujące na myśl katastrofę budowlaną mogą pomóc w podtrzymaniu iluzji, że wszystko jest „po staremu”. Do czasu aż nadejdzie zmrok.

Byli ludzie – nie ma ludzi

Ukraina tonie wtedy w ciemnościach. To wojenna profilaktyka, mająca utrudnić działania agresorom, ale i efekt rosyjskich ataków na

inny poziom wyzwania. Ukraina jest ogromna, między miastami można przejechać dziesiątki kilometrów i nie natknąć się na żadną osadę. Nawet w czasach pokoju oznaczało to brak choćby minimalnej poświaty. Dobry wzrok i solidne reflektory auta były zatem pożądane już wcześniej, w realiach wojny bez nich ani rusz.

Owa ciemność skrywa – poza typowymi niebezpieczeństwami dla podróżnych – bolesne tajemnice. W okolicach wyzwolonego jesienią Iziumu stanęliśmy przed betonową barierą, blokującą wjazd na wysadzony przez wycofujących się Rosjan most. Gdzieś w pobliżu zbudowano tymczasową przeprawę, postanowiliśmy więc się rozejrzeć. Szybko ustaliłem, że jesteśmy w centrum jakiegoś przysiółku. Po obu stronach rozoranej drogi stały typowe ukraińskie chatki, wyglądające i bez wojny jak sto nieszczęść. Przyzwyczajony do ciemności wzrok pozwalał dostrzec pokaleczone bryły. Zerwane dachy, wybite okna, przestrzelone ściany. Powalone płoty, wrak auta – popularnej na Wschodzie łądy kopiejk. I ani śladu żywej istoty, choćby zdziczałych psów, które w Donbasie kręca się watahami. Osada była martwa. Na jednym z budynków widniało zaś wielkie „Z” wymalowane białą farbą, widoczne i bez światła latarki. Żołnierze Putina w ten sposób pieczętują „powrót” wiosek do „rosyjskiej macierzy”. „Z” znaczy tyle, co „to nasze”. I zwykle wiąże się z destrukcją. Całkowitą, którą można podsumować stwierdzeniem: byli ludzie – nie ma ludzi. W drodze z i do Bachmutu widziałem wiele tak potraktowanych osad. Wyzwolonych gruzowisk...

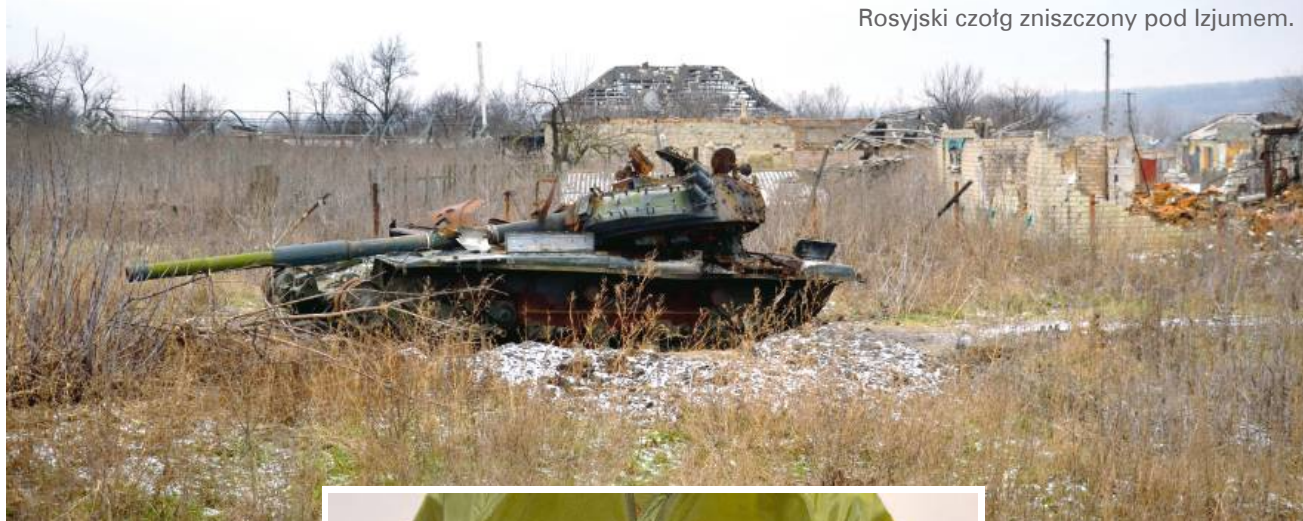


Mieszkańcy Bachmutu nie zawsze mają dostęp do wody innej niż z kałuż.

Pojechałem do Ukrainy z konwojem humanitarnym zorganizowanym przez Fundację Otwarty Dialog. Kijów był jedynie przystankiem w drodze do Bachmutu. Zabrakło zatem okazji, by rozejrzeć się po mieście. Znam je nieźle z wcześniejszych wyjazdów, gdy relacjonowałem konflikt w Donbasie i zwykle od Kijowa zaczynałem podróż. W tamtych czasach z trudem znajdowało się ślady tego, że kraj był w stanie wojny. Dziś jest inaczej. Przykładem niech będzie hotel Alfa

infrastrukturę energetyczną. Kijów – o czym przekonałem się w drodze powrotnej – wygląda wówczas upiornie. Wieżowce – ślepe, bo pozbawione rozświetlonych okien – ujawniają swój nienaturalny charakter. Widać jedynie kontury czegoś wielkiego, co budzi atawistyczny niepokój. Na szczęście są uliczne sygnalizatory, dające odrobinę światła. Ale za rogatkami – w tym przypadku mającymi postać obsadzonych przez wojsko lub policję blockpostów – zaczyna się

Na tym tle Bachmut również zaskakuje. Miasto od kilku miesięcy nie schodzi z czołówek serwisów informacyjnych. Toczona o nie bitwa zwłaszcza w rosyjskiej propagandzie zyskuje miano „stalingradzkich zmagania”. Tymczasem – wbrew narracjom obu stron – miejscowość wcale nie jest kompletnie zniszczona. Przedmieścia Bachmutu od wschodniej i północnej strony – skąd idą najcięższe ataki Rosjan – wyglądają źle, lecz nawet tam nie można mówić o totalnej destrukcji. Niewiele jest całkiem zburzonych domów, choć ▶



► sporo zostało poważnie uszkodzonych i nie nadaje się do zamieszkania. W centrum i pozostałej części miasta wiele budynków stoi nietkniętych, pośród nich wielkogabarytowe wieżowce. Generalnie mniej więcej jedna trzecia zabudowy nosi ślady ostrzałów: wypalone mieszkania – czasem całe piętra – zapadnięte dachy, usiane dziurami od odłamków fasady, pozbawione szyb okna. Główne drogi – mimo że zryte gąsienicami – są przejezdne; powalone drzewa, lampy i słupy energetyczne na bieżąco usuwa z jezdni wojsko. Gdzieś tam widać leje, których liczba także potwierdza, że Bachmut nie jest zasadniczym celem artyleryjskiego ostrzału. Bitwa toczy się pod miastem, a za sprawą wystrzeliwanych z obu stron pocisków poniekąd i nad nim. Czasem tylko „coś” wpadnie do środka.

Donbaska rzeczywistość

Rosjanie oszczędzają Bachmut nie bez powodu. Wiosną i latem bez skrupułów niszczyli szturmowane miasta, o czym najlepiej świadczą losy Mariupola i Siewierodoniecka, które wyglądają dzisiaj niczym Warszawa w 1945 r. Wtedy jednak nie zakładano, że wojna przeciągnie się do zimy i że tak dramatycznie zmieni się jej charakter. Infrastruktura Bachmutu jest najeżdżcom potrzebna do



Małe drony zmodyfikowane są tak, by przenosić ładunki termobaryczne.

przezimowania i odpoczynku. Budynek mieszkalny zabezpiecza przed kiepską pogodą. Nade wszystko jednak, szczególnie wielopiętrowy, lepiej niż okop czy ziemianka chroni przed niewielkimi dronami, które atakują z zaskoczenia (zagłuszonego kanonadą silnika nie słysząc) i z małej wysokości, precyzyjnie rażąc nawet pojedynczych żołnierzy. Rosjanie stracili w ten sposób tysiące ludzi, Ukraińcy zresztą też, choć to oni są pionierami takiego wykorzystania „zabawkowych” bezpilotowców i mają na tym polu większe sukcesy.

Oszczędzanie miasta sprzyja bachmuckim „robinsonom”. W Bachmucie mieszkało przed inwazją ponad 70 tys. osób, teraz zostało ich raptem kilka tysięcy (taki rząd wielkości podają ukraińscy żołnierze). Na ewakuację nie zgodzili się głównie ludzie starsi albo na różne sposoby złamani przez życie, którzy nie mają gdzie, do kogo i za co uciekać. „Spotkasz tam sporo

żuików – alkoholików, narkomanów, bezdomnych”, mówiono mi przed wyjazdem. Czy spotkałem? Bachmut pozbawiony jest prądu, gazu, ogrzewania. Mieszkańcy nie zawsze mają dostęp do wody innej niż z kałuż. Zimą w takich warunkach już po kilku tygodniach nawet najzdrowsza twarz staje się opuchnięta, a najbardziej wyszukaną garderobę zastępuje wielowarstwowa „cebula”.

„Uważaj na kolaborantów”, ostrzegano mnie również. Nie wiem, ilu spośród tych, którzy zostali, czeka na „wyzwolenie”. Spotkałem jedną taką osobę – starszego mężczyznę. – Będzie, co będzie – stwierdził, wcześniej opowiadając o rodzinie, żonie i dzieciach, która jeszcze przed wojną wyemigrowała do Rosji. – Chciałbym do nich, bo tu nic mnie nie trzyma – przyznał. W rosyjskich żołnierzach widział swój „pomost” do bliskich. Ot, donbaska rzeczywistość – w wydaniu, które słuszny gniew na Rosjan często nam przesłania.

Śmiercionośne ptaszki

Ta rzeczywistość to także front. Nie wiem, jak wygląda od strony rosyjskiej – zapewne podobnie. Od ukraińskiej można go podzielić na trzy strefy. Pierwszą stanowi frontowa linia umocnień; świadomy uproszczenia, określe ją mianem okopów. Trzecia – oddalona o kilkanaście kilometrów

– to domena artylerii. Dziś nie są to już statyczne stanowiska, nawet na tych odcinkach, gdzie trwają starcia pozycyjne. Drony i radary artyleryjskie – dramatycznie zwiększające ryzyko wykrycia, a więc i porażenia ogniem kontrbaterijnym – wymuszają mobilność, co dotyczy dział samobieżnych, ale i holowanych armat. Między tymi dwiema składowymi frontu znajdują się zaś centra operacyjne „droniarzy” – tych, którzy sterują małymi bezpilotowcami, przeznaczonymi do wykrywania i niszczenia rosyjskich pododdziałów. Niszczenia bezpośredniego – przy użyciu ładunków podczepianych pod aparaty – oraz pośredniego, poprzez wskazywanie dokładnych koordynat artylerii.

Byłem w jednym z takich centrów pod Bachmutem. To solidnie zamaskowana, częściowo ułożona pod ziemią baza. Jej „mózgiem” jest pomieszczenie, gdzie komputery zbierają dane z kamer dronów, wyświetlane następnie na dwóch dużych i kilku mniejszych monitorach; resztę obiektu stanowi część magazynowa i socjalna. Centrum zarządza pracą

kilkunastu operatorów dronów (rzecz w tym, by wysyłani na pierwszą linię „droniarze” nie dublowali zadań). Spięty w sieć system działa dzięki starlinkom, satelitom telekomunikacyjnym firmy SpaceX.

Drony rozpoznawcze przeczesują teren w poszukiwaniu celów dla artylerii – większych skupisk piechoty, wozów bojowych, czołgów. Mniejsze, czterowirnikowce, atakują niewielkie grupki żołnierzy. Zmodyfikowane tak, by przenosić np. 750-gramowe ładunki termobaryczne. „Minus 22”, napisał kilka dni temu Swietosław, operator, którego poznałem pod Bachmutem. Ta informacja znalazła się na profilu społecznościowym wojskowego z następującym zastrzeżeniem: „Nie, nie chodzi o pogodę”.

– Dziennie potrafimy wyeliminować nawet 40 Rosjan – Swietosław, jak wielu żołnierzy tej wojny, po obu stronach, nie mówił wprost o zabijaniu. A demonstrował przy tym sposób montażu niewielkiej bomby termobarycznej. Wypala ona tlen z obszaru objętego eksplozją, powodując poważne oparzenia i urazy

wewnętrzne („termobaryki” zabijają ogniem i skokiem ciśnienia; jest on niższy niż w przypadku tradycyjnych ładunków, ale trwa znacznie dłużej – stąd te urazy). – Oczywiście Rosjanie starają się nam przeszkadzać, zakłócać pracę dronów. Czasem je oślepią, czasem strącą. Dbamy o nasze „ptaszki”, ale wiele z nich szybko odchodzi.

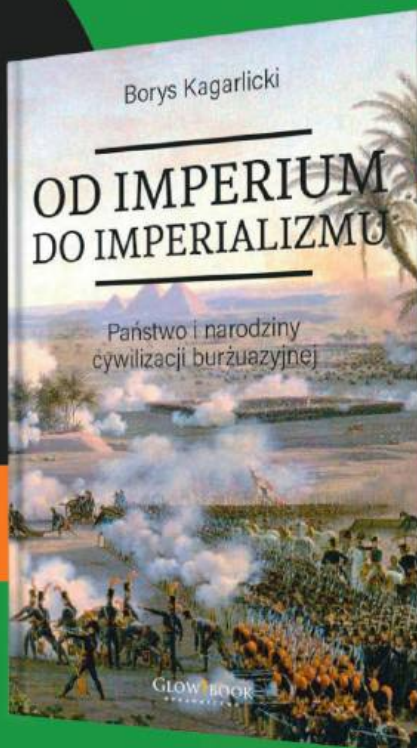
Jednostka Swietosława co rusz otrzymuje nowe aparaty – kilkanaście dni temu 17 sztuk dostarczyli polscy posłowie z opozycyjnych partii (Hanna Gill-Piątek, Adam Szaflarka, Piotr Borys, Witold Zembaczyński i Paweł Krutul – jedyni zachodni politycy, którym udało się dojechać tak daleko). Co istotne, cały czas mowa o cywilnych urządzeniach, dostępnych na światowych rynkach także dla Rosjan. Dronowa wojna ma więc i taki wymiar – rywalizacji wolontariuszy pracujących na rzecz obu stron, wykupujących sprzęt od producentów i dystrybutorów.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeгляд.pl

Błyskotliwa synteza dziejów systemu kapitalistycznego autorstwa wybitnego socjologa, lewicowego opozycjonisty wobec rządów Putina. Pasjonująca wędrówka przez wieki historii ludzkości ujętej jako jeden organizm – system-świat. Próba odpowiedzi na pytanie: czy czeka nas nowa globalna hegemonia?

**Zamów książkę u nas:
WWW.GLOWBOOK.NET**

Od listopada dostępna w sieci Empik i dobrych księgarniach.



„Borys Kagarlicki to jeden z najlepszych analityków politycznych naszego pokolenia”.

**Jonathan Steele,
„The Guardian”**

Sprawa Emanueli Orlandi powraca

Czy wszczęte w Watykanie dochodzenie wyjaśni tajemnicę zaginięcia córki urzędnika Prefektury Domu Papieskiego?



Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Pietro Orlandi ma nadzieję, że będzie mógł przedstawić posiadaną dokumentację w trakcie wszczętego przez Watykan dochodzenia.
Rzym, 14 stycznia 2023 r.

„Od wielu lat prosimy o współpracę w celu ostatecznego rozwiązania sprawy Emanueli. Wszczęcie dochodzenia przez watykański wymiar sprawiedliwości to bardzo pozytywna informacja, choć my dowiedzieliśmy się o tym z doniesień prasowych. Mamy nadzieję, że w końcu dojdzie do współpracy między państwem włoskim a państwem watykańskim, zważywszy na fakt, że nie tak dawno złożono propozycję wszczęcia śledztwa parlamentarnego także we Włoszech – mówił Pietro Orlandi dziennikarzom podczas wiecu, który odbył się 14 stycznia 2023 r., w 55. rocznicę urodzin zaginionej siostry. – Mam nadzieję, że wraz z moją prawniczką zostanę wezwany do Watykanu i będziemy mogli przedstawić posiadaną

dokumentację. Prosimy o to z mecnas Laurą Sgrò już od dawna”.

Tym razem powodem publicznego zabrania głosu przez Pietra Orlandiego była nie tylko rocznica urodzin Emanueli, ale też podana przez media 9 stycznia i potwierdzona później przez Watykan wiadomość, że promotor watykańskiego wymiaru sprawiedliwości Alessandro Diddi (mianowany na to stanowisko we wrześniu 2022 r. – przyp. aut.) rozpocznie dochodzenie w sprawie zaginięcia córki urzędnika Prefektury Domu Papieskiego.

40 lat beznadziei

22 czerwca 1983 r. 15-letnia Emanuela Orlandi wyszła 10 minut

wcześniej z lekcji muzyki w szkole znajdującej się obok kościoła św. Apolinarego w centrum Rzymu. Z budki telefonicznej zadzwoniła do domu, informując, że jakiś mężczyzna w samochodzie zaproponował jej dobrze płatną pracę przy rozdawaniu ulotek kosmetyków Avon na pokazie mody sióstr Fontana. O godz. 19.30 na przystanku autobusowym rozstała się z przyjaciółką Raffaellą Monzi i ślad po niej zaginął. Sześć tygodni wcześniej, 7 maja, zaginęła inna nieletnia rzymianka – Mirella Gregori.

Hipotezę uprowadzenia Emanueli potwierdził papież Jan Paweł II, apelując o jej uwolnienie podczas modlitwy Anioł Pański 3 lipca 1983 r. Pierwszy, nigdy nieujawniony telefon do Watykanu domniemani porywacze

wykonali jeszcze tego samego wieczoru, gdy zaginęła dziewczyna (papier był wtedy w Polsce). Kolejne miały miejsce po 5 lipca i trwały przez ponad rok. Do porwania Emanuela przyznało się pięć organizacji, wśród nich tureckie ugrupowanie terrorystyczne Szare Wilki. Porywacze dzwoniли zarówno do domu Orlandich, jak i do ich dawnego adwokata oraz do Watykanu. Pertraktacje prowadzili „Amerykanin” (człowiek z amerykańskim akcentem, dobrze znający środowisko kościelne) oraz „Mario” i „Pierluigi”. Pierwszą postawioną hipotezą było porwanie w celu wymiany na Alego Ağcę lub wymuszenia jego ułaskawienia.

W 2005 r. do popularnego włoskiego programu telewizyjnego „Chi l’ha visto?” (Kto widział?), zajmującego się poszukiwaniem zaginionych, zadzwoniła anonimowa osoba i poinformowała, że aby rozwiązać sprawę Emanuela Orlandi, należy sprawdzić, kto jest pochowany w krypcie bazyliki św. Apolinarego i jaką przysługę kard. Ugo Polettiemu wyświadczył Enrico De Pedis (zwany Renatino) – boss potężnej stuletniej grupy przestępczej, znanej jako banda z Magliany. W rzymskim kościele rzeczywiście odkryto nagrobek Renatina. Trzy lata później Sabrina Minardi, była kochanka gangstera, opowiedziała, że Orlandi została porwana i była przetrzymywana przez ludzi De Pedisa, ale ona sama odwiozła ją na watykańską stację benzynową, gdzie odebrał ją mężczyzna w stroju duchownego. Minardi opowiedziała również o związkach De Pedisa z abp. Paulem Marcinkusem, byłym szefem banku watykańskiego IOR, oraz o praniu brudnych pieniędzy. Wtedy pojawiła się hipoteza, że Emanuela została porwana, by szantażować papieża Jana Pawła II, który przeznaczył watykańskie pieniądze na walkę z komunizmem w Polsce. Porwanie Orlandi miałoby związek z zabójstwem bankiera Roberta Calviego, a zleceniodawcą obu mogłaby być sycylijska mafia – cosa nostra.

Po tych wypadkach dochodzenie ruszyło z miejsca. Prowadzący sprawę zastępca prokuratora Giancarlo Capaldo zaczął iść tropem bandy z Magliany. Został przesłuchany m.in. ks. Pietro Vergari, były rektor bazyliki

św. Apolinarego. Dopiero po siedmiu latach, w 2012 r., otworzono grób De Pedisa, ale znaleziono w nim tylko szczątki rzymskiego bossa. Śladu po Emanuela nie było.

Rok później do uprowadzenia Orlandi i Mirelli Gregori przyznał się rzymski fotograf Marco Accetti, który oddał flet rozpoznany przez rodzinę. Po przesłuchaniach został jednak uznany za mitomana.

W tej sytuacji w 2015 r. na wniosek prokuratora generalnego Republiki Włoskiej Giuseppe Pignatonego ze względu na brak dowodów dochodzenie w sprawie zaginięcia Emanuela Orlandi i Mirelli Gregori zostało zamknięte. Sąd kasacyjny potwierdził tę decyzję.

Tymczasem w 2018 r. rodzina Orlandich, po otrzymaniu anonimowej wiadomości: „Szukajcie w miejscu, na które wskazuje anioł”, wystąpiła o otwarcie dwóch historycznych grobów na cmentarzu niemieckim na terenie Watykanu. Sekretarz stanu kard. Pietro Parolin zezwolił na to w lipcu 2019 r. Groby były jednak puste. Analizie poddano też ludzkie kości znalezione w 26 workach w ossarium cmentarza. Wykluczyła ona, że wśród nich znajdują się szczątki Orlandi.

W październiku 2019 r. Giuseppe Pignatone został powołany na przewodniczącego Trybunału Watykańskiego.

Zapisy z WhatsAppa

Jak niedawno ujawniła adwokatka rodziny Orlandich, w jej posiadaniu są zapisy korespondencji (ok. 50 wiadomości) prowadzonej przez telefon za pośrednictwem aplikacji WhatsApp pomiędzy dwiema osobami. Laura Sgrò oświadczyła, że już w ubiegłym roku przedstawiła je promotorowi watykańskiego wymiaru sprawiedliwości, prosząc o otwarcie dochodzenia.

„To wymiana wiadomości między dwiema osobami bardzo bliskimi papieżowi Franciszkowi” – powiedziała prawniczka w programie telewizyjnym „Porta a porta” (Od drzwi do drzwi). „Określały one istnienie dokumentów dotyczących Emanuela jako problem do rozwiązania,

wspomniano też o rabusiach grobów, którzy mieli przyjąć z wykrywaczem metali, i o tym, kto za to zapłaci”.

Według tygodnika „Il Fatto Quotidiano” jedną z tych osób jest prałat Lucio Vallejo Balda, skazany w 2016 r. na 18 miesięcy więzienia w procesie Vatileaks 2. Drugi to kard. Santos Abril y Castelló. Nie mają oni nic wspólnego ze zniknięciem Emanuela, ale mogą posiadać jakieś dokumenty związane z tą sprawą.

W trakcie tej wymiany wiadomości padło też nazwisko ówczesnego szefa żandarmerii watykańskiej, Domenica Gianiego, do którego nie należało się zwracać pod żadnym pozorem. Konwersacja miała mieć miejsce dwa lata przed otwarciem grobów na cmentarzu niemieckim w Watykanie.

Nie mając żadnej odpowiedzi ze strony promotora wymiaru sprawiedliwości Alessandra Diddiego, w grudniu ub.r. Pietro Orlandi i Laura Sgrò napisali list do papieża Franciszka, doręczony mu przez zaufaną osobę. Papież odpowiedział im po miesiącu, zachęcając, aby zwrócili się do Trybunału Watykańskiego.

Impuls

Laura Sgrò i Pietro Orlandi nie mają wątpliwości, że obecne wszczęcie dochodzenia nastąpiło z woli papieża. Wielu watykanistów i dziennikarzy śledzących to, co dzieje się za Spizową Bramą, zadaje sobie pytanie, czy impulsem do działania stała się dopiero śmierć Benedykta XVI. Jego osobisty sekretarz abp Georg Gänswein w wywiadzie wyemitowanym 2 stycznia br. przez telewizję Rai 3, komentując abdykację papieża Ratzingera przed 10 laty, powiedział: „Skandale nie wpłynęły na tę decyzję, ale diabeł nigdy nie śpi i wystąpił przeciwko niemu”.

W książce „Tylko prawda. Moje życie u boku Benedykta XVI”, która ukazała się wkrótce po śmierci papieża emeryta, abp Gänswein napisał, że nigdy nie sporządził żadnych dokumentów w sprawie Orlandi i że ta dokumentacja nie została nigdy ujawniona jedynie dlatego, że nie istnieje.

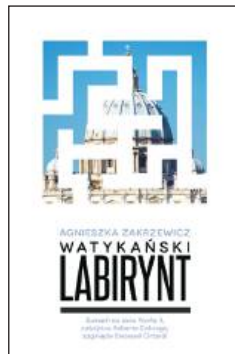
O jaką dokumentację chodzi? Po wyborze Benedykta XVI brat zaginionej chciał zwrócić się do papieża ▶

CZY UDA SIĘ WRESZCIE ODKRYĆ PRAWDĘ?

W książce „Watykański labirynt. Zamach na Jana Pawła II, zabójstwo Roberta Calviego, zaginięcie Emanuela Orlandi”, wydanej przez Czarną Owcę w 2013 r., spróbowałam przedstawić wszystkie hipotezy dotyczące sprawy Emanuela Orlandi i wraz z moimi rozmówcami pójść ich śladem. Były one następujące:

1. Porwanie Emanuela zorganizowały służby specjalne państw komunistycznych i było ono związane z zamachem na papieża.
2. Stał za nim wywiad włoski i amerykański z inspiracji Watykanu.
3. Dziewczyna została uprowadzona przez bossa bandy z Magliany, Enrica De Pedisa, na zlecenie abp. Marcinkusa, szefa banku watykańskiego IOR.
4. Porwania dokonała rzymska banda z Magliany na zlecenie cosa nostry, aby zaszantażować Watykan i odzyskać pieniądze przeznaczone przez papieża Polaka na walkę z komunizmem.
5. Zostało dokonane przez Szare Wilki, aby uwolnić Alego Ağcę.
6. Emanuela była świadkiem czegoś, czego nie powinna widzieć (np. pedofilii) i nigdy nie opuściła budynku bazyliki św. Apolinarego.
7. Sprawa zaginięcia miała podłoże seksualne.

Może się wydawać, że przez ostatnie 10 lat niewiele nowego wydarzyło się w tej najbardziej tajemniczej i zawiłanej intrydze watykańskiej. Czy uda się wreszcie odkryć prawdę? Czy watykańskie dochodzenie ujawni, co stało się z Emanuelem Orlandi, czy też definitywnie zamknie sprawę bez jej wyjaśnienia?



„Niestety Watykan nigdy nie miał żadnych konkretnych elementów użytecznych do jej rozstrzygnięcia, które miały zostać przekazane śledczym”, zapewniał natomiast były sekretarz Benedykta XVI w książce „Tylko prawda”.

List Alego Ağcy

W połowie grudnia ub.r. Pietro Orlandi otrzymał długi list od Alego Ağcy – tureckiego zamachowca, który 13 maja 1981 r. strzelał do Jana Pawła II na placu św. Piotra. W liście 64-letni Ağca, który dziś żyje w Stambule, gdzie brat zaginionej spotkał się z nim w 2010 r., podał nową wersję faktów sprzed 40 lat. Na początku podkreślił: „Nikt mi nie zlecił zabicia papieża i nikt mi za to nie płacił. Na placu św. Piotra byłem sam i oddałem dwa strzały”. Następnie napisał, że porwanie Emanuela Orlandi wiąże się z porwaniem Mirelli Gregori, i dodał, że papież Wojtyła, wierząc w trzecią tajemnicę fatimską oraz misję nawrócenia Rosji, „sam chciał, abym oskarżył bułgarskie tajne służby, a więc sowieckie KGB”. Wyjaśnił, że nagrodą za to miało być jego uwolnienie po dwóch latach. Były prezydent Włoch Sandro Pertini miał ułaskawić zamachowca.

Według nowej wersji Ağcy „o porwaniach Orlandi i Gregori zdecydował Watykan i przeprowadzili je ludzie z tajnych służb watykańskich, którzy byli bardzo blisko papieża”. Kończąc list, Ali Ağca napisał, że dziewczyna została przejęta przez pewne zakonnice, rozumiejąc wagę swojej roli i przyjmując ją z pogodą ducha.

Te rewelacyjne informacje Ağca miał uzyskać od hiszpańskiego duchownego, którego poznał we Włoszech i który odwiedził go także w Stambule. Tyle że turecki zamachowiec od początku podawał różne i często mylne wersje faktów dotyczących zarówno zamachu na Jana Pawła II, jak i zaginięcia Emanuela Orlandi. Za każdym razem, kiedy tematy znów znajdowały się w centrum uwagi, próbował to wykorzystać, ujawniając nowe sensacje. Pietro Orlandi odniósł się do listu sceptycznie. Teraz jednak, gdy w Watykanie wszczęto dochodzenie, uważa, że niektórym wyznaniom Ağcy warto przyjrzeć się bliżej.

Agnieszka Zakrzewicz

z prośbą o pomoc i został wraz ze swoją prawniczką przyjęty przez abp. Gänsweina, który w wyniku tego spotkania jako prefekt Domu Papieskiego miał zlecić sporządzenie „dossier Orlandi”. Tę właśnie dokumentację na biurku ks. Georga widział podobno Paolo Gabriele – były kamerdyner Benedykta XVI i główny bohater afery Vatileaks 1, skazany za kradzież watykańskich dokumentów oraz przekazanie ich dziennikarzom Gianluigiemu Nuzziemu i Emilianowi Fittipalidemu. Gabriele nie zdążył jej skopiuować. Zmarł w listopadzie 2020 r. i nie będzie mógł poświadczyć, że „dossier Orlandi” istniało.

W „Tylko prawda” Gänswein odniósł się również do kontrowersji, które w grudniu 2021 r. wywołały wypowiedzi byłego zastępcy prokuratora Giancarla Capalda, prowadzącego przez osiem lat dochodzenie w sprawie Orlandi i Gregori, na temat kilku spotkań, które miały miejsce w styczniu 2012 r. w jego biurze w rzymskim trybunale. Uczestniczyli w nich Domenico Giani – ówczesny dowódca żandarmerii watykańskiej, oraz jego zastępca Costanzo Alessandri. Według byłego prokuratora była

to próba pertraktacji na temat ujawnienia prawdy o Emanuela Orlandi. Natomiast zdaniem abp. Gänsweina Capaldo źle zrozumiał intencje. Giani i Alessandri (będący najprawdopodobniej emisariuszami osobistego sekretarza papieża) mieli rozwiązać problemem grobu gangstera De Pedisa w krypcie bazyliki św. Apolinarego.

Capaldo jest gotowy zeznawać zarówno przed watykańskim wymiarem sprawiedliwości, jak i przed włoską komisją parlamentarną, która ma zostać powołana. Być może ma nagrania rozmów. W wywiadzie udzielonym Nuzziemu dla dziennika „La Stampa” powiedział, że jego zdaniem w Watykanie są jeszcze osoby, które znają prawdę, i że 15-latką została uprowadzona w celu szantażu i oddana później komuś z Watykanu. „Obawiam się, że następnie straciła życie”, wyznał. Podkreślił fakt, że w latach 80. w Rzymie w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęło kilka innych dziewcząt (Capaldo odniósł się tu do zaginięcia i śmierci Jeanette Bishop oraz Gabrielli Guerin w Górach Sybillińskich, co miało związek z domniemanymi szantażami seksualnymi w stosunku do abp. Paula Marcinkusa – przyp. aut.).

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Umiarkowany pesymizm

Znajduję w bałaganie swoich starych tekstów reportaży z Moskwy, sprzed wielu lat. Cytuję fragmencik, w którym, jak mi się zdaje, oddaję ducha tego kraju: „Napięcie jest dzisiaj we wszystkich wielkich metropoliach, ale w Moskwie jest ono podszyte głębinowym zagrożeniem płynącym ze strasznej przeszłości i z niepewnej przyszłości, gdy teraźniejszość przemyka się jak spłoszony zając wśród dotykającego niechlujstwa i braku wyraźnych reguł gry. Niepokoi ponurość ludzi na ulicach. Przypomnijmy sprawiedliwie, że przybywających z Zachodu do Polski od wieków poruszał smutek ludzkich twarzy. W Warszawie do dzisiaj jest mniej uśmiechów niż choćby w miastach ponurej skandynawskiej Północy. A jednak nawet przybysza z Polski uderzy ząsępienie moskiewskich twarzy, ich zmęczenie, stała troska. Nawet ja, niemal alkoholowy abstynent, poczułem, że wódka w tym miejscu jest niezbędna, by przeżyć”.

Nieprawdopodobne są dzisiaj kłamstwa rosyjskiej propagandy, nie do wiary, ale nawet ta podła pisowska wydaje się przy niej pocziwa. Nienawiść do Ukraińców, nienawiść do całego Zachodu. Grają na pamięci wojny ojczyznianej, ale ani słowa o własnym ludobójstwie. Zachód to IV Rzesza, Ukraińcy to faszyci. Za to Rosja jest centrum cywilizacji europejskiej i chrześcijaństwa. Coraz częściej w mediach pojawia się teza, że życie ludzkie jest „przeceniane”, więc warto oddawać życie za ojczyznę. Rosja została napadnięta, nie tylko przez Ukrainę, ale i przez NATO, a w Ukrainie walczą regularne oddziały Wojska Polskiego. Do wojny szykują się również Niemcy. Gdy mowa o Polsce, to nasz kraj chce zająć zachodnią Ukrainę. I te nawoływania do użycia broni jądrowej. No tak, nawet po tej wojnie będziemy żyć obok potwora, społeczeństwa zatrutego kłamstwem i nienawiścią. Za to w samej Polsce, jeśli wygramy wybory, żyć będziemy po sąsiedzku z pisowczykami, w mniejszej skali, ale też zatrutymi kłamstwem, zbołałymi i pełnymi ślepego gniewu. Nie znam nikogo, kto byłby optymistą, gdy chodzi o przyszłość. Paradoksalnie ja, od dziecka widzący ciemno, nagle staję się tylko umiarkowanym pesymistą w kontraście z katastroficznym widzeniem znajomych. Oni nie wierzą, że wygramy wybory, a ja wierzę.

Widać już jednak, że Hołownia najpewniej pójdzie do wyborów samodzielnie. Od dawna tego się bałem.

I wygląda na to, że mniej będzie walczył o nowy elektorat, a bardziej podbierał wyborców innym partiom. Szczególnie tych radykalnych. Irytował mnie, zanim wszedł do polityki, potem go zaakceptowałem, teraz mnie znowu irytuje. To prosta droga do przegranej przez opozycję wyborów. Jest czym się martwić. Jeśli przegramy, będzie to katastrofa. Jeżeli opozycja wygra, w co wierzę, to zapewne nieznacznie. PiS będzie wtedy podkupywało posłów, ma czym, już zbiera na to fundusze. Rządy będą chwiejne, czeka nas zapewne piekło polityczne, karmione na dodatek przez kryzys ekonomiczny.

Nauczycielka w klasie mojego 12-latka na spotkaniu z rodzicami skarży się, że ma wiele dowodów na to, że dzieci oglądają filmy erotyczne. Widzi to po tym, co mówią, jak się zachowują, co rysują. Ależ to oczywiste, że oglądają takie filmy, ciekawość tych spraw w tym wieku jest olbrzymia, oglądają też z braku rzetelnej informacji, więc internet choćby ze swoimi setkami filmów pornograficznych staje się dla dzieci głównym źródłem informacji o seksie. W szkole właściwie nie ma edukacji seksualnej, gdyż wedle PiS i Kościoła takie lekcje to deprawacja dzieci. No to same się edukują. Dzieci są teraz czasami bardziej wyedukowane w tej kwestii niż ich rodzice.

Nie znam nikogo, kto byłby optymistą, gdy chodzi o przyszłość.

Na prośbę znajomego mam zostawić dla kogoś książkę w redakcji „Twórczości”. Przed laty niezwykle ważny miesięcznik literacki, ogromnie prestiżowy. Dzisiaj o malutkim nakładzie, karłowaty i marginalny. Ale nawet tu PiS wstawiło swojego najemnika. Podobno nie za bardzo jadowity. Jestem po raz pierwszy w tej redakcji i nie czuję się dobrze, bo pachnie tu PiS. Ale widzę także ducha Jarosława Iwaszkiewicza, wieloletniego szefa pisma, wspaniałego pisarza i człowieka i okropnego konformisty.

Mówię o depresji, kto by się spodziewał, że stanę się specjalistą od tej choroby. Nad stroną techniczną nagrania czuwa chłopak, który mieszka w Amsterdamie, a rozmawia ze mną dziennikarka, która mieszka w Norwegii. Za jakiś czas ktoś z Marsa i z bazy na Księżycu będzie rozmawiał z kimś na Ziemi. Jestem pewien, że depresja będzie już wtedy w pełni uleczalna, więc nie o depresji będzie rozmowa. Jeśli świat jeszcze przetrwa sto lat, co nie jest pewne. Tak myśli umiarkowany pesymista. ■

Międko, ale skutecznie

Miniony rok pokazał, jak wiele mogą zyskać państwa z dobrym wizerunkiem

Mateusz Mazzini

Zacznijmy od teorii, bo ta bywa często prezentowana w sposób uproszczony i przez to błędny. Pojęcie soft power, miękkiej siły w stosunkach międzynarodowych, nie jest wcale wymysłem dziennikarzy, speców od marketingu politycznego czy niechętnych używaniu broni liberałów. To pełnowartościowe pojęcie analityczne, wykorzystywane i cenione nawet przez myślicieli z tak ostatnio krytykowanej szkoły realizmu.

Za ojca soft power uchodzi Joseph Nye, teoretyk stosunków międzynarodowych z Princeton University, swego czasu związany z administracją Billa Clintona. W najprostszej wersji jego metodyka rozróżnia trzy typy siły, którą dysponować mogą suwerenne państwa. Twarda to wszystko, co policzalne i fizyczne: siła gospodarki, wielkość armii, populacji i kontrolowanego terytorium. Do miękkiej Nye zaliczał pozostałe aspekty uprawiania polityki i wywierania wpływu na inne kraje, choć owa soft power to nie wiadro mieszczące „wszystko inne niż karabin i PKB”. Analizowane są w tym przypadku atrakcyjność kultury, rozpowszechnienie wzorców społecznych, możliwość podróżowania bez wizy do jak największej liczby krajów, ale też wydatki na badania i rozwój.

Trzecia kategoria istniejąca w oryginalnej wersji tej teorii to smart power, inteligentna siła. Mieszanka dwóch głównych typów, czyli dane państwo w relacjach z innymi kieruje się z reguły metodami dyplomatycznymi i miękkimi, jednak w sytuacjach kryzysowych, zagrażających interesom strategicznym, nie waha się przed użyciem siły twardej. Dobrym przykładem tej prawidłowości jest polityka zewnętrzna Chin pod

rządami Xi Jinpinga. Ekspansja Państwa Środka w dużej mierze opiera się na działaniach uznawanych raczej za miękkie – otwieraniu na masową skalę Instytutów Konfucjusza, podpisywaniu umów o partnerstwie z brytyjskimi czy niemieckimi uniwersytetami, współfinansowaniu inwestycji infrastrukturalnych w ramach inicjatywy Pasa i Szlaku. Kiedy jednak trzeba, Pekin nie boi się uderzyć pięścią w stół, czego przykładem jest systemowa opresja Ujgurów i Tybetańczyków, brutalne zdławienie protestów demokratycznych w Hongkongu czy wysyłanie własnych oddziałów mundurowych do krajów, w których Chiny realizują ważne inwestycje, np. Mozambiku czy Sri Lanki.

Oliwkowa koszulka lidera

Już nawet ten krótki rajd przez teoretyczne podstawy debaty o tym, co w dzisiejszym świecie czyni państwo silnym lub słabym, pokazuje,

Ekspansja Chin w dużej mierze opiera się na działaniach uznawanych za soft power, takich jak otwieranie na masową skalę Instytutów Konfucjusza.

że samą potęgą militarną czy mierzalnymi elementami ekonomii wiele się nie zdziałą. Siłą twardą trzyma się na ogół w zapasie, rzadko grożąc jej użyciem w sposób bezpośredni. Oczywiście zaprzeczeniem tego jest strategia Rosji, lecz od kiedy krajem rządzi Władimir Putin, Kreml nie za bardzo ma w tym zakresie wybór. Niektórzy będą pewnie skłonni zakwalifikować do instrumentów miękkiej polityki zagranicznej lobbowanie, a czasem i korumpowanie urzędników FIFA i MKOl przy organizacji mundialu i igrzysk olimpijskich, jednak w wielu przypadkach to działania

kryminalne, trudno je rozpatrywać bez jednoznacznie negatywnej oceny. O tradycyjnych metodach, które przecież jak najbardziej są w zasięgu Moskwy, najwyraźniej nikt tam już nie myśli. XIX-wieczna literatura to zbędny balast, badania i rozwój stanęły w miejscu, nawet o wpływie wywieranym przez Cerkiew na inne prawosławne państwa nie za bardzo słysząc. Widać natomiast bardzo wyraźnie rosyjskie czołgi, karabiny i ślady zbrodni wojennych w Ukrainie, co stanowi przeciwieństwo siły zarówno miękkiej, jak i inteligentnej.

Ostatnie dwa lata przyniosły niestety nasilenie tego typu aktywności na świecie. Badacze z SIPRI, Sztokholmskiego Instytutu Badań nad Pokojem, w 2021 r. doliczyli się 46 suwerennych państw zaangażowanych w międzynarodowe konflikty zbrojne. Rok wcześniej było ich 39, a w 2019 r. 32. Trudno tę tendencję ignorować, chociaż należy zauważyć, że po pierwsze, w konfliktach tych

systematycznie ginie mniej osób, co jest już odczuwalnym trendem. Po drugie, konflikty zbrojne od lat toczą się praktycznie w tych samych częściach globu, wiele z nich to wojny zamrożone, bez regularnych działań wojennych. Te kraje, które nie muszą walczyć o swoje przetrwanie, do twardej siły w stosunkach międzynarodowych nie wracają. Swoją potęgę budują inaczej, choć czasem, jak w przypadku Ukrainy, trudno o toczącej się wojnie zapomnieć.

Ukraińska strategia międzynarodowa z ostatniego roku to zresztą

zjawisko samo w sobie, o którym powstanie niejedna praca doktorska z zakresu marketingu, ale i historii publicznej. Zauważyli to redaktorzy magazynu „Monocle”, jak co roku publikujący w grudniu ranking krajów, których polityka uprawiana za pomocą instrumentów miękkich jest najsilniejsza. Już po okładce widać, komu przyznali pierwsze miejsce – przedstawiono na niej pięć postaci biegnących po torze lekkoatletycznym, do mety najszybciej zbliża się Wołodimir Zełenski, ubrany oczywiście w charakterystyczną oliwkową koszulkę. Za nim uplasowały się postacie odpowiadające Brazylii, Danii, Rumunii i Korei Południowej, ale o nich za chwilę. Najpierw przyjrzyjmy się źródłom ukraińskiego sukcesu wizerunkowego.

Teoretycznie nie powinno tu być miejsca na analizę poczynań militarnych, ale to teza – znowu – myląca. Ukraina bez wsparcia zachodnim sprzętem nie byłaby w stanie bronić się skutecznie przed rosyjską inwazją już prawie rok, lecz owo wsparcie 24 lutego 2022 r. było w wielu aspektach co najwyżej mieszaną mglistych obietnic i myślenia życzeniowego. Zełenski i jego zespół wykonali tytaniczną pracę dyplomatyczną, by sojuszników, tych pewnych i tych potencjalnych, przekonać do przesłania Kijowowi broni. Niejednokrotnie wymagało to całkowitej reorientacji zabetonowanych paradygmatów strategicznych, jak w przypadku Niemiec, czyli kraju, który już nigdy w żaden sposób nie miał uczestniczyć w wojnie.

Swoje strategie bezpieczeństwa od nowa napisały też Szwajcaria czy aspirujące do NATO Szwecja i Finlandia, przez dekady dbające o neutralność. Nie można oczywiście wszystkich tych zmian przypisywać bezpośrednio działaniom Kijowa, ale do każdej przyczyniły się one w jakiś sposób.

Ołena wie, co robi

Ukraińskie władze docenić należy przede wszystkim za umiejętność dopasowania przekazu do publiczności, która w danej chwili go odbiera. Codzienne orędzia Zełenskigo,

teraz już sprofesjonalizowane, ale wcześniej kręcone komórką, z ręki, doskonale oddają ducha skutecznego przywództwa czasów wojny. Bez względu na to, o czym akurat ukraiński prezydent mówił, słowa miały zawsze to samo znaczenie: jestem z wami, wygramy, ale potrzebujemy pomocy sojuszników. Mówił zresztą do swoich obywateli i do możliwych tego świata. Przemawiał na festiwalu w Cannes, przed rozdaniem Złotych Globów czy nagród Grammy, w dziesiątkach parlamentów demokracji liberalnych czy w think tankach. Chwalono go za znajomość tematyki i lokalnych kontekstów. W niedawnym wywiadzie przeprowadzonym przez

zniszczonego największego samolotu na świecie, An-225 Mrija. Portrety wywołały gigantyczną dyskusję w świecie mody i prasy, część komentatorów krytykowała „Vogue’a” za wykorzystywanie ukraińskiej tragedii do podkreślenia sprzedaży, a Ołenę Zełenską za promowanie samej siebie, a nie swojego kraju i walczących współobywateli.

W gruncie rzeczy jednak cała ta dyskusja była wtórna, bo te zdjęcia miały właśnie takie być: kontrowersyjne, głośne, „niegrzeczne”. Inaczej nie zrobiłaby ich Annie Leibovitz i nie opublikowałby ich największy na świecie magazyn mody. O okładce „Time’a” nie mówił nikt, chociaż ukazała się dwa tygodnie przed zdję-

Korea Południowa to mocarstwo zwłaszcza na płaszczyźnie kulturowej: Oscar dla „Parasite”, popularność boysbandu BTS, sukces serialu „Squid Game”.

Gideona Rachmana dla „Financial Timesa” Michael Fullilove, dyrektor Lowy Institute, ważnego australijskiego centrum analiz, podkreślał, jak bardzo był pod wrażeniem przemówienia Zełenskigo do członków instytutu. Prezydent nawiązał w nim bowiem do poprzednich wizyt ukraińskich przywódców w Lowy, a jego speechwriterzy odkopali stare wystąpienia, budując zręczne paralele.

Nie samym Zełenskim jednak Ukraina stoi. Równie ważną rolę w kreowaniu tamtejszej soft power odegrała pierwsza dama Ołena. I tutaj, co zauważa nie tylko „Monocle”, ale i wiele innych zachodnich mediów, znów na pierwszy plan wybija się dopasowanie przekazu do publiczności. Żona prezydenta zręcznie grała wizerunkiem – w dosłownym tych słów znaczeniu. Dobrze pokazują to chociażby okładki magazynów z jej zdjęciami. Kiedy portretował ją „Time”, wyglądała na poważną, pełną gracji, jednocześnie zatroskaną losami swojego narodu. Zupełnie inny był odbiór zdjęć Ołeny, które dla „Vogue’a” wykonała ikona fotografii modowej Annie Leibovitz. Tu było znacznie więcej kontrowersji, bo pierwsza dama pozowała na tle ukraińskich żołnierzy czy wraku

ciami dla „Vogue’a”. Nie mówił, bo nie miał mówić, nie o to w niej chodziło. Tam najważniejszy był tekst, przesłanie dla inteligenckiej grupy czytelników, niespecjalnie zwracającej uwagę na warstwę wizualną. Głośna miała być fotografia z antonowem i była. Można powiedzieć, że to soft power na światowym poziomie.

Pora na Brazylię

Znacznie ciekawsza jest decyzja o przyznaniu drugiego miejsca Brazylii. To działanie w dużej mierze na zachętę i „Monocle” chyba nawet tego nie ukrywa, bo tu swój kraj symbolizuje Lula da Silva, nowy-stary prezydent. Wyniki tegorocznego rankingu zostały zresztą opublikowane jeszcze przed styczniowym atakiem, w czasie którego zwolennicy odchodzącego z urzędu Jaira Bolsonaro próbowali dokonać szturmu na najważniejsze instytucje rządowe w Brasílii. Lula ma oczywiście dobrze znany wizerunek progresywnego i skutecznego przywódcy, a sama Brazylia – kraju coraz bardziej zaawansowanego technologicznie i gospodarczo.

Na niewiele to się zdawało w ostatnich latach, kiedy opinia o Brazylii ▶

► pogarszała się właściwie z każdą decyzją Bolsonaro. Katastrofalne zarządzanie pandemicznym kryzysem, ignorowanie apeli świata o ochronę Amazonii, odrzucanie pryncypiów nauki i swobody wymiany myśli w demokratycznym społeczeństwie – taka była Brazylia w oczach reszty świata przez ostatnie kilka lat. Lula ma więc ogromną pracę do wykonania. W pewnym sensie ułatwia mu to zadanie, bo każdy sukces będzie wynoszony do rangi epokowego, a zmiana – zawsze będzie zmianą

na lepsze. Nawet jeśli zdarzą mu się wizerunkowe wpadki, takie jak symetryczne komentarze w sprawie wojny w Ukrainie czy pochwały pod adresem Islamskiej Republiki Iranu. Lula i jego wersję Brazylii świat będzie promować, bo dobrego wizerunku tego kraju potrzebujemy wszyscy, zwłaszcza w kontekście walki o przyszłość demokracji i środowiska naturalnego.

Trzecie miejsce w rankingu zajęła w tym roku Dania i to akurat wygrał ani zaskakujący, ani specjalnie

ciekawy. Kraje skandynawskie od lat w tym i podobnych zestawieniach okupują najwyższe pozycje, eksportując głównie dostępny w nich styl życia. Duńczyków wyróżniono za skuteczne promowanie rozsądnych polityk publicznych. Ciekawym przykładem jest komunikacja władz z obywatelami w czasie pandemii koronawirusa, kiedy to kolejni ministrowie zdrowia, ogłaszając zniesienie poszczególnych restrykcji, mówili zawsze, że to nagroda za zaufanie, którym polityków obdarzyli obywatele. Duńskie miasta chwala się kilometrami ścieżek rowerowych, a państwo urlopami macierzyńskimi i płaską strukturą społeczną. Wizerunek publiczny Danii to już dawno nie jest tylko popularne hygge, filozofia powolnego i pełnego refleksji życia codziennego.

Na koniec warto się pochylić nad przykładem Korei Południowej, mocarstwa zwłaszcza na płaszczyźnie kulturowej. Oscar dla „Parasite”, globalna popularność boysbandu BTS, komercyjny sukces serialu „Squid Game”, nawet koreańska kuchnia to już produkty kultury nawet nie krajowej, ale masowej, globalnej. Tyle że, jak zauważa Sungeun Kim, szefowa instytutu koreańskiego w Londynie, z tymi sukcesami rząd Korei Południowej nie ma akurat nic wspólnego. Wydarzyły się niejako obok oficjalnego nurtu soft power, napędzane siłą własnej kreatywności. Dlatego, uważa Sungeun Kim, nie ma sensu opierać koreańskiej dyplomacji kulturalnej na tych zjawiskach, bo one poradzą sobie same. BTS wypełni sale koncertowe, a filmy zdobędą nagrody. Sztuką działania w obszarze miękkiej siły jest więc też zarządzanie sukcesem. Tak, aby tego, co dobrze działa, nie zepsuć i nie upolitycznić, jednocześnie windując do globalnej rozpoznawalności rzeczy ciekawe, choć nieoczywiste. To cenna lekcja, zwłaszcza dla Ukrainy, która – miejmy nadzieję – w kolejnym roku nie będzie już musiała budować swojego wizerunku na tle wojny. To byłby sukces największy z możliwych, w wersji soft, ale i hard.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

KSIAŻKI

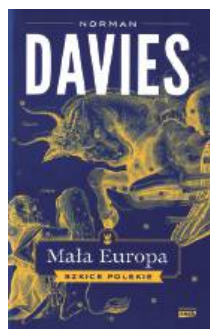
Norman Davies

Mała Europa. Szkice polskie

tłum. Bartłomiej Pietrzyk

Znak Horyzont, Kraków 2022

W naszej historii zwycięstwa przeplatają się z bolesnymi porażkami. Okresy rozkwitu kultury ustępują czasom walki o zachowanie tożsamości. Mimo przeciwności losu i w obliczu wielostronnych zagrożeń Polacy zawsze znajdowali siłę, by jeszcze raz podnieść się do walki.



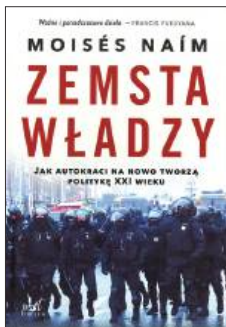
Moisés Naím

Zemsta władzy

tłum. Violetta Dobosz, Dorota Kaczor

Sonia Draga, Katowice 2022

Wnikliwy obserwator światowej polityki tworzy obszerny katalog zagrożeń demokracji, które w ostatnich latach płyną ze strony dyktatorów, populistów i ludzi wielkiego biznesu. Zarazem wskazuje na analogie w zasadniczo odmiennych dziedzinach. Ponadczasowa praca.



Weronika Rokicka

Indie. Kraj miliarda marzeń

Szczeliny, Kraków 2022

Rzadko słyszymy, że to kraj ciągłej przemiany, budowany codzienną pracą ponad miliarda ludzi. Kraj, w którym takie osoby jak działająca na rzecz praw kobiet sędzia Leila Seth, walcząca z pracą dzieci noblista Kailash Satyarthi czy wynalazca tanich podpasek Arunachalam Muruganatham zmieniają świat na lepsze. O takich Indiach pisze autorka.



Dominik Héjji

Węgry na nowo

Szczeliny, Kraków 2022

Autor przeprowadza czytelnika przez cały proces dojścia do władzy prawicy. Bierze na warsztat retorykę Orbána i jego sen o wielkich Węgrzech, a przede wszystkim przygląda się temu, czy udało się władzy przeprogramować węgierskie społeczeństwo i tożsamość narodową.



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Urobek artystyczny

Pranie, a właściwie płukanie kombinezonu jaskiniowego w warunkach domowych z uwagi na wymóg oszczędzania wody nie przebiega tak, jak bym sobie tego życzył. Bo chciałbym tej czynności oddawać się długo i nieśpiesznie. Optymalnym rozwiązaniem jest pranie w potoku, ale takie luksusy pamiętam tylko z kultowego obozowiska PZA na Polanie Rogoźniczańskiej, opodal którego płynie Kirowa Woda. Po zejściu do bazy, a najczęściej dopiero nazajutrz, gdy się odespało kilkunastogodzinny wysiłek podziemny, można było wziąć ubłoczony uniform, zanurzyć go w lodowatym strumieniu i czekać, aż woda go obmyje.

Zwykle w terenie krasowym, zwłaszcza wysokogórskim, o wodę bieżącą niełatwo, wyprawowicze, zamiast myć kombinezony, po prostu je suszą, żeby nie wrócić pod ziemię w mokrym. Jednodniowe wypadki podziemne, z których składa się lwia część mojej speleobiografii, kończą się jednak zawsze pod prysznicem – zimnym i silnym strumieniem splukując z dakronu brud, którym się oblepił. Najczęściej to brunatna glina z namuliska, czasem *terra rossa*, która spływa krwistą barwą, zdarza się także ciemnoszara barwa z płytszych jaskiń wypełnionych humusem, bywa też tak, że błoto jest czarne, kiedy do jaskini z powierzchni przedostaną się jakieś ropopochodne substancje albo np. otwór mieści się w starym tunelu kolejowym i ściany próżni pokrywa wieloletnia warstwa sadzy od parowozów. Drobnie kamienie, żwir i piasek staram się wyłapywać, żeby nie zatkać odpływu. Mycie kombinezonu, mojej drugiej skóry do życia podziemnego, jest jedną z tych przyjemności, które graniczą z fetysyzmem – mogą tyłko domniać jako człowiek, który nigdy nie był kierowcą, że nieekologiczne celebrowanie i przeciąganie mycia samochodu w warunkach przydomowych za pomocą szlauchu daje podobnie hipnotyczną rozkosz zmotoryzowanym.

Znam jednak człowieka, który do jaskiniowego namuliska, a także rozmaitych „fusów” ziemi, które przywlekamy choćby między wibrami podeszew z długich wędrówek poza utartymi ścieżkami, ma stosunek jak najbardziej twórczy. Mikołaj Szpaczyński jest jednym z najciekawszych polskich twórców pokolenia milenialsów, a relacja człowieka z ziemią, jej wnętrzem, by nie rzec: wnętrznościami, stanowi zasadniczą część jego dorobku. W latach 2014-2015 powstała „Stopa terenowa”, naturalnej wielkości odlew stopy artysty wykonany z piasku, pyłu i innych okruszków ziemi, które wpadły mu do butów podczas wędrówek po jurajskich bezdrożach. W 2016 r. odtworzył i zarejestrował w „Jaskini w Diablej Górze” niebezpieczną przygodę z dzieciństwa, kiedy to w tajemnicy przed rodzicami zanurzył się w głąb ciasnej próżni i miał kłopoty z pokonaniem drogi powrotnej.

Począwszy od 2019 r., Szpaczyński realizuje „Ciąg dalszy”, najbardziej niezwykły projekt artystyczny w historii polskiej speleologii. Opodal miejsca zamieszkania, w nieczynnym kamieniołomie w Jaworznie, odnalazł fragment krasu kopalnego, czyli otwór powstałej przed milionami lat jaskini, którą woda przez tysiąclecia kształtowała, a potem całkowicie zamuliła, nanosząc do środka gliniasty materiał. Zaczęła się celowo żmudna eksploatacja obiektu – odkrywca zaczął wydłubywać glinę z korytarzy nie saperką czy łopatą, lecz za pomocą dłuta rzeźbiarskiego, dzięki czemu, jak sam komentuje, stał się „asystentem natury, który odsłania stworzoną przez nią rzeźbę”. W ciągu dwóch lat, w pozycji leżącej, odsłonił meandrującą próżnię na długości 24 m, nadal czyszcząc kolejne zaułki z nadzieją na tytułowy ciąg dalszy i zarazem lękiem, że któregoś dnia w sensie ścisłym dojdzie do ściany, zamykającej definitywnie drogę.

Materialną, choć efemeryczną częścią projektu są rzeźby z cyklu „Odcinki” – pozornie abstrakcyjne kształty, będące jednak dokładnym odwzorowaniem przekroju poprzecznego



kolejnych części odsłanianego korytarza. Rzeźby powstają z wydobytego urobku, czyli wybranego namuliska gliniastego, a w przestrzeni wystawienniczej szybko wysychają, pękają i ulegają degradacji. Szpaczyński zaczynał jako obiecujący malarz realista, ale dopiero zwrot ku jedynym w swoim rodzaju działaniom terenowym uczynił z jego sztuki zjawisko bezprecedensowe i fascynujące. Kiedy w środowisku grotolazów pojawiły się przecieki o nowej jaskini, ktoś wtarałbaniał się do środka z narzędziami górniczymi, celem przyspieszenia prac wydobywczych. Artysta grzecznie, lecz stanowczo wyperswadował kopaczom ten pomysł, a potem cierpliwie zasypał tę część próżni, którą pod jego nieobecność odsłonięto.

Szczególna, bez mała intymna relacja autora z obiektem nie dopuszcza interwencji zewnętrznych. Jaskinia Szpaczyńskiego to być może jedyny obiekt na świecie, który nie jest udostępniony do eksploracji nie ze względu na prace naukowe, archeo- lub paleontologiczne (namulisko groty jest pod tym względem jałowe), lecz z powodu ostrzeżenia, które powinno się znaleźć na tabliczce przy otworze: „Uwaga, dzieło sztuki w fazie tworzenia!”.

To, co w Dejmku najciekawsze

Zależało mu, żeby pracował u niego zespół, a nie zbieranina aktorów

PROF. MAGDALENA RASZEWSKA
– historyczka teatru

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Zaczyna pani książkę „Dejmek” od zagadkowego stwierdzenia, że każdy ma swojego Dejmka – jak rozumiem, osobę ważną, stanowiącą wyzwanie. Jak to się stało, że zainteresowała się pani właśnie dyrektorem Teatru Narodowego?

– To bardzo ciekawa postać, z wieloma woltami w życiorysie. Wybory, których dokonywał – zaskakują, a osiągnięcia artystyczne fascynują. Poza tym jest niewielu ludzi, którzy mieli tak całościową koncepcję teatru jak on.

W jakim domu wychowywał się Kazimierz Dejmek? Co go kształtowało?

– To był dość prosty dom na kręścach Rzeczypospolitej, w biednym, małym, polsko-rosyjsko-żydowskim miasteczku, Kowlu. Potem

rodzina przeniosiła się do Rzeszowa. Ojciec był Czechem – pracował jako księgowy w więzieniu. Matka miała w sobie mieszkankę narodościową typową dla monarchii austro-węgierskiej tamtych czasów. Dejmek nie dorastał w domu w konkretnej tradycji – musiał ją sam znaleźć. Jak opowiadał, na podwórku z kolegami rozmawiał mieszkanką kilku języków, w domu z ojcem po czesku. Tu jednak mam wrażenie, że reżyser swoją historię nieco podkoloryzował, ponieważ ojciec był dość porządnie spolonizowany. Bardzo wpłynęły na niego również czasy wojny, czyli partyzantka spod znaku Batalionów Chłopskich, tzw. Chłostry, z wyraźnymi lewicowymi wpływami. Stąd jego walka o sprawiedliwość społeczną, o której zawsze mówił. A także pod koniec życia dość zaskakująca afiliacja do PSL, którego był posłem w latach 1993-1997.

Po wojnie chciał zostać aktorem.

– Trudno powiedzieć, bo sam Dejmek mętnie zeznaje na ten temat. Czasem twierdził, że do teatru trafił przypadkiem z prywatnych powodów, o których nie chce mówić. Innym razem opowiadał, że po prostu wyszedł z partyzantki i nie wiedział, co ze sobą zrobić, bo zrezygnował z bycia księdzem, o czym w czasie wojny myślał, i zobaczył ogłoszenie o tworzącym się studiu teatralnym. To studio okazało się zresztą dość ciekawą instytucją, ponieważ z tej maleńkiej szkółki przy prowincjonalnym teatrze, gdzie było dwóch czy trzech zawodowych aktorów, wyszło potem dwóch dyrektorów Teatru Narodowego: Kazimierz Dejmek i Adam Hanuszkiewicz. Uczył się tam również znany aktor Ignacy Machowski.

Myśli pani, że to przypadek?

– Absolutny. Losy Dejmka i Hanuszkiewicza połączyły się bardzo szybko. Ale są to zupełnie inne

kariery. A z Machowskim reżyser pracował do końca życia.

Zespół teatralny, w którym grał Dejmek, został wysłany na Ziemię Odzyskane. Sam reżyser zatrzymał się w końcu na dłużej w Łodzi. Jak tam trafił?

– W Jeleniej Górze spotkał wszechmocnego wówczas człowieka, rektora szkoły teatralnej, dyrektora Teatru Wojska Polskiego, redaktora, członka niezliczonych rad i komisji, czyli Leona Schillera. Jego oko spoczęło akurat na Dejmku i zaproponował mu angaż w teatrze. Tymczasem Dejmek zdał zdać egzamin zawodowy „na aspiranta do ZASP”, jak to się nazywało. Chciał dalej się kształcić, był człowiekiem niesłychanie ambitnym, więc znalazł się zarówno u Schillera w teatrze, jak i w szkole. Łódź stała się jego miastem przeznaczonym, często do niej wracał. Wtedy pracował w teatrze do końca 1961 r., drugi raz trafił tam w połowie lat 70., trzeci na półtora roku przed śmiercią. O Łodzi, która określiła jego twórczość, mówił, że ją kocha i nienawidzi jednocześnie.

Leon Schiller to była postać, która miała na Dejmka dość duży wpływ.

– Chociaż Grupa Młodych Aktorów, do której Dejmek należał, jawnie Schillerowi zaprzeczała i tworzyła swój teatr w opozycji do niego. Nie chcieli robić teatru dla inteligencji, skupiali się na teatrze dla robotników. Jakkolwiek nie jestem pewna, czy robotnik po ośmiu go-

silną osobowością, że z biegiem czasu zaczął tym kolektywem kierować, a potem stał się dyrektorem teatru.

Na czym polegała siła jego charakteru?

– Miał dużą charyzmę i potrafił narzucić swoje zdanie oraz zaproponować coś, co ludzi uwodziło. Przecież aktorzy, z którymi zaczynał pracę w 1949 r., np. Lech Ordon czy Barbara Horawianka, będą za nim do końca przenosić się do kolejnych teatrów.

Dejmek miał dużą charyzmę i potrafił narzucić swoje zdanie oraz zaproponować coś, co ludzi uwodziło.

Z Dejmkiem kojarzą się sztuki staropolskie, po które będzie sięgać już w tym pierwszym łódzkim okresie.

– Długo potrwa, zanim do tego dojdzie. Najpierw będą go interesować sztuki produkcyjne, takie jak „Brygada szlifierza Karhana”, potem sięgnie po Słowackiego. A staropolszczyzna to będzie dopiero rok 1959. I to w niej widoczny będzie największy wpływ Schillera. Dejmek czytywał teksty staropolskie, dostrzegając, że to nie jest skromna literatura. Ona go wciągnęła. Trzeba pamiętać, że reżyser, jak i to pokolenie, był samoukiem. Za całe formalne wykształcenie miał dwie klasy gimnazjum, reszta jego nauki to własna praca. Po wojnie Dejmek

naprawdę zafascynowały, w dodatku potrafił nad nimi pracować.

Na czym polegała ta praca?

– To nie było tak, że znalazł tekst, podzielił role i zaczynali grać. Ten proces był bardziej skomplikowany, bo przecież my nie wiemy, jak wyglądał teatr staropolski. Dejmek musiał wymyślić jego kształt i pracował nad nim przez lata w różnych konwencjach. Inaczej wyglądał on w czasie współpracy ze scenografem Zenobiuszem Strzeleckim, inaczej

z kolejnym, Andrzejem Stopką, a inaczej z Janem Polewką.

Ta koncepcja zaczęła się kształtować już w czasach łódzkich?

– Wyraźnie, bo wystawił wtedy „Żywot Józefa” oraz „Historię o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim”. Pracował z Andrzejem Stopką i ten jako góral podpowiadał mu góralszczyznę, określaną jako styl klasztorno-ekologiczny, bo na scenie widzimy drewno, beże, brązy, naturalną wełnę i płótno, a do tego habitowe kroje. Ten kształt bardzo się utrwalił w pamięci publiczności, bo był często powtarzany i przez Dejmka, i przez jego współpracowników, którzy wystawiali spektakle według jego koncepcji. Była to spójna propozycja wyrastająca ze zbiorowych wyobrażeń na temat ludowości.

Co ludziom w tych spektaklach się podobało?

– Nie zawsze się podobało. W 1961 r. „Historia...” z Łodzi nie była przyjmowana bezkrytycznie. Interpretowano ją nawet jako akt wrogi wobec Kościoła. To były czasy, kiedy mało kto miał telewizor i nie potrafiono sobie poradzić z rubaszością, prymitywizmem, stylizacją. W Warszawie „Historia...” była wystawiana później, w 1962 r., a i tak w kościele Jezuitów wisiały ostrzeżenia, że katolik nie powinien chodzić na to przedstawienie, w Klubie Inteligencji Katolickiej trwała zaś debata, czy to spektakl obraźliwy, czy nie. Przedstawienia odbierano wtedy, patrząc na ich zawartość ideową. A trzeba

Nie był łatwym człowiekiem w codziennym obcowaniu.

dzinach stania przy tokarce chciałby tę samą tokarkę oglądać w swoim czasie wolnym na scenie. Ale taka była epoka, takie było rozumienie teatru. To miała być nowa sztuka dla nowych ludzi.

Jak wyglądał ten jego pierwszy etap pracy reżyserskiej?

– Trudno mówić o pracy reżyserskiej, wtedy ważny był kolektyw. Grupa Młodych Aktorów tworzona była m.in. z Januszem Warmińskim, potem dyrektorem Ateneum. Pisali oni o sobie: „My jako grupa chcemy...” albo „Zamierzeniem grupy jest...”. Dejmek był jednak na tyle

błyskawicznie zrobił maturę. Studiów w szkole teatralnej nie podjął, bo się obraził na Aleksandra Zelwerowicza. Stopniowo rezygnował z bycia aktorem. Miał trudne warunki: krótkie nogi, był krótkowzroczny, krępej postury, a wtedy jeszcze szukano urody amantkiej. Bardzo pociągała go natomiast reżyseria. W końcu Dejmek lubił i umiał rządzić ludźmi. Miał jednak świadomość, że do tego potrzebna jest wiedza. Koło jego biurka zawsze piętrzyły się dwa stosy: do czytania i przeczytane. To w czasie procesu samokształcenia trafił na teksty staropolskie, które go

► pamiętać, że państwo było w stanie wojny z Kościołem. „Żywot Józefa” był już lepiej przyjęty i inaczej traktowany, bardziej rozrywkowo.

Z Łodzi Dejmek trafił prosto do Teatru Narodowego w Warszawie.

– Sam sobie tę dyrekturę wywalczył. Z Teatrem Narodowym w tamtych czasach był nieustający kłopot. Oczywiście jest teraz dla nas, że to specjalne miejsce, spełniające zadania społeczno-artystyczne. Wtedy w tej funkcji widziano Teatr Polski. W Narodowym dyrektorzy mianowani byli z przypadku. Zanim przeszedł tam Dejmek, dyrekturę sprawował Władysław Daszewski, który do tego zadania się nie nadawał.

Dejmek do władz przyszedł od razu z całościową koncepcją działania tego teatru.

– Co było Ministerstwu Kultury na rękę, bo zbliżała się 200. rocznica powstania Teatru Narodowego. A to należało uczcić. Daszewskiego zdymisjonowano, więc z dnia na dzień między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem Dejmek dostał dyrekturę.

Co wtedy się mówiło o nowym dyrektorsze?

– Nie był łatwym człowiekiem w codziennym obcowaniu, a w Warszawie działała uświęcona hierarchia. Ważne były Teatr Polski, Teatr Współczesny i Teatr Dramatyczny. Dejmek musiał w tym się odnaleźć i przyszedł przyspieszoną lekcję radzenia sobie w środowisku. Nie był skłonny do zawierania przyjaźni, kompromisów, kumpłowania się. Tymczasem trzeba było jeszcze dogadywać się z władzą.

Jak sobie z tym radził?

– Dobrze, a apogeum jego powołania to rok 1964. Opiekowałam się archiwum Dejmkę i widziałam, że jego korespondencja wówczas była najliczniejsza. Liczba listów z życzeniami i telegramów na imieniny Kazimierza była imponująca. Pisali do niego nie tylko ludzie teatru, ale też dziennikarze, prawnicy, lekarze, wolna inteligencja. Mimo wszystko udało mu się znaleźć przyjaciół. Miał również dobre, ale trudne układy we władzach. Dejmek miał zawsze wysoko postawionych znajomych, o których nigdy nie mówił po nazwisku. Raz mu pomogą, raz nie, ale szkodzić mu zaczęła dopiero po „Dziadach”.

Wszystko się zmienia w momencie tej premiery. Niektórych może dziwić fakt, że te słynne „Dziady” wystawiane były z okazji 50. rocznicy rewolucji październikowej.

– Takie były czasy, co chwilę podejmowano jakieś działania ku czci. Ale rzeczywiście ta rocznica miała być wielkim świętem. Sam Dejmek o wystawieniu „Dziadów” myślał od dawna, ale ich nie lubił, znacznie bardziej interesował go Adam Mickiewicz jako autor „Pana Tadeusza”. **To dlaczego po nie sięgnął?**

– Uważał, że Teatr Narodowy musi mieć w repertuarze „Dziady”. A zdecydował się na to w ciekawych czasach. Wybuchła wojna w Izraelu, rósł antysemityzm. W całej Europie wrzało: paryski maj, Praska Wiosna

W Warszawie działała uświęcona hierarchia: Teatr Polski, Współczesny i Dramatyczny. Dejmek przyszedł przyspieszoną lekcję radzenia sobie w środowisku.

zakończona ingerencją wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. To wszystko w ciągu jednego sezonu teatralnego. I na takie tło trafiły te słynne „Dziady”.

Władze zakazały grania spektaklu, odczytując go jako przedstawienie antyrządowe, co przyczyniło się do protestów, a w konsekwencji do wydarzeń marcowych 1968 r. Co sprawiło, że „Dziady” miały takie znaczenie społeczne?

– Dejmek miał doskonałe wyczucie tego, co nazywamy nerwem czasu. I trafił z „Dziadami” na taki moment, że publiczność chciała usłyszeć ten tekst. Trafił też na Gustawa Holoubkę, czyli typowego wyrażiciela losów inteligenta, którego grał w filmie, teatrze i telewizji. A wtedy grany co poniedziałek Teatr Telewizji miał milionową widownię, Holoubek zaś miał w nim po kilkanaście ról w roku. Publiczność przyjmowała go w roli Konrada nie jako postać z 1832 r., ale jako swojego współczesnego. To niosło znaczenia.

Wystawienie „Dziadów” nie skończyło się dla Dejmkę dobrze.

– Dla nikogo nie skończyło się dobrze, ani dla Dejmkę, ani dla zespołu Teatru Narodowego, ani dla

wypracowanej już koncepcji Narodowego. Zespół rozpadł się – 17 osób odeszło. Dejmek próbował pracować, zrobił jedno przedstawienie w Ateneum, drugie mu zdęli. Wyjechał na parę lat za granicę.

Jak wyglądała jego zagraniczna kariera?

– Miał wiele propozycji, pracował na prestiżowych scenach, np. w Burgtheater w Wiedniu. Największym jego sukcesem była „Pasja” w Piccolo Teatro di Milano. Dostał tam propozycję zostania dyrektorem. Odrzucił ją jednak, bo jak mówił, wie, co znaczy Boże Narodzenie w polskiej tradycji, a nie wie, jakie znaczenie ma we włoskiej. Generalnie nie chciał pracować za granicą. Dodatkowo miał trudny charakter i aktorzy

często nie zgadzali się z jego wymaganiami. Aktor niemiecki chciał grać, a reżyser miał mu powiedzieć, jak to robić. Dejmek mówi: proszę zaproponować. To był zaskakujący sposób pracy.

Szukał okazji na powrót do Polski?

– Tak, ale nie za wszelką cenę. Chciał wrócić do Teatru Narodowego. Taką próbą powrotu był wyreżyserowany przez niego w łódzkiej Teatrze Wielkim „Henryk VI na łowach”. Wzbudził taki entuzjazm, że z Warszawy jeździły wycieczki organizowane przez Biuro Podróży Orbis. To znowu było przedstawienie nie o wydarzeniach XVIII w., ale o współczesnej Polsce.

Czyli powrót triumfalny?

– Ale jeszcze nie pełny. To raczej sondaż ze strony Dejmkę, który chciał sprawdzić, jak będzie przyjęty. Potem został reżyserem w Teatrze Dramatycznym i to średnio mu wyszło. Publiczność oczekiwała czegoś innego, nie chciała oglądać „Elektry” jako sztuki o bohaterach powstania warszawskiego. Ale Dejmek otrzymał propozycję powrotu do Łodzi, a powrót do miejsca, z którym był tak związany, pozwolił mu wyjść z honorem z konfliktu o Narodowy.

Jaki był ten powrót do Łodzi?

– Początkowo bardzo dobry, ale w czasie jego nieobecności wyrosło nowe pokolenie reżyserów: Izabella Cywińska, Maciej Prus, Jerzy Grzegorzewski. Pojawiło się też kino moralnego niepokoju, adresowane do tej samej widowni, która miała odwiedzać teatr Dejmkę. Nie da się jednak zaprzeczyć temu, że to był bardzo dobry teatr z konkretnym profilem: najwybitniejsze dzieła w bardzo dobrym wykonaniu.

Dejmek znowu miał całościową koncepcję.

– Tak i wracają do niego aktorzy, którzy wcześniej przenieśli się za nim z Łodzi do Warszawy.

Dlaczego aktorzy tak lubili z nim pracować? Dzisiaj powiedzielibyśmy, że jego sposób prowadzenia prób był kontrowersyjny.

– Nie nazwałabym tego w ten sposób. Część ludzi nie chce zrozumieć, że nie da się prowadzić teatrów i reżyserować przedstawień na zasadzie: pani Haniu, proszę łaskawie przesunąć się odrobinę w lewo. Wszyscy, którzy mówią o brutalności w teatrze i krytykują emocje i gwałtowność, nie wiedzą, o czym mówią. To jest brutalny zawód. A dzisiaj taki człowiek jak Dejmek musiałby wykupić sobie abonament parkingowy pod sądem pracy. Był w czasie prób brutalnym, miewał zachowania niebawale ostre, ale prawie wszyscy aktorzy przyznają, że nie było to ad personam, tylko odnosiło się do sprawy i problemu. Efekty prób były ciekawe, a po nich wszyscy chodzili na wódkę i nie było problemu.

Pisze pani, że w teatrach, których dyrektorem był Dejmek, panowała bardzo dobra atmosfera.

– Zdzisław Mrożewski wspomina, że w Narodowym przychodziło się do teatru, nawet jeśli danego dnia się nie pracowało, po to, żeby wypić kawę i popoglądać kolegów. Na tym Dejmkowi zależało, żeby pracował u niego zespół, a nie zbieranina aktorów. A to nie tworzy się tylko w czasie pracy, ale i podczas wspólnego picia kawy, weekendowego wyjazdu czy sytuacji prywatnych.

Na dłużej zatrzymuje się jeszcze w Teatrze Polskim.

– Chciano, żeby Dejmek wrócił do stolicy. Narodowego nie dostał, włada nie lubi przyznawać się do błędów. Ale wniesiono go na rękach do Teatru Polskiego. Tylko żeby Dejmek mógł go prowadzić tak, jak chciał, musiałby zwolnić trzy czwarte zespołu, co było oczywiście niemożliwe. Teatr w Polsce w latach 80. w ogóle się pogubił i nie miał pomysłu, jak sprostać oczekiwaniom publiczności. Liczono, że Dejmek znowu go zbawi. Został więc również przewodniczącym Rady Artystycznej ZASP, miał możliwość dobrania sobie współpracowników, ale zaczął się stan wojenny i wszystko się rozpadło.

Jak Dejmek radził sobie w rzeczywistości potransformacyjnej?

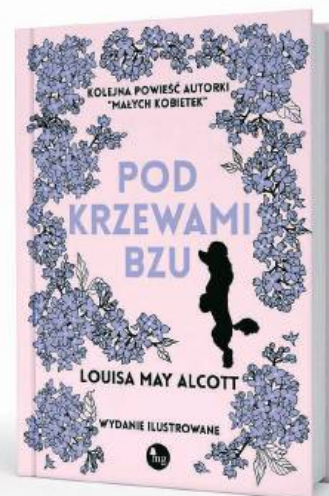
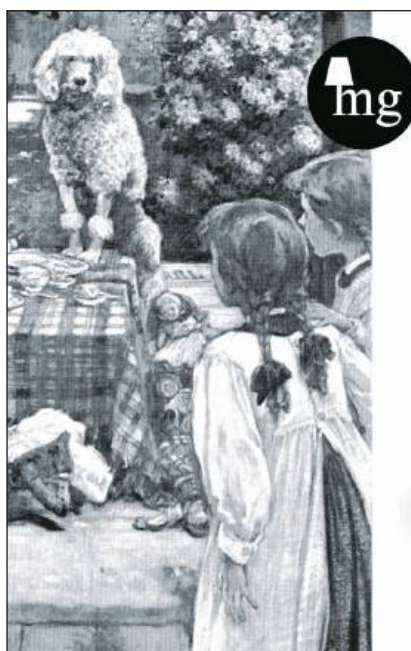
– Nie miał pomysłu na siebie, nie miał pomysłu na teatr, czuł się rozczarowany publicznością, która już nie chciała go słuchać. Zresztą w 1989 r. publiczność z teatru w ogóle odpływa. Bardziej interesuje ją tworzenie demokracji. Dejmek przyjmuje propozycję zostania ministrem kultury w 1993 r. Ale nie wychodzi mu to najlepiej. Wchodzi w konflikt ze środowiskiem „Gazety Wyborczej”, które mówi, że „dość polityki w kulturze”, a dla Dejmkę polityka kulturalna oznacza pewien zbiór zasad działania w kulturze, który z ideologią nie ma nic wspólnego.

To dodatkowo trudny moment: druk książek i czasopism bardziej się opłaca za granicą niż w Polsce, upadają drukarnie. Nie ma pieniędzy na dofinansowanie festiwali. A Dejmek traktowany jest jak naczelny winny, który za to odpowiada. Tymczasem pretensje należałoby zgłaszać bardziej do Ministerstwa Finansów niż do niego. To twórca, który działał na scenie teatralnej od początku istnienia PRL, nic dziwnego, że jego czas po latach już się kończył.

Pani książka jest bogato ilustrowana, czy ma pani jakieś ulubione zdjęcie Dejmkę?

– Kiedy przyjechał do Warszawy, zdał sobie sprawę, że musi na nowo się wymyślić. Kiedy zaczęło się jego drugie małżeństwo z aktorką Danutą Mniewską, zamienił stary sweter na garnitur. W Warszawie jeszcze bardziej pracował nad swoim wizerunkiem. Szczególnie że miał tego typu urodę, że łatwo było go sfotografować jako „parobka”, takich zdjęć jest dużo. Ja najbardziej lubię jedno z wczesnych zdjęć Franciszka Myszkowskiego, to, na którym Dejmek ma porządny garnitur i obgryza oprawkę okularów. Fotograf uchwycił w twarzy, w postaci „to coś”, co w Dejmkę było najciekawsze.

Katarzyna Niedurny



www.wydawnictwomg.pl



Grupa Neo-Nówka
skeczem „Wigilia 2022”
przypomniała, że
kabaret nie powinien
oszczędzać nikogo.

Polski humor

Polacy nie mają dystansu do siebie.
Najbardziej bawi ich głupszy od nich.
Co jeszcze można powiedzieć o naszym humorze?

Kornel Wawrzyniak

– Jesteśmy narodem bardzo poważnym, narodem bohatersko cierpiącym, więc śmiech nam nie przystoi. Przecież nie można się śmiać z nieszczęścia, jakim jest nasza „umęczona ojczyzna” – mówiła na naszych łamach Olga Lipińska, reżyserka, satyryczka, twórczyni Kabaretu Olgi Lipińskiej. Kiedy słyszy się słowa „polski humor”, zaraz na myśl przychodzą żarty seksistowskie albo ksenofobiczne o Polaku, Czechu i Rusku lub Żydach. Do tego współczesny bezbarwny kabaret, który od lat realizuje ten sam biesiadno-festynowy model zabawiania publiczności. Swego rodzaju trzęsienie ziemi

wywołała grupa Neo-Nówka, która skeczem „Wigilia 2022” na moment przypomniała, że kabaret nie powinien oszczędzać nikogo. Od lat wiadać jednak, że Polacy mają problem z poczuciem humoru, bo przez kompleksy nie potrafią śmiać się z siebie, a najbardziej boją się żartów z symboli narodowych czy religijnych. Na te ostatnie mamy przecież nawet osobny paragraf w Kodeksie karnym.

Kompleksy

Neo-Nówka nie była pierwszym kabaretem, który w ostatnich latach poruszył Polaków. W 2013 r. burzę wywołał skecz kabaretu Limo o papieżu puszczającym bąki. Posłowie PiS ślali skargi do KRRiTV, niektóre

domy kultury odwoływały występy kabaretu. Sprawę komentował wtedy współzałożyciel Lima Wojciech Tremiszewski, oceniając poczucie humoru rodaków. – Polacy to spięty i zakompleksiony naród. Ale to się zmienia. Ciągłe jednak skecze są mylone z publicystyką czy manifestem. A przecież nikt z nas nie próbuje wbić dzidy w serce albo krzyż, ale rozbawić. A jeśli komuś się nie podoba, niech nie kupuje biletu – tłumaczył komik.

Czy po niemal dekadzie coś się zmieniło? W lipcu 2022 r. na Festiwalu Kabaretu w Koszalinie grupa Neo-Nówka pokazała skecz „Wigilia 2022”, w którym przede wszystkim oberwało się rządzącym i ich wyborcom. I choć znowu podniosło

się larum, skecz cieszy się powodzeniem. Świadczy o tym 11 mln wyświetleń w serwisie YouTube. Co tak kontrowersyjnego padło ze sceny? Właściwie to same oczywistości, było m.in. o „wywaleniu 70 mln na wybory kopertowe” czy „tępej propagandzie w TVP”. Dlatego nie dziwi, że oburzyła się głównie jedna strona sceny politycznej. Ale komikom trzeba oddać, że nie oszczędzają w skeczu nikogo. – Jesteśmy obserwatorami życia społecznego. Takie są sytuacje – codziennie – w polskich rodzinach. Tak się dzieje – podkreślał na antenie TOK FM współtwórca Neo-Nówki Roman Żurek. Co ciekawe, skecz „Wigilia” jest grany przez kabaret od ponad pięciu lat. Poprzednia wersja również znalazła się na YouTube. Przez cztery lata obejrzało ją 24 mln osób i nikt nie zgłaszał skarg.

Globalizacja

Co w takim razie bawi Polki i Polaków? Czy istnieje coś takiego jak typowo polskie poczucie humoru? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Niektóre badania wskazują, że rozumienie żartów zależy od przynależności pokoleniowej, a nie od szerokości geograficznej, samo zaś poczucie humoru zglobalizowało się. – Gdy patrzy się na nasze wyniki i zmieniający się świat, widać, że z poczuciem humoru związana jest bliskość kulturowa, ale rozumiana jako płaszczyzna wspólnych doświadczeń. Sporo osób na świecie ogląda teraz te same platformy streamingowe, mamy dostęp do podobnych mediów, zarazem żyjemy w różnych bańkach. Dlatego z jednej strony humor robi się bardzo uniwersalny i polskie nastolatki śmieją się z tych samych rzeczy, które bawią amerykańską młodzież. Z drugiej nie każdy korzysta z tych samych mediów, więc śmieją go inne rzeczy – tłumaczy dr Natalia Banasik-Jemieliński, kierowniczka Zespołu Badań nad Językiem i Humorem w Instytucie Psychologii Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej. – Jeśli chodzi o humor i o ironię, to 20-latkowie z Polski będą bardziej podobni do 20-latków tureckich niż

do polskich 30-latków, więc to wiek jest czymś, co nas bardzo różnicuje. Koreluje ze skłonnością do użycia ironii i zdradza, jakie ktoś ma poczucie humoru.

Młodsze pokolenie spopularyzowało wśród Polek i Polaków internetowe memy. Memiarze, czyli osoby oglądające i przesyłające sobie śmieszne obrazki, mogą mieć tak samo 50, jak i 18 lat. Memowym fenomenem jest tygodnik „Nie”, który zrobił furorę w social mediach, i to w grupie odbiorców, która nigdy nie czytała tego pisma i prawdopodobnie nigdy go nie kupi, a jednak codziennie zagląda do jego mediów społecznościowych w poszukiwaniu kolejnych memów wyśmiewających polską rzeczywistość.

– Humor staje się elementem tak wielowarstwowym i złożonym, tworzącym równolegle w wielu kanałach, intertekstualnym i ciągle zmiennym, że nam, badaczom i badaczkom, dość trudno nadążyć z narzędziami, których stworzenie wymaga staranności i czasu. Na przykład humor memowy wymaga znajomości wielu

celebryci, o których akurat w danej chwili jest głośno.

Zespół Badań nad Językiem i Humorem zauważa, że jeśli chcielibyśmy zdefiniować polski humor, to trzeba zaznaczyć, że mówienie o humorze narodowym jest bardzo dużym uproszczeniem. – W obrębie jednego społeczeństwa istnieje wiele grup, kultur, norm czy wyznawanych wartości. Często humor polski bywa rozumiany jako skłonność do komentowania sceny politycznej. Polacy deklarują też, że lubią używać ironii w różnych sytuacjach. Jedną z interpretacji tej skłonności jest fakt, że kiedyś trzeba było mówić niedośownie, aby obejść cenzurę. Jednak to, że ludzie poprzez humor radzą sobie z tym, co trudne, nie jest typowo polskim zjawiskiem – przypomniał dr Banasik-Jemieliński.

I rzeczywiście, gdy obserwujemy najpopularniejsze polskie profile humorystyczne w internecie, to zajmują się one przede wszystkim komentowaniem wydarzeń politycznych. Wystarczy wspomnieć chociażby Sekcję Gimnastyczną, której twórca

Polacy to spięty i zakompleksiony naród. To się zmienia. Ciągłe jednak skecze są mylone z publicystyką czy manifestem.

kontekstów – jeden obrazek będzie miał odniesienie i do politycznych aktualności, i do popkultury. Tutaj trzeba dodać kilka rzeczy. Weźmy mem z Lordem Vaderem z „Gwiezdných wojen” mówiącym: „Taki mamy klimat”. Nagle okazuje się, że to połączenie jest komentarzem do pandemii i braku respiratorów – wyjaśnia Natalia Banasik-Jemieliński.

Namiętne poszukiwania i wymiana memów wiele mówią o Polakach. Większość humorystycznych obrazków opiera się na wyśmiewaniu albo polityki, albo określonych grup społecznych. Polak czuje się lepiej, kiedy ktoś jest od niego głupszy, mniej zaradny lub ma w życiu gorzej. Dlatego w internecie znajdziemy pełno memów o „Sebixach”, czyli dresiarzach, oraz „Januszach” i „Grażynkach” mających reprezentować Polskę B jak z serialu „Świat według Kiepskich”. Kolejnymi bohaterami są oczywiście

wpuszcza do sieci memy z cytatami z polityków doklejonymi do kadrów ze starych polskich filmów, m.in. Stanisława Barei.

Z duchem czasów

Do lamusa, mimo usilnych starań stacji telewizyjnych, odchodzą powoli kabarety. Polsat i TVP 2, które mają cotygodniowe pasma kabaretowe, konsekwentnie odnotowują spadek oglądalności. Obecnie promowany przez Telewizję Polską „Kabaret. Super Show Dwójki” nie może się pochwalić nawet połową oglądalności hitu z 2016 r. „Dzięki Bogu już weekend”, który średnio oglądało 847 tys. osób. Powodem może być znudzenie widzów oklepaną formułą. Kabaret padł poza tym ofiarą własnego sukcesu – stał się komercyjny, a więc musiał dostosować się do szerokiej publiczności. Nie ma w nim miejsca ▶

► na wysublimowanie. Musi być mocno, głośno i dosłownie.

W niepamięć odchodzą też tzw. kawały z brodą (albo wąsem). To stare, znane wszystkim od lat dowcipy. Widać ich powolny zanik – coraz mniej osób je opowiada. Prof. Jerzy Bralczyk wyjaśnia, skąd się wzięły w tych żartach zarost. – Dowcip, jeśli ma być dobry, powinien być świeży, nawet zaskakujący. Jeśli ktoś opowie czy zrobi stary kawał, to może znaczyć, że nie docenia odbiorcy – albo że sam jest niezbyt dowcipny. Ale wprost powiedzieć o dowcipie, że stary, jest mało dowcipne. Zatem przyprawia się dowcipowi brodę, co ma pokazać, że stare z nas wróble i na plewy nie damy się złapać.

Im młodsze pokolenie, tym większym niesmakiem reaguje na seksistowskie czy ksenofobiczne żarty. I chociaż kultura opowiadania sobie dowcipów ciągle funkcjonuje, słychać wyraźnie, że niektóre nie przetrwały próby czasu. – Zmienia się świat i wrażliwość. Dlatego część żartów, jak i uznanych klasyków, nie nadąża za tymi zmianami – dodaje Natalia Banasik-Jemieliński.

Żarty na stojąco

Młodsze pokolenia Polaków chętnie oglądają stand-up, czyli solowe

wystąpienia komików, którzy nie tyle opowiadają wyuczone żarty, ile dzielą się z publicznością swoimi przemyśleniami i obserwacjami dotyczącymi życia. Ta forma zadomowiła się na polskiej scenie w 2008 r. Pierwsi swoich sił próbowali jeszcze w latach 90. znani kabareciarze, którzy pokazywali się w programie „Na stojaka” stacji HBO. Program nie wzbudził jednak większego zainteresowania ze względu na zgraną formułę kabaretowych monologów.

Przez kompleksy nie potrafimy śmiać się z siebie, a najbardziej boimy się żartów z symboli narodowych czy religijnych.

Dopiero nowe pokolenie komików z ich świeżym podejściem do snucia opowieści było w stanie przyciągnąć publiczność na dłużej. Stand-uperzy, niegdyś wypełniający pewną niszę, są dziś gwiazdami. Najpopularniejsi jeżdżą po całym kraju, zapelniając duże sale. Spora część regularnie występuje w telewizji. Nie tylko w roli komików, ale również jako komentatorzy życia publicznego.

Pozostaje jeszcze bardzo wąska grupa odbiorców, która tęskni za humorem abstrakcyjnym, pełnym absurdu w stylu brytyjskiego Monty Pythona. Osoby lubujące się w nonsensie

często wybierają występy grup improwizacji komediowej. To spektakle oparte na sugestiach widzów, bez scenariusza ani scenografii. „Impro” nad Wisłą jest zaskakująco popularne. Dziś w każdym większym mieście można obejrzeć występ jakiejś grupy czy to w klubie, czy w miejskim domu kultury.

I mimo że świat idzie do przodu, nieraz słychać głosy tęsknoty za kabaretami takimi jak Tey, Dudek czy Hrabi, które bawiły się abstrakcją.

Według dr Agnieszki Fanslau z Zakładu Psychologii Społecznej Uniwersytetu Gdańskiego do uprawiania nonsensu potrzebne jest mocne osadzenie w demokracji. Pewnego rodzaju psychiczna stabilność, pewność, że system działa. Dopiero na takim gruncie może się pojawić rozrywka dla samej rozrywki, gdy można bawić się słowem i nonsensem. Jeśli przyjmie się tę interpretację, nie dziwi stępienie się ostrza kabaretowego żartu w ostatnich dziewięciu latach. Politycy boją się satyry. Dość wspomnieć, że w 2004 r. z Telewizji Polskiej wyrzucono Kabaret Olgi Lipińskiej. PiS po przejęciu TVP poszło podobnym torem – w 2016 r. skasowano w Telewizji Polskiej programy kabaretowe na pięć lat. W jakiej formie wrócą, każdy widzi.

Dlatego jednak Polki i Polacy tykają serwowany im festyniarski kicz? Dobrze wyjaśniają to słowa Olgi Lipińskiej: – Nasze społeczeństwo duchowo się nie rozwija. W każdym kraju kultura właśnie dlatego ma prestiż, bo jest ważnym spoiwem narodowym. To, co proponuje się Polakom w mediach jako kulturę, to tandeta. Kultura, która kształci i wygładza obyczaje, nie ma obecnie żadnego prestiżu.

Polacy wolą stać tyłem do zwierciadła satyry i śmiać się z innych. Prawdopodobnie nigdy się nie odwrócić, bo musieliby wreszcie spojrzeć na samych siebie.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



40 **TURNIEJ ŁGARZY**
BOGATYNIA 2023
20 maja

- Konkurs na tekst satyryczny
- Konkurs na sceniczną prezentację własnych utworów satyrycznych
- Pojedynek gości o nagrodę publiczności

 www.turniej.com.pl 

Guru kultury studenckiej

Ryszard Stawiński

Wielkie podziękowanie dla PRZEGŁADU za artykuł Radosława S. Czarneckiego „Litwiniec i kundlizm” (nr 4/2023). Bohater tego tekstu to postać niezwykła, zasługująca na wielkie opisanie i wielką analizę.

Bogusława Litwińca poznałem w 1963 r., gdy byłem na drugim roku wrocławskiej polonistyki. Był to szczytowy okres Studenckiego Teatru Kalambur, założonego w 1957 r. właśnie przez Litwińca. Kreator, dramaturg, reżyser, recenzent, aktor, pomysłodawca wielu inicjatyw kulturalnych tamtego czasu przynoszących rozgłos krajowy, europejski i światowy, był też twórcą Teatru Otwartego.

Lata 60. to czas gomułkowskiej stabilizacji lub dla innych stagnacji. Wyjątek od szarzyzny tamtych lat stanowiła kultura studencka. Przypomnę działalność Studenckiego Teatru Satyryków, Stodoły i Hybryd w Warszawie, Piwnicy pod Baranami i Klubu Pod Jaszczurami w Krakowie, teatryku Bim-Bom w Gdańsku, Teatru Kalambur, Studenckiego Teatru Pantomimy Gest i Riposty we Wrocławiu, poznańskiego Nurtu, by wymienić niektóre. Wrocław miał jeszcze jedną znaczącą placówkę studenckiej kultury – klub Pałacyk, w którym działały Piwnica pod Edulem wymyślona przez Litwińca i klub Arka prowadzony przez Marka Gołębiowskiego. W nim brylowali członkowie Kalambury z Haliną Woźniczko, żoną Bogusława, na czele.

Z ruchu studenckiego wykreowały się słynne kabarety, m.in. Elita i Pod Egidą. A także wielcy artyści estrady i teatru, że wymienię tylko Wojciecha Młynarskiego czy Edwarda Lubaszenkę. Studenci stworzyli wielkie festiwale, takie jak Jazz nad Odrą czy krakowski Studencki Festiwal Piosenki. Studencka była Fama, wakacyjny festiwal kultury.

Lata 60. i 70. tamtego wieku to prawdziwy wysyp talentów i twórców kultury studenckiej. 34 lata od powstania nowej Polski warto opisać ten niezwykły czas. Już można. Pora

Glosa do tekstu „Litwiniec i kundlizm”



prześcić wstydy się tamtych lat, prześcić gościć się, że był to czas tylko totalitarny, ciemny, czas komunistycznego ucisku. Nie wiem nic, a może tylko wiem niewiele, o studenckiej kulturze Polski po 1990 r. Wiem natomiast, że studenci „błyszczą” jako kelnerzy i pracownicy zarabiający na możliwość studiowania.

Lata 60. i 70. to prawdziwy wysyp talentów i twórców kultury studenckiej. 34 lata od powstania nowej Polski warto opisać ten niezwykły czas.

Że to źle? Nie. Nie potępiajmy jednak tamtego czasu. Myślę, że dziś, gdy większość aktorów i autorów tamtego okresu nie żyje bądź jedynie wegetuje w starości, kultura studencka zasługuje na szerokie opisanie i szczegółową analizę, a jej najznamienitszym przedstawicielem i guru był Bogusław Litwiniec. Są już pewne publikacje, że wymienię Bogusława Klimsy „Jazz we Wrocławiu 1945-2000”, „Estradę we Wrocławiu 1945-2000” i „Rock we Wrocławiu 1959-2000”. Ale to Wrocław, a mnie się marzy opisanie całej

polskiej kultury studenckiej od 1956 do 1989 r. W pełni na to zasługuje.

W latach 2001-2004 przewodniczyłem Komisji Kultury i Środków Przekazu Senatu Rzeczypospolitej V kadencji. Miałem szczęście, bo jej członkami byli m.in. Kazimierz Kut, Krzysztof Piesiewicz, Krystyna Doktorowicz i Bogusław Litwiniec właśnie. Kontakty i współpraca z nimi to była prawdziwa uczta. Bogusław był wyluzowany, ale zawsze skoncentrowany, kompetentny i dociekający, znakomicie poruszał się po meandrach kultury wysokiej.

Ze smutkiem czytałem końcówkę tekstu Radosława S. Czarneckiego o hipokryzji oficjalnych postaci współczesnego Wrocławia wobec Litwińca i jego dorobku. To prawda, że i ja nie byłem na pogrzebie mojego guru. Nie pozwoliła mi na to sytuacja rodzinna.

Gdy w 2004 r. rozstawałem się z komisją Senatu RP, bo przeszedłem do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, otrzymałem od Bogusława książkę „Poematy na scenę” z następującą dedykacją: „Koleżce Senatorowi Ry-siowi S. Przewodniczącemu K. Kultury z prośbą o zwrócenie uwagi na »przełom w poetyzowaniu« młodych, który tu został uchwycony. Przyjacieli

– Bogusław Litwiniec”. W przedmowie „Od animatora i wydawcy” Bogusław napisał: „Poezja jest Księżniczką wszech sztuk. Dlatego przez dziesięciolecie uprawialiśmy w poszukującym ideowo i estetycznie Teatrku Kalambur roboty sceniczne z jej inspiracji. Nasze wystawienie »W rytmie Słońca« było tego zwieńczeniem. Stało się wypowiedzią kultową dla pokolenia długowłosych hippisów”.

To potwierdzenie, że Bogusław Litwiniec zawsze, do ostatnich dni swojego bogatego życia, pracował, czyli poszukiwał i tworzył. ■

KURTYNA W GÓRĘ

Odchodzić godniej

Takie wezwanie płynie ze spektaklu Mateusza Pakuły na podstawie jego książki „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”, opartej w dużej mierze na wątkach autobiograficznych. Autor relacjonuje bowiem miesiące umierania jego ojca, zaatakowanego przez raka trzustki. To czas niewyobrażalnych cierpień fizycznych ojca i katuszy psychicznych bezradnej rodziny, daremnie usiłującej osłabić wściekłe ataki bólu i spustoszenie siane przez niszczycielski nowotwór.

Przejmujący dramatyzm tej opowieści wydawał się nieprzekładalny na język teatru. A jednak powstała inscenizacja w koprodukcji nowohuckiej Łaźni Nowej i Teatru Żeromskiego w Kielcach. Przedstawienie porażające szczerością, piekielnie odważne i ważne. Krakowską premierę widzowie przyjęli owacyjnie.



Mateusz Pakuła, „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”, reżyseria autor, Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie, premiera 20 stycznia 2023

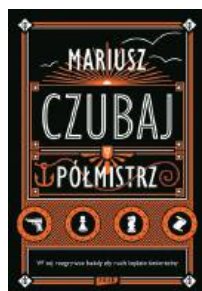
Spektakl różni się od powieści nieoczekiwanym akcentem komediowym, niemal slapstickowym. Szymon Mysłakowski, występujący w epizodach kilkunastu pobocznych postaci obojga płci, niemal jak w paradach z komedii dell'arte, wprowadza element swoistej „dywersji”, osłabienia efektu przerażenia. Może nawet się wydawać, że to niestosowne – takie właśnie połączenie radykalnie odmiennych stanów: obezwładniającego cierpienia i odrywającego od niego rozluźnienia – wesołości, ironii, złośliwej obserwacji. Jak to w życiu.

Jednak decyzja Mateusza Pakuły o tym nietatwym, a nawet ryzykownym powiązaniu tragedii i farsy okazała się artystycznie i psychologicznie trafna. Może tylko dzięki niej udało się wrażliwemu widzom dotrzeć do końca przedstawienia. Szacunek dla zespołu, podziękowanie

za podjęcie trudnego tematu bez kłajstrowania rzeczywistości i maskowania paskudnej obojętności Kościoła i systemu opieki zdrowotnej na ludzkie cierpienie.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Mariusz Czubaj

Półmistrz

Znak, Kraków 2023

Gdy wyruszyć w ten rejs, szkoda wam będzie przerywać podróż nawet na chwilę. Na pokładzie transatlantyku Przyszłość ku niepewnej, jak się okaże, przyszłości płyną w sierpniu 1939 r. do Argentyny na olimpiadę szachową polscy wybitni – i autentyczni – szachiści. A także Witold Gombrowicz, który ma o nich napisać reportaż, oraz gromadka tajemniczych postaci. Niektórzy nie są tymi, za kogo się podają, ktoś ma coś do ukrycia – albo znalezienia – ktoś inny niecne zamiary. Nie każdy ma w ogóle jakąś przyszłość, rychło zostaje zapowiedziana zbrodnia... a popełniona inna. Przemysłnie skonstruowana powieść kryminalno-szpiegowska, w eleganckich dekoracjach z epoki, prócz smaczków erudycyjnych zawiera sporo odniesień do naszej współczesności, zabawnych, złośliwych szpileczek. Mistrz Czubaj. Całkowity.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

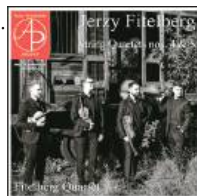
Fitelberg Quartet

Jerzy Fitelberg, String Quartets no. 4 & no. 5

Acte Préalable

Każdy meloman wie, kim był Grzegorz Fitelberg – dyrygent i kompozytor. Za to pewnie nikt nie kojarzy Jerzego Fitelberga, syna Grzegorza. Właśnie ukazała się płyta z dwoma kwartetami smyczkowymi Jerzego. Utwory trudne, piękne, wybitne, a najważniejsze, że stanowią odkrycie dawno zapomnianego talentu. Firma Acte Préalable, choć ma francuską nazwę, jest polska i specjalizuje się w nagraniach mało znanych, zapomnianych rodzimych artystów. Warto posłuchać tej muzyki w znakomitym wykonaniu.

Bronisław Tumiłowicz



NA EKRANACH



Aftersun

reż. Charlotte Wells, prod. Wielka Brytania, USA, w kinach od 3 lutego

Tamtego lata dzieje się wszystko i nic. Calum (nominowany do Oscara Paul Mescal), wcześniej doświadczony ojcostwem, spędza wakacje z 11-letnią córką (Frankie Corio) w tureckim kurorcie. Na co dzień mieszkają osobno, a teraz mają okazję nadrobić zaległości. Jest czas na rozmowy, na kręcenie wideo, wspólne bycie, wycieczki i cały ten wyjazdowy sztafaż. Bystra Sophie zawieszona jest między dzieciństwem a dojrzewaniem, jej ojciec naprawdę się stara, ale zarazem poluje na własne demony. Nieustanna bliskość sprawia, że jedno i drugie w końcu opuszcza gardę, a do głosu dochodzą emocje z głębi serca. W wyjątkowo silny sposób ten kameralny, nostalgiczny film odwołuje się też do emocji widzów. Albo w nie trafi, albo wystawi na próbę ich cierpliwość.

Agata Gogołkiewicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogołkiewicz

Każdy klient lubi być trochę odkrywcą

Tym powinniśmy się promować w świecie – znakomitym produktem, który ma wielowiekową tradycję – mówią Podlasianie

Wojciech Koronkiewicz

Zbicień, dziennik spełnionych marzeń

Z Kamiennej przez Lipsk jadę do Augustowa. Na ulicy Tytoniowej 9 umówiony jestem w miodosytni. Na drzwiach wisi kartka: „Przepraszam, zaraz wracam. Jestem na produkcji”. Pod drzwiami kilkoro klientów. Czekaemy dosłownie trzy minuty. Klienci wchodzą do środka. Ktoś kupuje zbicień. Małżeństwo bierze podpiwek i butelkę pitnego miodu. Wychodzą.

– Zaczęło się od bartnictwa – opowiada Piotr. – Zająłem się tym w 2013 r., wkrótce założyłem Bractwo Bartne i zacząłem skupiać wkoło tego tematu kolejne osoby. Ale szybko zrozumiałem, że choć jest to wspaniała pasja, nie dam niestety rady utrzymać z tego rodziny. W 2016 r. wraz z Pawłem jechaliśmy otworzyć kolejną wystawę bartniczą wspólnie organizowaną przez Bractwo w Równem na Ukrainie. Po drodze padł pomysł: „A może by tak założyć miodosytnię?”. Kilka dni po powrocie Paweł powiedział: „Zrobiłem biznesplan, zobacz: tu mamy lokal, tu kosztorys. Robimy?”. I tak to się zaczęło. Na początek zainwestowaliśmy w dwa zbiorniki po 1000 litrów. I staraliśmy się zdobyć koncesję na produkcję alkoholu. Nietatwa to sprawa, oj nietatwa. Zajął nam rok! Wszelkie wymagane przepisami dokumenty uzyskaliśmy w kwietniu 2018 r.

Najpierw zrobiliśmy zbicień. Co to jest? Ze zbicień spotkali się



Zbicień to napój przodków – mówi Piotr. – Gdy nie było cukru, słodzono miodem. I fermentowano na miodzie pędy sosny, owoce jałowca, dziki chmiel.

na Białorusi. To napój naszych przodków. W czasach, gdy nie było cukru, słodzono miodem. I fermentowano na miodzie. Tam, gdzie był jęczmień, robiono piwo. Ale w puszczy? Fermentowano pędy sosny, owoce jałowca i dziki chmiel. I myśmy to postanowili wskrzesić. Zrobiliśmy lekki orzeźwiający napój alkoholowy na

bazie miodu. Wyłącznie woda, miód, puszczańskie produkty i trochę drożdży. To jest ten leśny smak z wyraźnymi nutami olejków eterycznych i żywic sosny oraz chmielowej goryczki.

Pierwszy miód pitny wypuściliśmy dość szybko. Grudzień 2018. W kwietniu koncesja, w grudniu pierwszy trójniak. Dziewięć miesięcy. Absolutne minimum dla trójniaka. Spieszyliśmy się tak, by zdążyć przed świętami. Nie mogliśmy się już doczekać. Tyle starań. Tyle oczekiwań. Niech już w końcu się stanie! I wyszedł. Czysty trójniak. Bez żadnych dodatków. Smak oparty tylko na miodzie. Dlatego nie można kombinować i robić z tańszych surowców. To od razu się czuje. Jeśli surowiec będzie trefny, to w gotowym produkcie nie będzie smaku ani aromatu. Może dlatego nasze miody są tak doceniane? Surowiec czerpiemy z pogranicza polsko-litewskiego.

Mamy zaprzyjaźnioną rodzinę Polaków na Litwie. Ich pasieki, łącznie 400 uli, stoją nad samą litewsko-białoruską granicą.

– W Bractwie Bartnym kultywujecie tradycję – mówię. – Zakładacie na drzewach barcie. Stawiacie kłody. Dlaczego nie bierzecie miodu z barci?

– Bo jest go po prostu zbyt mało – mówi Piotr. – Po dwóch latach zbierania miodu zgromadziliśmy go 115 kg. Skupiliśmy od leśnych bartników dosłownie wszystko. Z tych 115 kg zrobiliśmy 215 litrów trójniaka. W zasadzie zrobimy, bo miód pitny wypuszczamy w maju 2022.

– Ile będzie kosztował? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada Piotr.
– Miód skupowaliśmy po 250 zł za kilogram. Tak. Dobrze pan słyszał. Dwieście pięćdziesiąt złotych. Do tego doliczyć trzeba rok na zajęcie zbiornika. Ale ja nie chcę rozmawiać o cenach. Nie o pieniądze tu przecież chodzi. Miód w hurcie kosztuje 25 zł za kilogram.

– To dlaczego ten z barci kosztuje 250 zł? – pytam.

– Bo jest go mało – mówi Piotr.
– Ile miodu rocznie może dać bar? 1 do 10 kg maksymalnie. Z ula – kilkadziesiąt kilo. Rekordziści potrafią zebrać ponad 120 kg przy gospodarce wędrowniej. Ale nam nie idzie o rekord.

– Przyglądam się waszym półkom, siedem gatunków miodu. Który jest najchętniej kupowany?

– Siedem gatunków – potwierdza Piotr. – W tym roku nie wypuściliśmy żadnego nowego. Ale w przyszłym planujemy dwie nowości. Bartny i czwórniak, który został najlepszym miodem na największym europejskim konkursie miodów pitnych dla amatorów – Mead Madness Cup. Nagrodą w tym konkursie była możliwość wystawienia zwycięskiego miodu w naszej miodosytni. Najbardziej popularne są: „Augustowski późny” i „Podlaska Szeptucha”. Kozłek lekarski, jałowiec i imbir to przyprawy, które dodajemy do „Szeptuchy”. Ale tak naprawdę klient najchętniej kupuje ten miód, który pierwszy dajemy mu spróbować.

– No tak – wołam. – Przecież w waszej miodosytni przed zakupem można najpierw degustować!

– Otóż to – mówi Piotr. – Każdy klient lubi być trochę odkrywcą. Sam decydować o wyborze. Mało tego! On lubi odkrywać rzeczy nieoczywiste. Z dala od centrum. Nasza miodosytia jest praktycznie na obrzeżach miasta. Jednak ludzie tu do nas trafiają. Bo ktoś im polecił.

Bo znaleźli informację w sieci. Bo chcieliby zabrać jakąś pamiątkę, a o inne pamiątki w Augustowie trudno. Tymczasem proszę spojrzeć na nasze produkty, one są wyjątkowe nie tylko na skalę Polski, ale i całego świata. Tym właśnie powinniśmy się promować w świecie. Znakomitym produktem, który ma wielowiekową tradycję, wyrabiany jest z najlepszych lokalnych surowców i którego nikt na świecie nie ma. Każdy kraj, każdy region stara się wypromować lokalne alkohole. A my? Dlaczego nie promujemy naszych miodów pitnych? Przecież to jest klasa sama w sobie. (...)

– Rodzice nie mają pretensji, że produkuje pan alkohol? – pytam.

– Ależ skąd – mówi Piotr. – Wspierają mnie. Skończyłem studia – stosunki międzynarodowe, pracowałem jako zaopatrzeniowiec. Paweł, mój wspólnik, był architektem. Teraz realizujemy swoje pasje. Kiedyś prowadziłem blog na temat bartnictwa „Dziennik spełniania marzeń”. Ale teraz już nie muszę. Moje marzenia spełniają się każdego dnia.

Lecznicze oleje i akordeon

Dom znajduje się przy ulicy Targowej. To już w zasadzie przedmieście Hajnówki. Trasa wylotowa na Bielsk Podlaski. Dom jest murowany, w ogrodzie stoi jeszcze mniejszy domek.

– To właśnie nasza olejarnia – mówi pan Piotr.

Pod ścianami worki z ziarnem. Pod oknem wytłaczarka. W kącie lodówka. Bo prawdziwy olej trzeba trzymać w lodówce.

– Długo nie porozmawiamy – mówi pan Piotr. – Len trzeba kosić.

– Macie własny len? – pytam.

– No własny, własny – odpowiada pan Piotr i otwiera jeden z worków.



Jak się dobrze siemię wytłoczy, to czasem nawet zapachu nie czuć. Ale ludzie nie lubią oleju bez zapachu.

– Odmiana złociста. Ludzie kojarzą tylko to brązowe siemię. Tamten to na materiały lepszy. Ten zaś na olej. Jak się go dobrze wytłoczy, to czasem nawet zapachu nie czuć. Ale ludzie nie lubią oleju bez zapachu. Uważają, że jest oszukiwany, więc czasem dodajemy też trochę plew. Bo w plewach zapachu jest najwięcej.

– Co jeszcze sami uprawiacie?

– Ostropest też mamy, Iniankę, słoneczników już nie, bo raz nam wszystko ptaki zjadły. Za blisko puszczy uprawa. Dynie są w ogródku. Na jeden litr oleju trzeba pestek z 30 dyń. Widział pan nasz ogródek? Tu za płotem. Ziele po pas. To znaczy, że chemii nie ma. Ale dynie malutkie. Więc trochę dokupujemy. Grykę też mamy, ale to na mąkę bardziej. Oleju z gryki nie zrobisz. Za sucha jest. No chyba że tłoczysz razem z rzepakiem. Wówczas pójdzie. Będzie miał taki charakterystyczny gryczany smak i efekt bardzo zdrowotny.

– Rzepak podobno pryskany jest mocno – mówię.

– No niestety – odpowiada pan Piotr. – Kiedyś przy każdym gospodarstwie suszarnia była. Suszyło się rzepak, nasiona zbierało. Teraz kombajn idzie i wszystko zbiera. Dlatego nasiona potem trzeba z centrali brać. No i pryskają.

– Dlaczego zaczął pan robić oleje? – pytam.

– Żona zachorowała na cukrzycę – opowiada pan Piotr. – Ja zaś wyczytałem, że na to pomaga olej z lnianki. Ach, lnianka! Jaką ona ma historię niezwykłą! Podobno trafiła tu wraz z Mongołami, którzy przybyli podbijać nasze ziemie. Mongołowie używali lnianki do opatrywania ran. Więc wyczytałem, że ktoś chory na cukrzycę pił olej z lnianki i pomogło. Uwierzyłem. Kupiłem wytłaczarkę. Później szukaliśmy tej lnianki. Kupiliśmy od dziadka na rynku, podobno ekologiczną. Ale woleliśmy mieć własną. I następnego roku już sami uprawialiśmy.

– To trzeba pić regularnie przez wiele miesięcy – dodaje pani Ania i nalewa pełen kieliszek oleju lnianego. – Jak ktoś myśli, że raz się napije i wystarczy, to szkoda czasu.

– Żona zaczęła pić i zaczęło pomagać – opowiada pan Piotr. – Sąsiedzi zaczęli się zgłaszać. Trzeba było w urzędzie zarejestrować. Załatwić biurokrację.

– Poprawa następuje po 14 miesiącach – mówi pani Ania. – Zamawiają czasem jedną butelkę oleju. Koszt wysyłki droższy niż sam olej. Smakował panu? Którego teraz nalać?

– Może tego dyniowego – mówię.

Po chwili stoi przede mną kieliszek ciemnego oleju. Pełen po brzegi. O matko!

– Pełny, pan przecież mówił – dziwi się pani Ania. – Opowiedz o tej pani, co lekarz ją skierował na operację bajpasów, ale ona się bała i nie poszła. Olej za to piła i udało się żyły przepchać bez bajpasów.

– Spod Warszawy do nas specjalnie przyjeżdżała – mówi pan Piotr. – No jak ten dyniowy? Może być? On na jelito drażliwe dobry, mężczyznom na prostatę.

– A z ostropestu na co? – pytam.

– Ostropest odtruwa wątrobę – mówi pan Piotr. – Na zatrucia alkoholowe najlepszy. I jak wątroba lekami zniszczona. Po chemii ludzie chętnie biorą. Ale antynowotworowy jest też lniany z papryczką chili. Na wysepki trzustkowe najlepsza lnianka. Zwiększa ilość insuliny. Czyli na cukrzycę właśnie.

– Konopny na co? – pytam.

– Konopny jest dobry na problemy z myśleniem – mówi pan Piotr. – Na padaczkę alkoholową, po udarach i na załamanie psychiczne. Moja matula jak piekła chleb, to konopnym lub lnianym z wierzchu smarowała. Kiedyś konopie w każdym ogrodzie były.

– Ba, ja również nad tym boleję – odpowiadam.

– Nie tylko pan – mówi pan Piotr. – Wiele osób cierpi. O proszę! Ten to jest dopiero! Czarnuszka! Olej faraonów! Nasiona czarnuszki znaleziono w piramidach. Zgaga, nadkwasność, odbijanie, a nawet alergię!

– Opowiedz, jak alergię miałeś w tartaku – mówi pani Ania.

– Od pyłu sosnowego chyba tak poszło – potwierdza pan Piotr. – Ale dzięki czarnuszce wyszedłem z tego. Olej faraonów! Lek Hindusów! Choć niektórzy mówią, że smakuje jak olej przepałowcy. Ale w związku z tą pandemią bardzo dobrze się rozchodził. Brali ino furczało.

– Dolać panu? – pyta pani Ania.

– Wypiłem dwa kieliszki. Więcej nie dam rady.

– Tak, tak – kiwa głową pan Piotr. – Mieszać nie ma co. Ja to najbardziej lniany lubię. Pamiętam z rodzinnego domu. Ojciec z olejarni przynosił. W czasie postu z ziemniakami się jadło. I pokost z tego był do malowania płotów. Człowiek pamięta ten zapach.

– A dlaczego u was w olejarni są dwa akordeony? – pytam.

– Bo my z żoną gramy i śpiewamy – ucieszył się pan Piotr. – Jeden akordeon na faweczkę, drugi na koncerty!

Podlasie

•

Królestwo kóz i sera

Zwierki leżą na trasie do Zabłudowa. Jest tu żeński klasztor prawosławny i cerkiew św. Męczennika

Gabriela. Gdzieś tam wśród pól jest też podobno mogiła żołnierzy napoleońskich. Miejsce, które od dziesiątków lat jest omijane przez mieszkańców podczas prac polowych. Nikt tam nie orze, nikt nie sieje i nie zbiera. Zmarłych pozostawiono w spokoju.

Przejechałem przez całe Zwierki w tę i z powrotem, ale nigdzie nie zauważyłem numeru 51. Nigdzie nie było tablicy „Kozie sery”. Aby zobaczyć tę tablicę, należy zjechać w szutrową drogę pod klasztorem. I jechać cały czas prosto w stronę lasu. Na podwórku witają nas dwa psy. Szczekają, ale kiedy otworzy się drzwi auta, jeden już po chwili wchodzi do środka. Drugi jest większy, stoi więc cierpliwie, merda ogonem, czekając na swoją kolejkę do pieszczoły.

– Zastał nas pan przy pracy – śmieje się pani Basia. – Ale zapraszam, oczywiście zapraszam. Pan po ser?

Podchodzimy do wielkiej lodówki.

Czegóż tam nie ma! Masło, mleko, jogurty, sery. Sery klasyczne, z pieprzem, czarnuszką, pomidorami, czosnkiem niedźwiedzim i kozieradką.

– Ale żeby nie miał zapachu – mówię. – Żona nie lubi.

– Żaden z nich nie ma koziego zapachu – zapewnia pani Basia.

Zdecydowałem się zatem na kozieradkę. Kozia, kozieradka.

– Pierwsze kozy przywiozła pani podobno w bagażniku osobowego auta – mówię. – I podobno ma pani zdjęcia z tego wydarzenia.

– Mam – śmieje się pani Basia i idzie po album.

Siadamy przed domem. Jest słonecznie i można zapomnieć, że lato właśnie się kończy.

– Mieliliśmy wówczas kombi – pani Basia pokazuje zdjęcia. – Dwie kózki się zmieściły. Mela i Markiza. One były pierwsze. O, tutaj na zdjęciu nasze koniki. Piękne, prawda? Bardzo je lubiłam. Pomagały nam w gospodarstwie, kiedy dzierżawiliśmy ziemię i sialiśmy zboże. Ale to było nieopłacalne. Musieliśmy więc zrezygnować. Tutaj Gapcia. Moja ulubiona. Wykarmitam ją od butelki. Niech pan spojrzy, jaka jest tu malutka. Teraz to ▶

najstarsza koza w stadzie. Na pewno do nas przyjdzie.

– Pani Basiu, jest pani szczęśliwa? – pytam.

– Tak, oczywiście – śmieje się pani Basia. – Ja jestem miastowa. Sprzedawałam garnki, miałam znakomite wyniki, jedno z najlepszych w Polsce. Prowadziłam też restaurację.

– Jak to więc się stało, że miastowa dziewczyna, właścicielka restauracji, przeniosła się na wieś? – pytam.

– Mam uczulenie na krowie mleko – mówi pani Basia. – Chciałam też, aby moje dzieci piły mleko kozie. Ono jest zdrowsze po prostu. Ale wtedy mleko kozie w Białymstoku miał tylko jeden rolnik. Przyjeżdżał raz na tydzień pod sklep Opatkę. Kolejka do niego się ustawiała. I zdarzało się, że czasami tego mleka nie starczało. Pomyślałam wówczas, że skoro jest takie zapotrzebowanie, więc może samemu kozy kupić?

Kupiliśmy najpierw to gospodarstwo. Miejsce dla kóz już było. Ale warunki mieszkaniowe dla nas żadne. Dojeżdżałam więc dwa razy dziennie z miasta, aby kozy wydoić. Potem się pobudowaliśmy, sprzedaliśmy mieszkanie w mieście i przenieśliśmy się tu na stałe.

– I nie brakuje pani zupełnie miasta? – pytam.

– Ależ skąd! – śmieje się pani Basia. – Przecież ja bywam w mieście. Jak mam sprawy do załatwienia. Albo gdy przyjaciół odwiedzam. Zamieszkanie na wsi nie oznacza odcięcia od świata. Chociaż moje królestwo jest teraz właśnie tutaj.

– Jak wygląda dzień w pani królestwie? – pytam.

– Wstaję o 6.00 – opowiada pani Basia. – Mam swoje poranne rytuały. Potem idę doić kozy i owce. Kóz jest 20, owiec kilkanaście. Wszystkich obecnie nie doję, więc choć mam dojarkę, doję moje zwierzęta ręcznie. Pan wie, że mleko z ręcznego dojenia jest smaczniejsze? Proszę się nie śmiać! Dojarki muszą być



Kozie mleko jest bardzo zbliżone składem do ludzkiego. No i smakosze kupują. Kozie sery są po prostu najlepsze.

bardzo dokładnie myte. I używa się do tego naprawdę mocnych środków. A przecież to chemia jest. Więc ja wolę doić ręcznie. Zajmuje to półtorej godziny rano, godzinę wieczorem. Jest czas, aby zaplanować sobie cały dzień. Albo też cały dzieńek sobie przemyśleć. Później robię sery. Roboty nie ma dużo. Kozy dają 2-4 litry mleka dziennie. Owce 1 litr mleka. Czasem nawet mniej. Dlatego owcze sery są tak drogie. I dlatego tak często dodaje się do nich mleka krowiego. W oscypkach norma dopuszcza 40% mleka krowiego. Chętnych turystów jest tylu, że owczego mleka by nie starczyło. Tymczasem ja mam owcze sery bez dodatków. Po zrobieniu serów to już mam wolne. Czyli chodzę i patrzę, co by tu jeszcze

zrobić. Może by tak pokrzywy nazbierać?

– Za późno na pokrzywę – mówię. – Już przekwitła. Teraz można zbierać jej nasiona. Są doskonałe wymieszane z solą.

– Naprawdę? Nigdy nie próbowałam – mówi pani Basia. – Ale pokrzywę według mnie można zbierać cały rok. Tylko trzeba ją wcześniej podkosić. Wówczas pojawiają się młode pędy. Choć oczywiście te wiosenne są najlepsze. Uwielbiam eksperymentować. Poszukiwałam nowych smaków. Przedwojenny serowar napisał: „Jeśli wydaje ci się, że wymyśliłeś coś nowego, tak ci się tylko wydaje, wszystko już było”.

– Kto kupuje pani sery?

– Kupują ci, którzy potrzebują – odpowiada pani Basia. – Uczuleni na krowie mleko. Kozie mleko jest bardzo zbliżone składem do ludzkiego. No i smakosze kupują. Kozie sery są po prostu najlepsze.

– To białe pod lasem, to jakieś ptaki? – pytam.

– To grzyby, kanie – śmieje się pani Basia. – Chce pan nazbierać na obiad?

– Chętnie – odpowiadam. – Ale najpierw chciałbym poznać pani zwierzęta.

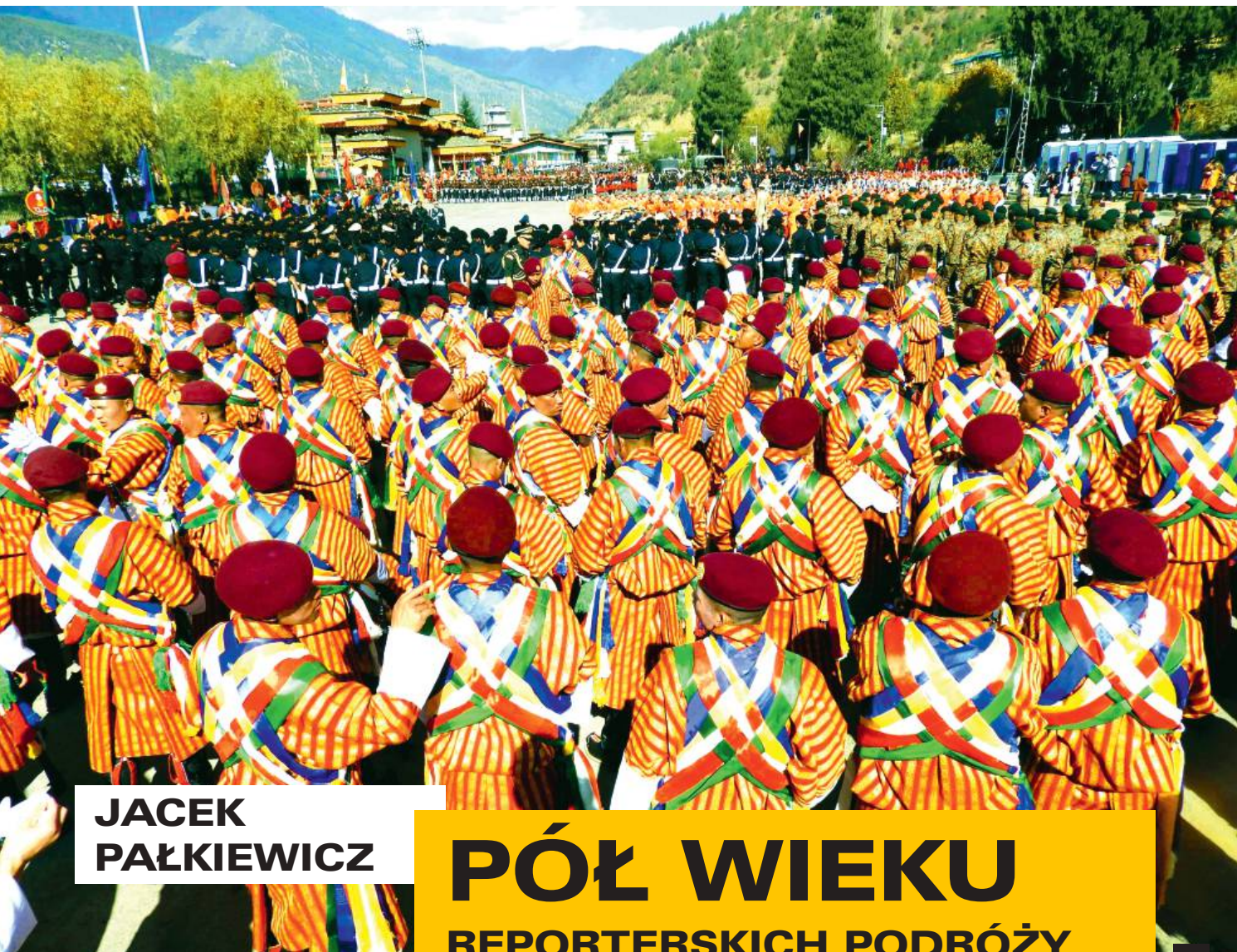
– Moją małą rodzinę – śmieje się pani Basia. – One wszystkie mają swoje imiona. Ta biała to właśnie Gapcia. Gapcia! Gapcia! Chodź do nas!

Zwierzęta podchodzą. Pani Basia się uśmiecha.

– Moje królestwo – mówi i spogląda na mnie: – Zamieniłby pan to na miasto?



Fragmenty książki Wojciecha Koronkiewicza **Podlasie zdrowo zakręcone. Podróż po krainie niezwykłych ludzi i zapomnianych smaków**, Pańsy Buriat, Kielce 2021
W książce znajdują się też adresy producentów podlaskich przysmaków.



**JACEK
PAŁKIEWICZ**

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

**Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach**

SZCZĘŚLIWI BHUTAŃCZYCY

Bhutan do dziś pozostaje jednym z najbardziej tajemniczych krajów, jakie znam. Zatrzymane w średniowiecznym duchu, zagubione w himalajskich dolinach niewielkie królestwo, zwane Ziemią Grzmiącego Smoka, przez długie wieki było odseparowane od świata. Władca jednego z najmniejszych i najuboższych państw zapewnia poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji mieszkańcom cieszącym się tym, co on nazwał szczęściem narodowym brutto, czyli spokojem, rodziną i bliskością natury.

Życie biegnie tu tak jak przed wiekami – nieśpiesznie. Mieszkańcy wsi uprawiają swoje polatka i hodują bydło,

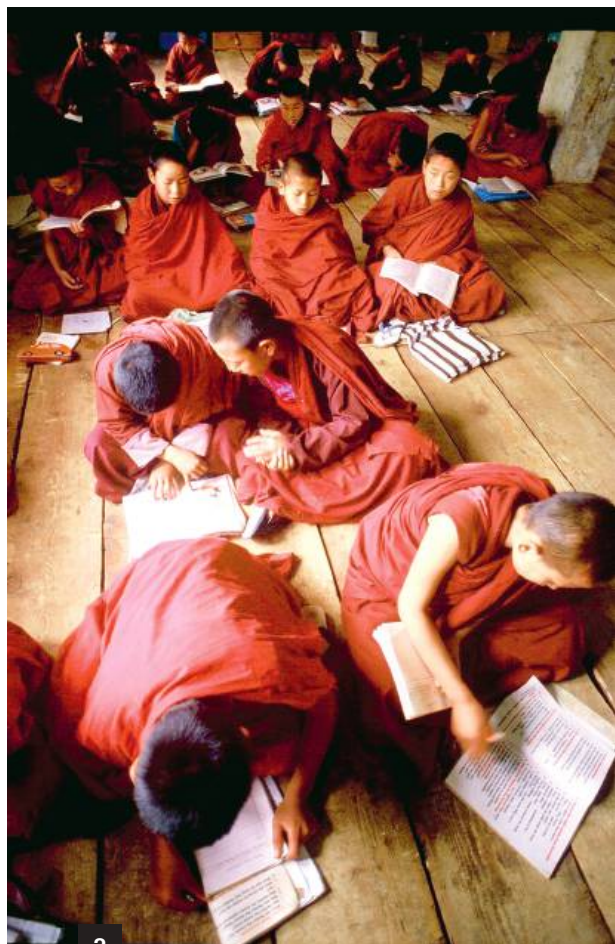
mieszczanie zaś mają zawsze zapewnioną pracę. Praktycznie każda rodzina wysyła do klasztoru przynajmniej jednego syna w wieku sześciu lat. Nauka trwa dziesięć lat, a dzieci żyją w warunkach spartańskich, w nieogrzewanych pomieszczeniach, bez bieżącej wody, nie mówiąc o skromnym wyżywieniu ograniczającym się do ryżu. Pierwszy program telewizyjny wyemitowano tu w 1999 r. i po dzień dzisiejszy w telewizji nie ma reklam, wmawiających ludziom, że konsumpcja zapewni im prawdziwe szczęście. W 2008 r. utworzono partie polityczne i przeprowadzono pierwsze w historii królestwa wybory. Dodajmy, że istnieje tu zakaz palenia papierosów i używania torebek foliowych.



2



4



3



5



6



7



8



9



10

1. Bhutan – dziedziczna monarchia konstytucyjna.
2. Bhutańskie dziedzictwo opiera się na buddyzmie.
3. Młodzi chłopcy uczą się czytać święte księgi buddyjskie.
4. Pradawny szlak karawan jaków.
5. Buddyzm wyznaje 83% mieszkańców Bhutanu, hinduizm – 11%.
6. Obrzędy religijne nie tworzą przedstawień folklorystycznych.
7. Kobiety mają prawie zawsze krótkie włosy i piękną srebrną biżuterię.
8. Łucznictwo jest tu narodowym sportem.
9. Fantazyjne fallusy ochraniają dom przed wszelkim złem.
10. Autor na trekkingu w Himalajach.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com

Portugalska recepta nr 2

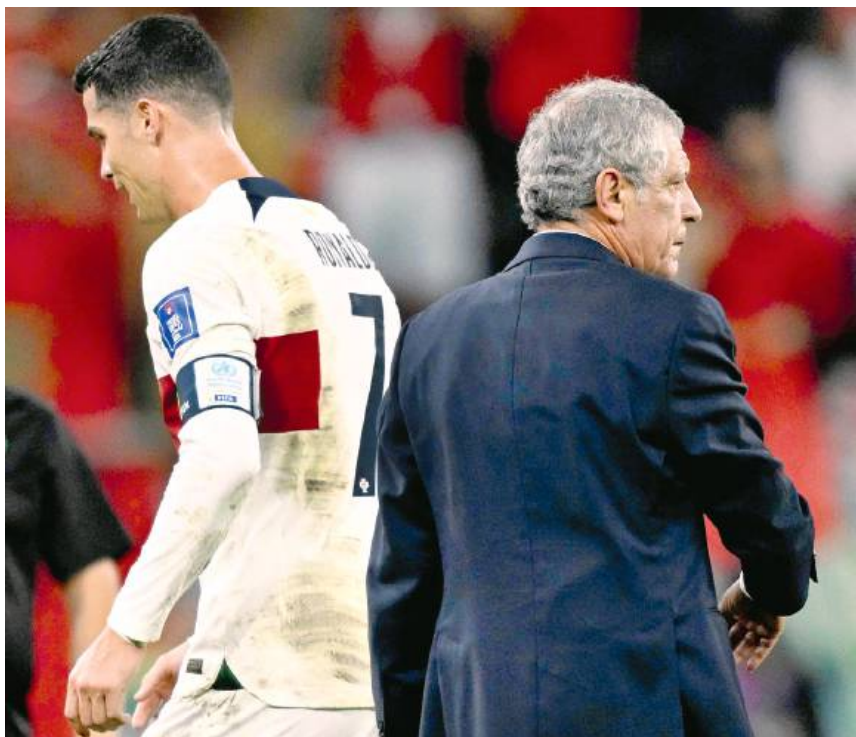
Fernando Santos będzie najdroższym selekcjonerem reprezentacji. Dostanie 2 mln euro rocznie

Maciej Polkowski

Od dzisiaj jestem Polakiem, jestem jednym z was – takimi słowami przywitał zebranych (wielu „kupił”) na pierwszej konferencji prasowej Fernando Manuel Fernandes da Costa Santos – nowy, 50. selekcjoner w historii polskiego futbolu. Jego nazwisko niemal do końca udało się utrzymać w tajemnicy – jednak wiadomo było, że chodzi o kandydata zagranicznego. Faworytami wydawali się m.in. Paulo Bento lub Vladimir Petković. Ale w poniedziałek, 23 stycznia, to Fernando Santos wysiadł z samolotu na lotnisku w Warszawie.

Do trzech razy sztuka?

Ostatnimi czasy nasza reprezentacja nie miała szczęścia do selekcjonerów. Najpierw fatalnego, kompletnie niezrozumiałego wyboru dokonał Zbigniew Boniek. Nie wiadomo skąd, jak i dlaczego przyszedł mu do głowy pomysł, by zatrudnić trenera z Portugalii bez żadnego doświadczenia w prowadzeniu reprezentacji. Wszyscy wiedzą, czym to się skończyło – rejeradą Paula Sousy. A Zibi, jako już były prezes, nie przyjmował do wiadomości, że był autorem totalnej kompromitacji, i z Rzymu obserwował, jak inni muszą pić piwo, którego nawarzył. Z kolei prezes Cezary Kulesza wymyślił Czesława Michniewicza. Ten także nie przetrwał na stanowisku nawet roku. A tuż po nominacji pisaliśmy: „Stanowisko szefa kadry narodowej nie znosi pustki, więc do jej wypełnienia zabrał się następca Zibiego Cezary Kulesza. Jak na szefa discopolowej ekipy przystało, zafundował nam ponadmiesięczny spektakl poszukiwania najlepszego z najlepszych. Z cylindra wyskakiwały



Cristiano Ronaldo nie miał u Fernanda Santosa pozycji supergwiazdora. Nz. po przegranej z Marokiem w ćwierćfinale mistrzostwa świata w Dosze. 10 grudnia 2022 r.

kolejne nazwiska. A to Polacy: Adam Nawałka, Jan Urban, Michał Probiez, a nawet Jerzy Engel, a to specje zagraniczni: Fabio Cannavaro, Andrea Pirlo, Cesare Prandelli, Ante Cacić czy wreszcie Andrij Szewczenko. Gdy ogłoszono, że selekcjonerem został Czesław Michniewicz, reakcją były szok i niedowierzanie. Tą nominacją Kulesza przebił Bońka, a to nietatwa sztuka”.

Teraz z poręki Kuleszy pojawił się Santos. Powiadają, że do trzech razy sztuka. Może się uda? To prawda, że zatrudniono fachowca z niebagatelnym dorobkiem, ale w ostatnich latach jego gwiazda zdecydowanie przygasła. Na dodatek trudno zdefiniować, kim właściwie jest tzw. selekcjoner. Jego rola kojarzy się

z człowiekiem układającym puzzle. Bo przecież zgrupowanie „nowej” kadry rozpocznie się 19 marca, a już pięć dni później pierwszy mecz eliminacji mistrzostw Europy – z Czechami w Pradze.

Portugalczyk to uznana marka – pracował w najpopularniejszych klubach greckich i portugalskich, a następnie z zespołami narodowymi Grecji (2010-2014) i Portugalii (2014-2022). Jego niezaprzeczalnie największym sukcesem jest wywalczenie mistrzostwa Europy w 2016 r. Wówczas Portugalczyki w ćwierćfinale turnieju wyeliminowali Polaków dopiero po serii rzutów karnych. Następnie Santos wygrał Ligę Narodów. Potem szło mu gorzej. Mowa o Euro 2020 i mundialu w Katarze.

Zatrudnienie Santosa nie wywołało szczególnego entuzjazmu polskich kibiców, pomnych doświadczeń z uciekinierem Sousą. Świadectwem tego są wyniki błyskawicznej sondy internetowej z pytaniem: „Czy Fernando Santos będzie dobrym selekcjonerem reprezentacji Polski?”. Tak – 49%, nie – 51%. Bardzo popularny w Portugalii dziennik „A Bola” opublikował wyniki ankiety, w której kibice wypowiadali się na temat przyszłości polskiej kadry pod wodzą Fernanda Santosa. Aż 58% stwierdziło, że przygoda Santosa w Polsce okaże się niepowodzeniem. Przeciwnego zdania było 42% respondentów.

Droższy niż Obajtek

W pierwszej chwili nawet obserwatorom o wybujałej fantazji trudno było uwierzyć w wysokość apanaży, jakie wynegocjował nowy szef białoczerwonej kadry. Dzięki zasobnej kasie PZPN i wielkopańskiemu gestowi jego kierownictwa Santos będzie zarabiał więcej niż utrzymywany z naszych podatków boss Orlenu Daniel Obajtek. Krążyły opowieści o różnych kwotach, najbardziej wiarygodni, jak się wydaje, okazali się dociekliwi dziennikarze portalu Sport.pl – według nich roczny koszt współpracy z nowym selekcjonerem, ale też z jego

najbliższymi współpracownikami, to 2 mln euro.

Co na to kibice? Zdecydowanej większości nie podoba się fakt, że Santos zarobi w Polsce tak duże pieniądze. W ankiecie na stronie WP SportoweFakty zapytano, czy Portugalczyk jest wart tak wysokiego kontraktu. 76% zagłosowało, że nie, a tylko 24% było na tak.

Nie chcemy być złośliwi, ale może taka wyśrubowana gaża to efekt poważnych kłopotów Santosa z portugalskim urzędem skarbowym? Co prawda, złożył odwołanie,

Wraz z nominacją portugalskiego szkoleniowca nastąpi kres panoszenia się i gwiazdzenia w kadrze jej kapitana.

ale sprawa jest otwarta, a chodzi o (bagatela!) 4,5 mln euro zaległego podatku...

Lewandowski powinien uważać

Wiele wskazuje na to, że wraz z nominacją portugalskiego szkoleniowca nastąpi kres panoszenia się i gwiazdzenia w kadrze jej kapitana z numerem 9 na koszulce. Można było bezkarnie wejść na głowę Brzęczkowi, Sousie czy Michniewiczowi, ale tym razem gorąco radzilibyśmy nie ryzykować. „Nigdy nie

widziałem tylko jednej gwiazdy na niebie”, padło z ust Santosa. Aluzja była aż nadto czytelna. Portugalczyk podczas niedawnego katarskiego mundialu dwukrotnie nie wystawił Cristiana Ronaldo w wyjściowym składzie, czy można sobie wyobrazić podobną sytuację w przypadku Lewandowskiego?

Można – taką opinię wyraził Francisco Sebe z portugalskiej gazety „O Jogo” (w rozmowie z Piotrem Koźmińskim w WP SportoweFakty): „Jeśli Santos uzna, że bez Roberta Polska zagrałaby lepiej, to posadzi

go na ławce. Ale myślę, że to ewentualnie perspektywa dwóch-trzech lat. Przecież nie teraz, gdy Lewandowski jest w topowej formie. Santos zawsze robi to, co według niego jest najlepsze dla drużyny. Nie zawsze ma rację, ale zawsze kieruje się tym, co według niego będzie optymalne dla zespołu. Raczej rzadko się denerwuje. Generalnie jego spokój przydaje się też w sytuacjach kryzysowych. Wtedy działa jak lód na rozpalone głowy”.

MILIONY DLA SELEKCJONERÓW

Pierwsze większe pieniądze za prowadzenie reprezentacji Polski zarobił Leo Beenhakker. Holender rozpoczął pracę w 2006 r. Z białoczerwonymi doszedł do fazy grupowej mistrzostw Europy. W trakcie trzyletniego pobytu nad Wisłą na jego konto wpłynęły łącznie 3 mln euro. Beenhakker zaczynał od zarobków rzędu 40 tys. euro miesięcznie, ale kwoty te systematycznie rosły. W ostatnim roku pracy inkasował nawet 70 tys. euro. Do tego otrzymał 600 tys. euro premii za awans na mistrzostwa Europy i 20 tys. euro za występ na turnieju w Austrii.

Jego następca Franciszek Smuda, który poprowadził reprezentację na mistrzostwach Europy w 2012 r., pobierał „zaledwie” 30 tys. euro miesięcznie. Po nim Waldemar Fornalik miał ok. 32 tys. euro. Znacznie lepiej zarabiał już Adam Nawalka. Zaczął co prawda od 25 tys. euro, ale z czasem jego pensja wzrosła do 50 tys. miesięcznie. Szkoleniowiec dostał również sówite premie. Około 250 tys. euro za mistrzostwa Europy we Francji i aż 1 mln euro za awans na mistrzostwa świata w 2018 r. Po Nawalce reprezentację prowadził Jerzy Brzęczek, który zarabiał podobnie jak Fornalik. Kolejny selekcjoner, Paulo Sousa, kasował co miesiąc 70 tys. euro. Wreszcie Michniewicz, według informacji medialnych, otrzymywał ok. 200 tys. zł. Przez 11 miesięcy uzbierała się kwota ok. 2 mln zł. Powinien otrzymać też premię za awans na mundial oraz dojście do jednej ósmej finału MŚ. PZPN otrzymał za to pieniądze od FIFA. Ile z tego zainkasował pan Czesław, nie wiadomo.



Polowanie w sieci

**Każdy chce ukraść
twoje dane.
Czy zniknięcie z sieci
jest w ogóle możliwe?
Komu zależy, aby ci się
nie udało?**

Kornel Wawrzyniak

Do niedawna ropę nazywano nowym złotem. Dziś nową ropą są dane zostawiane w internecie przez użytkowników. Korzystając z sieci, jesteśmy narażeni na kradzież pieniędzy, naruszenie wizerunku czy dobrego imienia, ale największym i właściwie nieuniknionym zagrożeniem jest utrata kontroli nad danymi. Polują na nas nie tylko cyberprzestępcy, ale też wielkie korporacje, które z wiedzy o tym, co, kiedy i jak robimy, czerpią największe zyski. Czy jedynym rozwiązaniem jest więc cyberradikalizm oznaczający definitywne wylogowanie się z internetu?

Usunąć ślad po sobie

W listopadzie 2022 r. użytkownik Twittera, programista @somenerdliam, podzielił się ze światem swoim przepisem na skasowanie 99,9% pozostawianego w internecie śladu cyfrowego. W sieci i prasie oczywiście wybuchł entuzjazm. Czy słusznie? Przepis jest dość prosty, ale wymaga sporo czasu i jeszcze więcej cierpliwości. Trzeba poza tym pamiętać,

gdzie się logowało w internecie do 10 lat wstecz. W kolejnych krokach @somenerdliam pokazuje rzecz w zasadzie banalną – sposobem na zniknięcie z sieci jest usuwanie wszystkich kont, z jakich korzystaliśmy lub korzystamy w internecie. Proponuje nawet, aby napisać do Google'a z prośbą o usunięcie wyników wyszukiwania dotyczących naszej osoby. Ciekawostką jest to, że programista uczula, aby najpierw skasować treść wiadomości z komunikatorów, z których nie będziemy już korzystać.

Jak widać, nie ma magicznej formuły na usunięcie swoich danych i jednocześnie pozostanie online. Wątpliwości co do metody @somenerdliama budzi nie tylko zależność jedynie od nas skuteczność usuwania danych, ale również trwałość takiego rozwiązania. Czy bowiem tego chcemy, czy nie, nasze dane i tak pojawiają się za jakiś czas w internecie i może to nastąpić bez naszej wiedzy i udziału.

Ataki cyberprzestępców na bazy danych instytucji państwowych, banków czy operatorów sieci komórkowych są dziś codziennością. A każda i każdy z nas w jakiejś bazie figuruje. Według zajmującej się cyberbezpieczeństwem firmy Check

Point Software Technologies średnia liczba cyberataków w Polsce wzrosła w pierwszym półroczu 2022 r. o 35%, dając ok. 1100 ataków tygodniowo na sektor finansowy i ok. 1047 na instytucje rządowe oraz wojskowe. A to przecież niejedynie miejsca, skąd można wykraść nasze dane. W 2019 r. z Facebooka wyciekło prawie 500 mln numerów telefonów, w tym 2,6 mln należących do polskich użytkowników (sprawa wróciła w ostatnich dniach, bo media błędnie podają, że to jakiś nowy wyciek z komunikatora WhatsApp). Niezależnie od źródła to dzięki takim danym cyberprzestępcy podszywają się potem pod firmy kurierskie i proszą o dopłaty do paczek, wyłudając od nieświadomych klientów wrażliwe dane. Taki proceder nazywa się phishingiem i opisywaliśmy go w PRZEGLĄDZIE nr 51/2022.

Bój się korpo, nie złodzieja

Nawet zakładając, że udałoby się nam wylogować z internetu na zawsze i skasować wszystkie nasze dane, nadal zostanie po nas ślad, którego już nigdy nie usuniemy. Mowa tutaj o profilu naszych zachowań, który tworzą internetowe algorytmy.

– Jeśli mówimy o danych, które ktoś przekazał świadomie, np. wypełniając profil w mediach społecznościowych albo klikając okienko zgody, w teorii takie dane rzeczywiście są do usunięcia. Jest to jednak syzyfowa praca, ponieważ wszechobecne wtyczki i skrypty śledzące wcześniej czy później odbudują profil użytkownika. Jeszcze trudniej zapanować nad danymi, których świadomie nie przekazujemy, ale które są wyinterpretowane przez algorytmy na podstawie

to niecałe 10 minut czytania, ale już lektura dokumentu od Spotify zajmie 35 minut. Warunki korzystania z oprogramowania Microsoftu to ponad godzina czytania, czyli tyle, ile statystycznie zajmuje przeczytanie całego „Makbeta”. Visual Capitalist podkreśla, że według zgromadzonych przez portal danych aż 97% osób w wieku 18-34 lata akceptuje warunki bez ich czytania, tym samym często rezygnując z przysługujących im praw. Można oczywiście twierdzić,

internetowych zależy na tym, abyśmy na każdym kroku odstawiali się, bo czerpią z tego największe korzyści. Niestety, znikąd nie widać ratunku, dlatego jako internauci musimy bronić się sami.

Chroń prywatność

Zabezpieczać się należy nie tylko przed korporacjami, ale także przed wścibstwem innych osób. Ludzie uwielbiają pokazywać się w mediach społecznościowych i czuć jak gwiazdy w świetle reflektorów. Zapominają przy tym, że pilnowanie swojej prywatności wpływa również na bezpieczeństwo. Przechwałki w internecie potrafią być zgubne. We wrześniu 2022 r. w Japonii aresztowano mężczyznę, który zaatakował i molestował gwiazdę muzyki pop w jej mieszkaniu. Według agencji informacyjnej NHK mężczyzna znalazł dom kobiety, przeglądając zdjęcia, które opublikowała w mediach społecznościowych. Na jednej z fotek wypatrzył stację kolejową odbijającą się w oku piosenkarki. Namierzenie mieszkania też nie stanowiło problemu, ponieważ kobieta nagrywała w nim filmiki, na których było widać okna i zasłony. Resztę załatwiła funkcja Google Street View z aktualnymi zdjęciami ulic. Ta historia to przestroga, że dziś wystarczą bardzo drobne szczegóły ze zdjęcia zrobionego komórką, aby ustalić jedną z najbardziej prywatnych informacji,

Aż 97% osób w wieku 18-34 lata akceptuje bez czytania warunki korzystania z portali, tym samym często rezygnując z przysługujących im praw.

naszych zachowań. Do tej kategorii w zasadzie nie mamy dostępu. Jeśli próbujemy ją zakwestionować – odbijamy się od ściany. A właśnie te dane najbardziej się liczą w marketingu. Wiedząc, co nas autentycznie interesuje, co nas rusza, marketerzy są w stanie wpłynąć na nasze decyzje konsumenne – tłumaczy Katarzyna Szymielewicz, prezeska Fundacji Panoptykon, której celem jest ochrona podstawowych wolności wobec zagrożeń związanych z rozwojem współczesnych technik nadzoru nad społeczeństwem.

Jak jednak możemy ograniczyć straty? Korzystanie ze smartfonów stało się w dzisiejszych czasach oczywistością. Nosimy je ze sobą właściwie wszędzie. Niektórzy nawet do toalety. Używając komórki, siłą rzeczy korzystamy z przeróżnych aplikacji. Podczas instalacji takiego oprogramowania jesteśmy proszeni o zaakceptowanie warunków świadczenia usługi. Tutaj pojawia się jeden z najczęstszych błędów – mało kto czyta te umowy, bo to kilkanaście stron prawniczego żargonu, zapisanych małą czcionką. Obliczono, że przeciętny użytkownik musiałby poświęcić prawie 250 godzin na przeczytanie ze zrozumieniem wszystkich umów cyfrowych, które akceptuje podczas korzystania z usług online. Portal Visual Capitalist podał czas potrzebny do przeczytania warunków korzystania z poszczególnych popularnych usług cyfrowych. Umowa z Instagramem

że sami kręcą na siebie bat, skoro nie czytają dokumentów. Nie jest to jednak do końca prawdą. Większość decyzji podejmowanych w internecie wynika z architektury stron i programów.

– Interfejsy komercyjnych stron internetowych i aplikacji są projektowane tak, żeby poprowadzić użytkownika ścieżką wytoczoną przez reklamodawców. To forma manipulacji, której branża marketingowa wcale nie ukrywa. Jesteśmy zmęczeni i żyjemy w pośpiechu. Naszą uwagę, co zrozumiałe, łatwiej przyciąga rozrywka. Nie ustawienia prywatności, do których trzeba się świadomie przeklikać. Ale nie nazwałabym błędem

Do każdej usługi, w której się logujemy, powinniśmy mieć inne i najlepiej złożone hasło. Zapamięta je menedżer haseł.

tę, że człowiek zamiast troszczyć się o swoje dane, scrolluje strumień aktualności. To jest predyspozycja ludzkiego mózgu, którą z premedytacją wykorzystują twórcy internetowych usług. Jeśli coś tu jest błędem, to opieszałość organów państwa, które powinny nas chronić przed marketingowymi pułapkami. W Polsce ani Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, ani Urząd Ochrony Danych Osobowych na poważnie nie podejmują tego tematu – tłumaczy Katarzyna Szymielewicz. Jednym słowem, większości dostawcy usług

jaką jest miejsce zamieszkania. I nie jest to przypadek ekstremalny, ale codzienność, bo użytkownicy mediów społecznościowych na okrągło sami się podkładają. – Pojechaliśmy samochodem zastępczym na wycieczkę. Moja dziewczyna wrzuciła relację na Instagram, śpiewała do kamery ulubioną piosenkę, która właśnie szła w radiu. Dwa dni później kolega pogratulował mi zakupu nowego volvo i pytał, czy awansowałem w pracy. W tym filmiku nie było nawet znaczka sugerującego, co to za marka! Widać tylko dziewczynę i fotel, na którym ▶

► siedzi – opowiada wyraźnie zaniepokojony zachowaniem kolegi Nikodem, szeregowy pracownik jednej z warszawskich korporacji.

Zdjęcia to zarazem nośnik danych geolokalizacyjnych. Sporo użytkowników nieświadomie umieszcza w sieci swoje położenie, kiedy wrzuca jakąś fotkę. Oczywiście w większości aplikacji funkcję można wyłączyć, tak aby współrzędne GPS nie były uwzględniane w metadanych zrobionego zdjęcia. Z wiedzy o naszym położeniu bardzo chętnie korzystają korporacje, które pod płaszczykiem dbania o naszą wygodę dowiadują się, gdzie bywamy, ile czasu tam spędzamy i co prawdopodobnie tam robimy. Dlatego aplikacje od zamawiania jedzenia

z portalu NOIZZ.pl sprawdził, że Facebook z jego telefonu nawet adresy e-mail, których aplikacja nie miała prawa nigdy pobrać. A jednak to zrobiła. Dodatkowo Facebook przechowuje nasze wiadomości i obrazki, które kiedykolwiek przesyłaliśmy.

Jak przed tym wszystkim się bronić, skoro właściwie nie sposób żyć poza internetem? Ilu specjalistów, tyle sposobów. Fundacja Panoptykon proponuje zmianę nawyków związanych z korzystaniem z internetu. Jednym z pierwszych kroków jest wyłączenie lokalizacji w smartfonie i podawanie firmom jedynie niezbędnych danych. Na dodatek najlepiej korzystać tylko z niezbędnych aplikacji. Kolejna rada nie spodoba się fanom social

konsumentom odzyskanie pieniędzy w razie kradzieży czy np. plajty firmy, której zapłaciliśmy wiele miesięcy wcześniej za wakacje.

Kolejnym z najczęstszych błędów popełnianych przez internautów jest wpisywanie wszędzie tego samego hasła. Do każdej usługi, w której się logujemy, powinniśmy mieć inne i najlepiej złożone hasło zamiast: „hasło12345”. Powód jest prozaiczny – jeśli wyciekną dane z jednej platformy, musimy zmienić hasło w każdej. Oczywiście im trudniejsze hasło, tym trudniej je złamać. Tylko kto to wszystko spamięta? Najlepiej skorzystać z menedżera haseł. To darmowy program, który generuje i pamięta skomplikowane hasła. Użytkownik musi pamiętać jedynie główne hasło do samej aplikacji menedżera.

Na deser zostaje najbardziej uciążliwa dla użytkowników rzecz, czyli pilnowanie ustawień prywatności przeglądarek i aplikacji.

Niektóre serwisy pytają tendencyjnie o akceptację plików śledzących, co gorsza robią to przy każdym wejściu. To następna pułapka zastawiana przez twórców interfejsów, co wyjaśnia Katarzyna Szymielewicz. – Dostęp do ustawień prywatności jest przez projektantów stron i aplikacji celowo utrudniany. W ostatnich pięciu latach, m.in. dzięki RODO, pojawiły się przyciski „nie zgadzam się” i rozbudowane opcje dla tych, którzy nie chcą targetowanych reklam czy śledzenia ich pomiędzy stronami internetowymi. Nadal jednak trzeba sporej determinacji, żeby dotrzeć do tych opcji. Uproszczenie tych ustawień wcale nie byłoby trudne. Ba, dla projektantów interfejsów byłoby łatwiejsze niż to, co muszą robić dziś, udając, że dają ludziom realny wybór. Tyle że z punktu widzenia firm internetowych taka zmiana się nie opłaca, nawet jeśli czasem muszą zapłacić karę za nieuczciwe praktyki.

Obawiam się, że sytuacja szybko się nam zmieni, bo po jednej stronie mamy korporacje, które stać na niekończące się batalie prawne, a po drugiej użytkowników przyzwyczajonych do takich niedogodności jak do fatalnej pogody w listopadzie – kwituje prezeska Panoptykonu.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Jednym z pierwszych kroków jest wyłączenie lokalizacji w smartfonie i podawanie firmom jedynie niezbędnych danych.

na wynos potrafią nas zapytać w drodze z pracy do domu, czy aby nie zgłodzieliśmy, a w sobotę komórka wyświetli pytanie, czy nie wpadają do nas znajomi, bo akurat jest promocja na dwie pizze w cenie jednej.

Niestety, na wiedzę o naszym położeniu czekają również oszuści. – Wyjechaliśmy na wakacje. Codziennie wrzucałam na swoje instagramowe konto kilkanaście zdjęć z wycieczki. Wszystkie miały oznaczone miejsce, więc nawet jak ktoś nie zna francuskich krajobrazów, to codziennie mógł zobaczyć, gdzie aktualnie jestem, bo wrzucałam zdjęcia na bieżąco – przyznaje Aneta, której hobby to fotografia podróżnicza. – Dziesiątego dnia dostałam telefon z banku, że ktoś próbował włamać się na moje konto. Oczywiście byli to oszuści. Na szczęście mało sprawni, więc nic się nie stało. Nie chce mi się jednak wierzyć, że to był przypadek.

Vademecum internauty

Media społecznościowe dzięki aplikacjom na smartfony wiedzą o nas więcej, niż sobie wyobrażamy. Aplikacja Facebooka potrafi pobrać z telefonu dane o połączeniach, które wykonywaliśmy, z kim i jak długo rozmawialiśmy. Radosław Teklak

mediów: „Świadomie i oszczędnie publikuj informacje o sobie, szanuj prywatność innych (np. nie wrzucaj do sieci ich wizerunku bez pytania, nie oznaczaj ich na zdjęciach)”. Specjaliści z Panoptykonu polecają też zakleić kamerkę w laptopie. Ten zabieg krytykuje inny ekspert od bezpieczeństwa w sieci, Piotr Konieczny z portalu Niebezpiecznik. Uważa, że cyberprzestępcy mają lepsze sposoby na zarobienie pieniędzy (w końcu to jest główny cel cyberataków) niż podglądanie tego, co robimy w domu, bo przeważnie nie robimy nic nadzwyczajnego.

Lepszą formą zarobku jest tzw. atak ransomware, czyli zaszyfrowanie naszych danych i wzięcie okupu za umożliwienie dostępu do nich. Co robić, żeby takiego ataku się nie bać? Tworzyć regularnie kopie zapasowe przechowywanych danych. Konieczny mówi też, aby nie bać się negocjować z „porywaczem”, gdybyśmy takiej kopii nie zrobili, bo czasem, nawet jeśli haker żąda 5 tys., może się zadowolić 500 zł. Specjalista Niebezpiecznika obala jeszcze mit o kłopotach, jakie mogą wyniknąć z płacenia kartą w internecie. Jest to najbezpieczniejszy sposób płatności, bo jako jedyny oferuje procedurę *chargeback*, która bardzo ułatwia

Dzień Raua

Za parę dni minister Zbigniew Rau, człowiek słabego zdrowia, lecz wielkich zamiarów, będzie świętował 68. urodziny. Balu w MSZ z tej okazji nikt nie oczekuje. Choć w Łodzi może być wesoło.

Rau bowiem, człowiek z miasta włóknarek i byłej wojewoda łódzki, pamięta, skąd przyszedł, wie, że MSZ to w jego życiu epizod, więc przede wszystkim dba o swoje miasto. To jego priorytet. O tym, że ściga z urzędu wojewódzkiego i z Uniwersytetu Łódzkiego ludzi do ministerstwa, pisaliśmy całkiem niedawno. Ale to przecież nie koniec. Na początku grudnia odbywały się w Polsce obrady Zgromadzenia Parlamentarnego OBWE. A gdzie się odbywały? Oczywiście w Łodzi, w gmachu pięknie zrewitalizowanej dawnej elektrociepłowni EC1 oraz w salach konferencyjnych dworca Łódź Fabryczna. To było udane wydarzenie, dobrze, że nie wszystko odbywa się w Warszawie. Ale dlaczego nie w Krakowie, Wrocławiu czy Poznaniu?

Ha! W tej sprawie zapowiada się też ciąg dalszy. Mówi się w MSZ o kolejnym pomysle ministra, już mającym swoją nazwę – delokalizacja komórek ministerstwa. Otóż jest idea, by niektóre komórki organizacyjne resortu przenieść z Warszawy w inne miejsca w Polsce. To znaczy do Łodzi. Tam mogłyby zostać przeniesione np. sprawy konsularne czy te, które nie wymagają bezpośredniego kontaktu z szefostwem. Czas pandemii i pracy zdalnej pokazał, że wiele działań można prowadzić nie tylko w Warszawie. Delokalizacja mogłaby być odpowiedzią na kłopoty z powierzchnią biurową. A przede wszystkim pięknym gestem – oto Zbigniew Rau wprowadza MSZ do Łodzi! Dla miasta to prestiż,

zarobek, no i ciekawe miejsca pracy, bo nie każdy będzie chciał przenosić się tam ze stolicy.

Jeżeli ten plan się ziści, Rau będzie miał powód do świętowania. Ale i tak nie idzie mu źle. Kilka drobnych sukcesów już może sobie zapisać na konto. Przede wszystkim wybił się na niepodległość i takie postacie jak prezydent Duda czy premier Morawiecki nie robią na nim wielkiego wrażenia. Gra swoje, ma oparcie w prezesie Kaczyńskim, który swego czasu odwiedził go w MSZ, więc co mu inni mogą narzucić? Na pewno ucieszyło go, że z ministerstwa odszedł Marcin Przydacz. Bo tajemnicą poliszynela było, że Rau nie znosi młodych wiceministrów, Przydacza i Jabłońskiego, za ich powierzchowną wiedzę i parcie na szkło. To chyba zresztą cecha, którą przyniósł z uniwersytetu – profesorowie nie znoszą niedouczonej, ale przemądrzałych doktorów.

Rau zrealizował też, czym zapunktował w PiS, wielkie marzenie prawicy – mianowicie wyrzucił z MSZ ostatnich absolwentów MGIMO. Było ich jeszcze ok. 30, teraz nie ma żadnego. Może wróć, bo część z nich oddała sprawę do sądu, ale kiedy?

W każdym razie urzędnicy dworują sobie po kątach, że po tej czystce ma być następna – po resortowym korytarzu poszła wieść, że teraz ma przyjść kolej na tych, którzy dyplom uzyskali przed rokiem 1990, czyli w Polsce Ludowej. Nikt nie chce czekać, aż wejdą w wiek emerytalny. Mają zatem być zwalniani. Wszyscy. Jako skażeni komunistycznym nauczaniem. A ostatnim z tej grupy ma być Zbigniew Rau.

Attaché



Mobilna szkoła w pobliżu prowizorycznego obozu dla ewakuowanych w dotkniętej powodzią prowincji Beludżystan w południowo-zachodnim Pakistanie.



1	2	3	4
---	---	---	---

5	6	7	8
---	---	---	---

9	10	11	12
---	----	----	----

13	14	15	16	17
----	----	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- zgoda na coś, uznanie za dobre
 - gorącochrwisty rasowy koń
 - ...WSP w Opolu wysadzona przez braci Kowalczyków
 - „Alpuhara” z „Konrada Wallenroda”
 - lokalik w paryskim stylu
 - śpi na pieniądzech
 - drewniany obłak zakładany koniowi na szyję
 - postępek, akt, dzieło
 - fakty, liczby, na których można się oprzeć
 - Paweł Demirski lub Sławomir Mrozek
 - zdarzenie małej wagi
 - huśtają lodzią
 - imię rysownika Miklaszewskiego
 - arystokraci Tczewscy z „Graniczy”
 - beztroskie życie, sielanka
 - zastój, sytuacja bez wyjścia
 - rozpoczynanie śpiewu, np. hymnu
 - japoński pilot samobójca
 - blokowany podczas kontroli biletów
 - na nim się kuje
 - z tego zakładu też śmietana, kefir
 - zdziaczały koń z prerii
 - jego flaga nie jest prostokątna
 - lenistwo, próżniactwo
 - spryciarz jest kuty na cztery
 - gipsowy lub brązowy z formy
 - efektowna Szczęsnego w bramce
 - i w oku, i w kącie pokoju
 - ma dwa kąty ostre i dwa rozwarte
 - zestaw ćwiczeń przed startem
 - zwój o cylindrycznym kształcie
 - Chandlera Orfamay szuka brata
 - żeruje na ziemniakach
 - miecz koronacyjny polskich królów
 - aktor Robin lub piosenkarz Robbie
 - długie, ruchome ramię urzędzenia
 - eksponent na targach
 - ruchoma, opuszczana część sceny
 - tomik wierszy
 - popełnił ciężkie przestępstwo
 - herbarium
 - ta... krwi wymaga
 - rekonans
 - bez niej – bez zahamowań

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1102”. Do rozlosowania książki „Młyn nad Flossą” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 lutego 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1099” z nr. 2: *Nie ma nic stałego oprócz zmiany.*
Nagrody otrzymują: Jerzy T. Kruk z Wrocławia, Aleksandra Pyra ze Stalowej Woli,
Zofia Ziemiańska z Jastrzębia-Zdroju.

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Rząd po tragedii w Przewodowie szybko wiedział, że antyrakietę we własnej obronie wystrzelili Ukraińcy. I że to kryzys wizerunkowy, a nie wojenny. Lecz nie wiedział, jak zareagować, więc wciągnął w bagno dziennikarzy, którzy ochoczo i bez zbędnych pytań się w nim taplali. Wicenaczelną „Gazety Wyborczej” w radiu TOK FM mówił: „My byliśmy też na linii z urzędnikami Prawa i... znaczy rządu Mateusza Morawieckiego, i mówiliśmy, że chcemy informacji, nie będziemy publikować nic niesprawdzonego”. A dziś dodaje: „By nie wywołać paniki, czekaliśmy na oficjalny komunikat rządu”. Rząd milczał, a w wielu redakcjach wygrywały strach przed władzą, towarzyszyła lojalność wobec rządu i służb oraz kunktatorstwo przemieszane z wyższościowym „wiemy, ale nie powiemy”.

odra

MICHAŁ LASKOWSKI,
PREZES IZBY KARNEJ
SĄDU NAJWYŻSZEGO

Jeśli zmieni się sytuacja, na co mam nadzieję, i obecna opozycja przejmie władzę, proces odbudowy będzie długi i bolesny. Trudne będzie odbudowywanie autorytetu sądów, sędziów, mimo że nasze środowisko, tak uważam, stało na wysokości zadania. Nie pojedyncze osoby – środowisko. Jest szereg ważnych

pytań. Pierwsze: czy robić to w sposób rewolucyjny – szybki i skuteczny – ale nieuchronnie powtarzając w pewnym stopniu to, co czyniła strona przeciwna. Czy robić to w myśl wszelkich zasad – dłużej, z pewnymi kompromisami, ale w zgodzie z regułami praworządności. Osobiście uważam, że powinniśmy przyjąć ten drugi sposób, ale są różne opinie.

ANGORA

MATEUSZ WALIGÓRA,
PODRÓŻNIK, ZDOBYWCA
BIEGUNA POŁUDNIOWEGO

Właściwie są dwa bieguny. Jeden geograficzny, rzeczywisty, a 300 m dalej znajduje się biegun ceremonialny z lustrzaną kulą i flagami różnych krajów. Fotografie zrobił mi pracownik amerykańskiej stacji, która się tam znajduje. A potem usiadłem na sianach, zamknąłem oczy i słyszałem trzepot tych flag na wietrze. Doświadczyłem bieguna bardziej słuchem niż wzrokiem – metafizyczna chwila.

Podstawowym posiłkiem były polskie pakiety żywności liofilizowanej. Wystarczyło je zalać wodą i po 10 minutach można je było spożywać. Miałem torcik wedlowski, prezent od żony. Połowę zjadłem jeszcze w Chile, a drugą spałaszowałem 16 grudnia, w dniu swoich 36. urodzin. W wyjątkowych chwilach, tak było w święta i w sylwestra, nagradzałem się krówką.

Aby język giętki...

JANINA OCHOJSKA O MISJACH

Na misje do Somalii, Syrii, Jemenu zgłaszały się przeważnie kobiety. Są jakoś silniejsze, odważniejsze. Można na nie liczyć.

JAROSŁAW FLIS
O RAFALE TRZASKOWSKIM

Nie chce być panem młodym na każdym weselu i nieboszczykiem na każdym pogrzebie. Pojawia się w grze, kiedy wymaga tego polityczna chwila.

GRZEGORZ LATO
O ROBERTCIE LEWANDOWSKIM

Potrafię sobie wyobrazić reprezentację bez niego. Łaski nikomu nie robi. Nie pamiętam, by w spotkaniu z Argentyną zrobił choćby jedną 40-metrową przebieżkę w pełnym sprincie.

ROBERT GÓRSKI O LEWICY

Zajmuje się głównie pilnowaniem końcówek, a więc feminitatywami czy zaimkami, z jakimi należy się zwracać do społeczności LGBT.

JOANNA BATOR
O ZAANGAŻOWANIU

Dobro nie zwycięży, bo nie da się wykorzenić zła, ale trzeba próbować.

GRAŻYNA WOLSZCZAK
O CEZARYM HARASIMOWICZU

Od mężczyzny oczekuję poczucia humoru na własny temat.

AGNIESZKA GROCHOWSKA
O RUCHU #METOO

Zapoczątkował falę, której nie da się zatrzymać. Każda z nas, chce czy nie, jakoś się z tym mierzy.

MICHAŁ BAJOR O PREZENTACH

Jestem utracjuszem, kiedy rozdawałem 100 prezentów na święta. Dzisiaj jest ich 40. Mógłbym mieć drugi dom.

IRENA SANTOR O CIESZENIU SIĘ

Nie potrafię zrozumieć, że dziś ludzie skupiają się na tym, czego im brakuje, zamiast cieszyć się z tego, co mają.



Tydzień Mody
Haute Couture
Wiosna-Lato 2023
w Paryżu,
24 stycznia 2023 r.



Tao kakao

Co łączy Tamarę Gonzalez Pereę, która zdobyła rozpoznawalność jako blogerka modowa, z ekskwiadą TVN Anną Wendzikowską i specjalistką od rozwoju duchowego Katarzyną Nast? Każda z nich organizuje ceremonie kakao. Jak tłumaczy pierwsza influencerka, nasiona kakaowca „otwierają wrota do Duszy i do intuicji”, o ile ich spożyciu towarzyszy głęboki relaks, który można osiągnąć dzięki „magicznej kąpieli w dźwiękach gongów, mis tybetańskich i innych instrumentów”. Udział w wydarzeniu, obejmującym ponadto taniec intuicyjny, pozwalający „poruszyć zastate blokady i podnieść swój poziom energii i sił życiowych”, kosztuje 550 zł, więc jeśli frekwencja będzie dopisywać, kakao przyniesie Tamarze kokosy.



Kocham cię, postanie moje

W Wielkiej Brytanii żyje kobieta, która kilka lat temu wzięła ślub ze swoją kołdrą. Pascale Sellick powiedziała „tak” w walentynki, ubrana w piżamę i kaptcie, na oczach 120 gości. Podkreśla, że platoniczna miłość do elementu pościeli jest najbardziej intymną relacją jej życia, a jej stały partner o imieniu Jonny nie jest typem zazdrośnika. Dodaje, że nietypowe zaślubiny były celebracją idei czułości wobec samego siebie i próbą podniesienia na duchu osób, które nie mają drugich połów. W końcu dziewczyna plus pierzyna to też rodzina!

Ja to, proszę pana, mam bardzo dobre połączenie

Woźna w pewnym włoskim liceum plastycznym poświęca na dojazdy do i z pracy mniej więcej... 11 godzin dziennie, od poniedziałku do soboty. Giuseppina Giuliano mieszka bowiem w Neapolu, podczas gdy zatrudniająca ją placówka mieści się w oddalonym o ponad 770 km Mediolanie. 29-latką zdecydowała się na taki niecodzienny model funkcjonowania, bo nie może znaleźć etatu w okolicy Wezuwiusza, a wynajem mieszkania w światowej stolicy mody kosztowałby ją więcej, niż obecnie wydaje na bilety kolejowe. No i nie mogłaby dorabiać jako konduktorka!



Paro-statkiem w gwiazdny rejs

Wsparciem psychologicznym dla uczestników przyszłych podróży na Marsa może być... foka. Mowa o Paro, wykorzystującej sztuczną inteligencję puchatej maskotki, którą zaprojektował dr Takanori Shibata. Potwierdzono jej skuteczność w poprawianiu samopoczucia dzieci z autyzmem oraz chorych na demencję, co wzbudziło nadzieje, że może być pomocna także w redukcji stresu u załóg ekspedycji kosmicznych, wynikającego m.in. z długotrwałej izolacji na małej przestrzeni. Aż chce się zanucić: „Astronautko, spójrz na foczkę...”.

Oświata jak się patrzy

W szkole średniej w Wilbraham w stanie Massachusetts od prawie półtora roku nieustająco świeci się ok. 7 tys. żarówek. Awaria inteligentnego systemu sterującego oświetleniem spowodowała uruchomienie ustawień domyślnych, których nikt nie potrafił wyłączyć, i tak rozpoczęła się epopeja obejmująca m.in. poszukiwania obecnego kierownictwa odpowiadającej za montaż firmy, która kilkakrotnie zmieniała właścicieli. Wszystko wskazuje na to, że problemom Minnechaug Regional High School położy kres zamontowanie nadzrędnego przełącznika, zaplanowane na luty. Nie głupio im tak, w okolicach 176. urodzin Thomasa Edisona?

Różne rodzaje ściemniaczy



Pogoda dla bogaczy

Okazuje się, że za odpowiednią opłatą można nadawać imiona układom wysokiego i niskiego ciśnienia widocznym na europejskich mapach meteorologicznych. „Adopcja” niżej kosztuje obecnie 260 euro, wyżej – 390 euro. Uskarżających się na nadmiar pieniędzy, których zainteresowała opisana oferta, odsyłamy na stronę berliner-wetterkarte.de, przypominając jednocześnie, że w tym roku niżej będą nosiły imiona męskie, a wyżej – żeńskie. Dowcipnisie pewnie już myślą o tym, by (nomen omen) zafundować zagranicznym synoptykom i pogodynkom Szczepana i Dąbrowkę!

CYTATY

DOROTA MASŁOWSKA, PISARKA

*Milion razy słyszałam:
„Tak to pisać każdy może”.
„Polityka”*

MONIKA STRZĘPKA, REŻYSERKA

*Konflikt jest wpisany w życie
i twórczość. Ale może być
albo stresujący, albo budujący.
„Pani”*

PROF. ROCH SULIMA, ANTROPOLOG, KULTUROZNAWCA

*Stosunek do świąt może być
jednym z naszych bardziej
wyrazistych wyborów.
„Wysokie Obcasy”*



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,
Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Marcin Ogowski,
Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść
ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest
zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej
od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowie-
dzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Fikaj z Koziołkiem do Pacanowa

Koziołek Matołek skończył 90 lat. Pierwszy tom jego przygód ukazał się 14 grudnia 1932 r. Z okazji jubileuszu Muzeum Karykatury w Warszawie zaprasza na pierwszą w swojej historii wystawę dla dzieci – w wieku od czterech do dziesięciu lat. W niedużym budynku muzeum stworzono przestrzeń, w której swobodnie poczuje się młoda publiczność. Wystawa ma formę drogi do Pacanowa, a zwiedzający dostaną zadania do wykonania. Będą musieli przeciskać się, czołgać, przeskakiwać, zjeżdżać, wyciągać, przyczepiać i wspinać. Oparcie wystawy-gry na fabule komiksu podkreślone jest poprzez wykorzystanie oryginalnych kadrów i rysunków z przedwojennych wydań „Przygód Koziołka Matołka”.

**Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Koźia 11
do 19 marca**



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

KOMEDIA NIEROMANTYCZNA

CHORA NA SIEBIE

KRISTINE KUJATH THORP („Ninjababy“)

EIRIK SÆTHER



FESTIVAL DE CANNES
UN CERTAIN REGARD



MFF
w
Ghent



MFF
w
Jerozolimie



MFF
w
Nashville



MFF
w
Valladolid



nowy film producentów „Najgorszego człowieka na świecie”

**Ostra satyra na świat, w którym
największą wartością jest bycie zauważonym**

w kinach od 3 lutego



Kreatywna
Europa
MEDIA

AURORA

♦ TEATR CAPITOL ♦

PRZEBÓJOWE KOMEDIE ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY ♦ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI



Walentynkowy welcome drink
w cenie biletu!

ŚWIĘTUJ Z NAMI Walentynki



14 LUTEGO 2023



Kiedy kota nie ma...
godz.19:00 Duża Scena



Akt Równoległy
godz.19:30 Scena Mniejsza



Komedia Romantyczna
godz.19:00 Scena Amfiteatr

POZNAŃ

Kino Apollo ul.Ratajczaka 18
godz.17:00 i 20:00

MAŁŻEŃSTWO
TO MORDERSTWO



♦ KUP

BILET
TEATR CAPITOL

www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

RMF MAXX

Radio Złoty

PRZECZPOSPOLITA

ams

onet

Przekaz

Kobiety

Familie.pl

Partnerzy Teatru

STREFA MUSIC

O bag

kicket

AKTYWNA WARSZAWA

UNA TUDEN WARSZAWY

UNA TUDEN WARSZAWY

UNA TUDEN WARSZAWY

UNA TUDEN WARSZAWY

UNA TUDEN WARSZAWY